Czytając tygodnik „Do Rzeczy”,
STAJESZ W OBRONIE WOLNOŚCI SŁOWA W POLSCE (szczegóły na str. 2)

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 48/708 23–29 LISTOPADA 2026
CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



BEZ POLSKI NIE DA SIĘ NAPRAWIĆ UNII EUROPEJSKIEJ – MÓWI ALICE WEIDEL, LIDER ALTERNATYWY DLA NIEMIEC, W ROZMOWIE Z „DO RZECZY”

Skutek protektoratu USA nad Polską

IDĄ PO DZIENNIKARZY

Jak Tusk próbuje zniszczyć niezależne media

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Obraz wygenerowany za pomocą AI

Fundacja
Wspierania
Wolnej Debaty

Wspieraj
wolność słowa i mediów



Każdy głos ma znaczenie, ale potrzebujemy Państwa pomocy, by być słyszalni. Każda darowizna to dla nas nie tylko środek, lecz także wyraz zaufania i solidarności.

„Największe zmiany zaczynają się od małych kroków. Każdy z nas ma wpływ. Razem możemy zrobić więcej”.

– Paweł Lisicki, redaktor naczelny „Do Rzeczy”

WESPRZYJ NAS

wolnadebata.pl

eprasa.pl c1e5dafed4



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Premier domyka system

Trudno mieć wątpliwości, że po dokonanym przez rząd Donalda Tuska zamachu stanu – a tak należy określić wprowadzenie siłą do siedziby Trybunału Konstytucyjnego i osadzenie tam pani Anny Korwin-Piotrowskiej jako prezesa tej instytucji – w Polsce rządzi bezprawie. Celnie mówił na ten temat pierwszy prezes Sądu Najwyższego Zbigniew Kapiński. Swoją drogą, w ostatnich dniach wyrósł on na jednego z najważniejszych obrońców praworządności (pokazuje to, że co się tyczy jego wyboru, rację miał prezydent Karol Nawrocki, a nie krytykujący go wtedy zaciekle prof. Sławomir Cenckiewicz).

Otóż prezes Kapiński, odnosząc się do zapowiedzi odebrania immunitetu Bogdanowi Święczkowskiemu, obecnemu legalnemu prezesowi TK, i jego zastępcy Bartłomiejowi Sochańskiemu, stwierdził, że „to bardzo dziwne i te wszystkie działania są bezprawne". Zauważył, że obu panów „pozbawiono prawa do obrony". „Na każdym kroku jest łamane prawo […]. Nie spotkałem się nigdy z taką sytuacją, żeby w taki sposób drastyczny, bezprawny ograniczono prawa do obrony" – dodał prezes Kapiński. Pierwszy prezes Sądu Najwyższego zauważył też inną oczywistą oczywistość. Nowi sędziowie, z których pięciu nie złożyło zresztą ślubowania przed prezydentem, są po prostu narzędziem w ręku Donalda Tuska: „Zostali celowo tak wybrani, że są w stanie podjąć każdą decyzję, bez względu na to, że ona jest całkowicie niezgodna z prawem, na zasadzie takiej, ale ona będzie zgodna z oczekiwaniami władzy wykonawczej".

Co z tego wynika politycznie? Ano nic. Inaczej niż prezes Kapiński nie wierzę w żaden reset. Nie po to Donald Tusk tyle ryzykował, żeby się teraz wycofać. Chciał zdobyć pełną kontrolę nad Trybunałem nie po to przecież, żeby ją teraz oddać. Ostatnią rzeczą, o jaką chodziło premierowi, było poszukiwanie bezstronności. Nie należy się zatem spodziewać jakichkolwiek „resetów", ale dokręcenia śruby.

Inaczej bowiem niż wielu komentatorów uważam, że na razie cała operacja przejmowania państwa Tuskowi wychodzi. Nie spotyka się z masowym oporem społecznym. Brutalnie rzecz ujmując, chętnych do umierania za Trybunał nie ma. Podobnie jak nie ma chętnych do wielkich demonstracji. Marsz Niepodległości zgromadził rekordową liczbę uczestników, przeszedł, pokrzyczał i się rozszedł. Sondaże nie tylko nie wskazują na załamanie się poparcia dla rządzących, lecz także, przeciwnie, sugerują wzrost poparcia dla KO.

Może to zachęcić premiera do dalszych, brutalnych posunięć – zapewne wymierzonych w prawicowe, niezależne media. Byłoby to z jego punktu widzenia postępowanie racjonalne. Mając zapewnione wsparcie Unii Europejskiej, która jest w stanie w prawdziwie sowieckim stylu ogłosić, że każdy akt zniewolenia stanowi działanie na rzecz przywrócenia praworządności, a każdy wyraz oporu jest efektem ulegania narracji rosyjskiej, premier ma carte blanche. Jednych może zastraszyć urzędami skarbowymi, na innych wysłać prokuratorów. W szkole unijnego zamordyzmu, a spędził tam ładnych kilka lat, doskonale opanował sztukę pozbywania się przeciwników metodą ich systematycznego „głodzenia" i „zaduszania" finansowego. Nie zawsze trzeba działać tak spektakularnie jak w przypadku Trybunału – często wystarczą grupa oddanych urzędników i niejasne przepisy. Sparaliżowanie niezależnych mediów to – wydaje się – główny obecnie cel rządu. Dzięki temu premier będzie mógł spokojnie realizować swoją strategię.

Nieprawomocnie zdobyty Trybunał zostanie „zalegalizowany" i zrobi to, co do niego należy. Pozwoli obchodzić weto prezydenta, przyjmie zasadę wyższości prawa europejskiego nad polską konstytucją oraz być może zdelegalizuje partię Grzegorza Brauna. Wydaje się to, z punktu widzenia premiera, posunięciem logicznym. Nie tylko osłabi samą Koronę Brauna, lecz także wprowadzi kolejny element chaosu po prawej stronie. Zmobilizuje też przeciwko „faszystom" swoje zaplecze i zasłuży na poklepanie ze strony Brukseli.

Jak do tej pory szeroko rozumiana prawicowa opozycja jest tak podzielona, że nie stanowi dla premiera egzystencjalnego zagrożenia. Doskonale pokazała to próba zgłoszenia tzw. konstruktywnego wotum nieufności – pomysł, żeby wspólnym kandydatem prawicy został skądinąd zasłużony były marszałek Marek Jurek, wydaje się co najmniej osobliwy. Nie tylko dlatego, że w obecnym rozdaniu nie miał on żadnych szans – problem polega na tym, że nie miał on też możliwości przyciągnięcia żadnych nowych, dodatkowych wyborców. Mieszanie cały czas w tym samym kotle nie czyni potrawy świeższą. Nic dziwnego, że po głosowaniu Donald Tusk mógł triumfować.

Wciąż jedynym ośrodkiem, z którym musi się liczyć, jest prezydent Karol Nawrocki. Ma on jednak, co się tyczy kompetencji, słabe karty w ręku. Czy uda mu się zjednoczyć rozproszoną i mocno podzieloną prawicę, trudno powiedzieć. Największym zagrożeniem dla Tuska byłyby gwałtowna zmiana nastrojów w Unii i zmiana rządzącej w Brukseli oligarchii. Jednak to, jeśli w ogóle możliwe, pieśń przyszłości. ©℗

eprasa.pl c1e5dafed4



TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NOWY ATAK NA DZIENNIKARZY
Jak Tusk niszczy wolne media

19 PIOTR SEMKA
NAJDŁUŻSZA WOJNA W DZIEJACH III RP

KRAJ

22 ŁUKASZ WARZECHA
TUSK JEDZIE WALCEM
Chaos w Trybunale Konstytucyjnym

26 JERZY KARWELIS
LICENCJA NA ZABIJANIE

30 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
CELEBRYTA W SŁUŻBIE PRAWA

KULTURA

32 PIOTR GOCIEK
WIELKIE POMIESZANIE
Filmowe biografie znanych postaci

34 ARKADIUSZ SIWKO
WSPÓŁCZESNE KINO W POSZUKIWANIU MORALNYCH ZNAKÓW CZASU

36 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM SZUJECKIM
DZIESIĘCIU WSPANIAŁYCH

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

44 KRYSTIAN KAMIŃSKI
SKUTEK PROTEKTORATU USA NAD POLSKĄ
USA negocjują z Rosją nowy porządek w Europie

47 MARIUSZ MUSZYŃSKI
SUPREMACJA KONSTYTUCJI

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
ZAAKCEPTOWANA REWOLUCJA

HISTORIA

52 PIOTR SEMKA
OD RYWALA LUTRA DO BENEFICJENTA „OSTALGII"
Tomasz Müntzer – bohater na każdą okazję

ŚWIAT

58 ROZMOWA Z ALICE WEIDEL
PODWÓJNE STANDARDY BRUKSELI SĄ AŻ NADTO WIDOCZNE
Nie należy łamać obietnic złożonych narodowi

62 ADAM WIELOMSKI
TRUMP, ŚLEPY ZAUŁEK NARCYZMU WIELKOŚCIOWEGO

65 MACIEJ PIECZYŃSKI
LABORATORIUM POKOJU

EKONOMIA

68 JAKUB WOZINSKI
PIERWSZY MILION W NFZ, KOLEJNE PRYWATNIE
Prawdziwy obraz „lex Kacprzyk"

72 JACEK PRZYBYLSKI
PAŁACOWY PRZEWRÓT W IMPERIUM AI

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12) ŻEBROWSKI, KOPER (56), PRZYBYLSKI (57), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl c1e5dafed4

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Anna Zalewska, Tomasz Zbigniew Zapert**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Michał Krupa, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Filip Memches, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Adam Wielomski, Dariusz Wieromiejczyk, Radosław Wojtas, Jakub Wozinski, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **obraz wygenerowany za pomocą AI, oprac. graf. 12 kredek**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratаprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

BIURO KONTROLOWANE ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Źle się dzieje w placówkach resocjalizacyjnych dla młodzieży

Szanowna Redakcjo,
powoli opada bitewny kurz po atakach nożowników w szkołach publicznych. Media stopniowo wracają do spraw bieżących, zapominając jakby o ofiarach i sprawcach. Winę przekierowują na rodziców, Internet, gry komputerowe, a nawet na szkołę, nie widząc jej w samych sprawcach, którzy zapewne w najbliższych miesiącach zasilą placówki resocjalizacyjne podległe Ministerstwu Sprawiedliwości [...].

Można domniemywać, że ogół społeczeństwa oczekuje, iż napastnicy, którzy poddali się presji challenge'u, zostaną w naszych placówkach zresocjalizowani i prawidłowo uspołecznieni [...].

W naszej ojczyźnie oprócz szkół publicznych są także szkoły kształcące młodzież w placówkach zamkniętych, czyli w schroniskach dla nieletnich, okręgowych ośrodkach wychowawczych i zakładach poprawczych [...].

Adresowane w mediach do instytucji słowo „bezpieczeństwo" [...] nawet rykoszetem nie trafia w placówki resocjalizacyjne. A są one jaskrawym, istotnym punktem na polskiej mapie wychowania i kształcenia młodzieży. To tu jest skumulowane centrum pracy z młodzieżą nad bezpieczeństwem narodu [...].

Tymczasem niemal nie ma takiego tygodnia, żeby nie dochodziło w placówkach do ostrych spięć, zajść, zatargów, bójek, wymuszeń, które nie są eksponowane na zewnątrz. Te problemy dyrekcja zwykle rozwiązuje we własnym zakresie [...]. Niemniej takie zachowanie dyrekcji ma też swoje negatywne strony. Młodzież nabiera coraz większego przekonania o swojej bezkarności [...].

W tej atmosferze i sytuacji Departament Wykonania Orzeczeń i Probacji już pracuje nad sposobem obniżenia wynagrodzeń w naszych placówkach. W tym kontekście należy dodać, że nasza praca należy do jednych z najtrudniejszych, z ogromnym obciążeniem permanentnym stresem. Bywa, że pracujemy w atmosferze nieustannego zagrożenia bezpieczeństwa atakiem ze strony wychowanków.

Szanowni państwo Redaktorzy, Wasze dzieci i wnuki zapewne nie są pensjonariuszami naszych placówek. Po cóż zatem ruszać temat trudny, tak? Trudny, bo dyrektor nie musi dopuścić do rozmowy z wychowankami, z pracownikami, a sami pracownicy też zapewne będą mieli pewne opory przed relacjonowaniem rzeczywistości, bo to grozi sankcjami nie tylko dyrektorskimi, lecz także ministerialnymi.

Niech Państwo się zastanowią, czy chcą mieć bezpieczne ulice? Czy młodzież opuszczająca nasze placówki ma być tylko przetrzymana i bez zmian zachowania i postępowania wypuszczona? Czy ma być zresocjalizowana i działać pożytecznie na rzecz naszej ojczyzny? Czy zatem pracę nad nią mają wykonywać ludzie „z łapanki" czy wybitni specjaliści, z poczuciem misji?

Czy osoby podejmujące decyzje, także te finansowe, w stosunku do naszych placówek powinny widzieć ludzi, personalnie każdego pracownika z osobna, czy jak do tej pory obiekty wymagające nakładów finansowych?

Tak! W naszym odczuciu jesteśmy dla Ministerstwa Sprawiedliwości obiektami wymagającymi optymalizacji wydatków i konieczności poddawania nieustannej presji. Tak to załogi placówek odbierają. Tymczasem nasza praca to swoista misja wyczerpująca zdrowie psychosomatyczne. Dziś, oprócz presji ministerialnej, odczuwamy obniżony poziom bezpieczeństwa, bo młodzież nasza, mająca dostęp do wszelkich mediów, już wie, że na dużo może sobie pozwolić [...].

Stąd bierze się relatywnie duża rotacja kadry, bo nie każdy ma preferencje psychofizyczne do wytrwałości pod nieustanną presją prawno-dyscyplinarną. Ujawnianie wszelkich niebezpiecznych wydarzeń w placówce jest bardzo niewskazane dla kadry, bo Ministerstwo Sprawiedliwości przeważnie doszukuje się źródeł wydarzenia w niekompetencji pracowników, a także w niedotrzymaniu którejś z niezliczonej liczby procedur, które obowiązują w każdej placówce [...].

W imieniu Zarządu Głównego Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Pracowników Schronisk dla Nieletnich i Zakładów Poprawczych
sekretarz Jan Cwanek

eprasa.pl c1e5dafed4

NA PIERWSZY OGIEŃ

Jurek przegrał, ale to miało sens



PIOTR SEMKA

Głosowanie nad konstruktywnym wotum nieufności wobec rządu Donalda Tuska na rzecz potencjalnego premiera Marka Jurka zakończyło się porażką.

Przeciw było 242 posłów, głównie obecnej koalicji rządowej, a za – 200. Nikt nie wstrzymał się od głosu. Po prawej stronie pojawiło się pytanie, czy warto było się w to angażować. Uważam, że tak.

Idea konstruktywnego wotum nieufności została oczywiście wysunięta przez Mateusza Morawieckiego i jego Rozwój Plus ze względów pragmatycznych. Chodziło o podkreślenie sprawczości tego ugrupowania. I rzeczywiście dało to Morawieckiemu szansę na wystąpienie z trybuny sejmowej w zderzeniu z Donaldem Tuskiem. Ale ponad czysto taktycznymi powodami tej inicjatywy była w tym również chęć podkreślenia, że Tusk po ataku na Trybunał Konstytucyjny stracił moralne prawo do sprawowania urzędu premiera. I nadzieja, moim zdaniem naiwna, że PSL i Polska 2050 skorzystają z okazji, aby odsunąć się od kogoś, kto podniósł rękę na konstytucyjny ład państwa. Z kolei opozycja, głównie prawicowa, dostała okazję pokazania, że jest zdolna do wspólnego działania. I ta szansa została wykorzystana.

Za kandydaturą Marka Jurka zagłosowało 137 posłów PiS z ogólnej ich liczby 147. Rozwój Plus oczywiście głosował w całości. Wszystkich trzech posłów Korony zagłosowało za, a z 14-osobowego klubu Konfederacji na Jurka oddało głos 11 posłów. Zwyciężyły więc pragmatyzm i chęć pokazania, że można zrobić coś wspólnie.

Stało się tak, mimo że każda z tych formacji mogła mieć swoje „ale". PiS mógłby nie chcieć wspierać inicjatywy Morawieckiego – niedawnego rozłamowca. Korona wzniosła się ponad uznawanie Marka Jurka za „chanukofila". Konfederacja mogłaby też kręcić nosem na tryb zgłoszenia kandydata na premiera in spe. A jednak wszyscy zagłosowali razem. Jedyny zgrzyt stanowił fakt, że na głosowanie nie przybył lider Konfederacji Sławomir Mentzen. Jego kolega partyjny Krzysztof Bosak, pytany o przyczyny jego nieobecności, wyraźnie dystansował się od odpowiedzi, mówiąc: „Pytajcie o to samego Sławomira Mentzena".

Ostatnie konstruktywne wotum nieufności rozpatrywano w polskim Sejmie 14 grudnia 2018 r. Wtedy ówczesna opozycja wysunęła przeciwko premierowi Morawieckiemu kandydaturę Grzegorza Schetyny. Polityk PO dostał wówczas tylko 179 głosów i też przegrał głosowanie. Ale było to jednak znacznie mniej niż obecna liczba 200 głosów za Jurkiem.

Dla Rozwoju Plus wynik głosowania powinien być pod jednym względem ważną lekcją. Nadzieje na przekabacenie PSL lub ludzi od Szymona Hołowni to tylko pobożne życzenia. Mimo to działacz Rozwoju Plus Marcin Horała nadal wzywa, by zachęcać polityków koalicji do „cywilnej odwagi". To droga donikąd. Tusk trzyma PSL twardą ręką. Im szybciej ludzie Morawieckiego to zrozumieją, tym dla nich lepiej.

Jedynie porozumienie prawicy odsunie Tuska od władzy. Nie jest ono łatwe, lecz dla Polski niezbędne. Tylko tyle i aż tyle. ©℗

RAKIETY NAD POLSKĄ

ALARM DLA DWÓCH WOJEWÓDZTW

Piątkowy poranek był wyjątkowo niespokojny dla mieszkańców Lubelszczyzny oraz Podkarpacia. Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych przekazało, że mogło dojść do naruszenia polskiej przestrzeni powietrznej przez niezidentyfikowane obiekty. Szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz oznajmił w piątek, że na polskim terytorium odnotowano trzy miejsca upadku niezidentyfikowanych obiektów: dwóch rakiet i prawdopodobnie drona o napędzie odrzutowym. ©℗

RAKIETA W NOWYM LIPOWCU I EWAKUACJA

W miejscowości Nowy Lipowiec (gmina Księżpol, powiat biłgorajski, województwo lubelskie) w piątek ok. godz. 6 rano zaledwie 200–300 m od zabudowań mieszkalnych rozbiła się rosyjska rakieta Ch-101. Prawdopodobnie druga taka sama rakieta spadła też w innym miejscu Polski. W związku z naruszeniem przestrzeni powietrznej zdecydowano również o ewakuacji załogi wieży kontroli lotów w porcie Rzeszów-Jasionka. ©℗

HUK EKSPLOZJI NA PODKARPACIU

W Rudniku nad Sanem dyżurny ruchu usłyszał w piątek o godz. 6.48 huk wybuchu w pobliżu terenu kolejowego. Wprawdzie nie stwierdził widocznych uszkodzeń infrastruktury, ale tymczasowo wstrzymano ruch pociągów na linii kolejowej nr 68 na odcinku od Niska przez Rudnik do Łętowni, a na miejsce skierowano dwie drezyny kontrolne. Ruch przywrócono jeszcze przed południem, a na miejsce potencjalnego upadku obiektu latającego skierowano ekipę poszukiwawczą. ©℗

eprasa.pl c1e5dafed4

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY

Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**



WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl c1e5dafed4



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Delator z koalicji

Niejaki Norbert Bobin, identyfikujący się jako „Sabina Bobin", złożył do prokuratury obywatelskie „doniesienie o możliwości popełnienia przestępstwa" przez Jarosława Kulika, funkcjonariusza krakowskiej policji, który zastrzelił psychopatycznego mordercę na tamtejszym Rynku Głównym. Ponieważ Jarosław Kulik słusznie uznany został za bohatera, apel pana Sabiny uznano za oburzający, uwłaczający zdrowemu rozsądkowi i horrendalny. Minister Kierwiński pierwszy poczuł się w obowiązku dać pryncypialny odpór donosicielom (bo identyczne doniesienie złożył też niejaki Talarowski, ksywa „Żarówa", ponoć ukrywający się przed policją). Nie powinien. O ile w wypadku ściganego za przestępstwa można podejrzewać trolling, to ideowego Sabinę powinien minister tego rządu i tej koalicji ocenić bardziej wyrozumiale.

Choćby jako koalicjanta. Pan Bobin jest bowiem „aktywiszczem" partii Zieloni, która współtworzy gabinet Donalda Tuska; reprezentuje ją tam wiceministra Urszula Sara Zielińska, z którą zresztą ma Bobin różne fotki z partyjnych „eventów". Zaś jego postępek mieści się doskonale w linii przez wiele lat konsekwentnie realizowanej przez obecny rząd i wspierające go „opiniotwórcze elity". Nie kto inny jak Adam Bodnar jako RPO protestował głośno przeciwko założeniu mordercy małej dziewczynki kajdanek, uznając to za niepotrzebne upokarzanie więźnia przez policję. Ten sam Bodnar, już jako minister, stworzył specjalny zespół prokuratorski do ścigania polskich żołnierzy i strażników broniących wschodniej granicy. Efektem tego było oskarżenie żołnierza, który atakowany przez „nachodźcę" oddał strzał ostrzegawczy – a gdy żołnierza uniewinniono, następca Bodnara, Żurek, uniewinnienie to zaskarżył. A panie Ochojska, Holland, a histeria michnikowych literatów w obronie „dzieci z Michałowa"?

Facet odstąpił od linii partii, bo nie zauważył, że się zmieniła. Ale czy do człowieka, który nie wie nawet, jakiej jest płci, można mieć pretensje, że nie nadąża za „mądrością etapu"? ©℗

#WARTO

Bawimy się płcią i balujemy



JAN POSPIESZALSKI

Od znajomej nauczycielki dostałem slajdy z pierwszej części szkolenia pt. „Dziecko transpłciowe, niebinarne i interpłciowe w szkole". Materiał pochodzi z przewodnika „Transpłciowość. Poradnik dla kadry pedagogicznej pracującej w szkole i zarządzającej szkołą".

Zbulwersowana nauczycielka pisze: „Nie wiem, czy dam radę obejrzeć za tydzień drugą część. Było trzech prelegentów – pani fanatyczka, pan szarlatan i lekarz, który skupił się na zaburzeniach natury fizycznej. Posyłam slajdy".

Załączone zrzuty ekranu muszą budzić co najmniej niedowierzanie. Treść szkolenia, żargon i stopień pogardy wobec rzeczywistego świata są czymś szokującym. Główne założenie polega na tym, że psychiczna (emocjonalna) przypadłość nastolatka (często przejściowa) wymaga, by podporządkować całą społeczność szkolną jego subiektywnemu odczuciu. Zamiast zdiagnozowania istoty problemu i realnej pomocy, następuje przestawienie systemu tak, aby utrwalić w nim zaburzenie. Nauczyciele mają zwracać się do niego nowymi zaimkami, akceptować ubiór, umożliwić korzystanie z toalet dla innej płci, przydzielić do innej grupy na WF itp. Jednym słowem, cała szkoła ma nobilitować jego nową, wymyśloną (odczuwaną) tożsamość. Okaleczanie dzieci nazywano „leczeniem", amputację zdrowego organu – afirmacją płci, a sprzeciw rodziców wobec tzw. korekty płci dziecka uznano za przemoc psychiczną. W takich przypadkach rekomenduje się powiadamianie sądu rodzinnego pod zarzutem znęcania się. Wśród autorów poradnika są tacy „eksperci" jak aktywista Dominik Kuc i Michał Pyzik he/she, którego hasłem jest: „Bawię się płcią, edukuję i balluję".

W trakcie szkolenia pan medyk powiedział, że już trwa przygotowywanie procesu pobierania gonad od dzieci zgłoszonych do tranzycji w celu ich zamrażania. Z kontekstu można było wyczytać, że będą to organy dla transów. ©℗

eprasa.pl c1e5dafed4

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA





SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Pani Ania z kabaretu

Jest taki kabaret Ani Mru-Mru i on ma skecz „Jak się nie da, a się bardzo chce, to można", w Internecie do obejrzenia. Stop. Anna Korwin-Piotrowska, której policjanci z Tuskiem wmówili, że jest sędzią Trybunału Konstytucyjnego, zdaje się, chce znaleźć robotę w kabarecie i nagrywa filmiki w pewnym sensie zabawne. Stop. Siedzi sobie i tłumaczy (w Internecie można zobaczyć), że osiem osób udających Trybunał Konstytucyjny „zdecydowało" o uchyleniu immunitetu legalnemu Prezesowi TK Bogdanowi Święczkowskiemu. Stop.

Nie mogą tego zrobić z wielu powodów, ale ja dla państwa nakreślę jeden i tłumaczenie pani Ani z kabaretu Tuska. Stop. Otóż Żurek zarzuca Święczkowskiemu, że nie dopuszczał do pracy w TK sędziów elektów wybranych przez Sejm. Stop. Święczkowski nie dopuszczał, bo zgodnie z ustawą mogą zacząć pracować w TK dopiero po złożeniu ślubowania wobec prezydenta, a nie złożyli, więc nie mogli. Stop. Problem polega na tym, że właśnie tych pięciu sędziów elektów, którzy nie ślubowali w obecności prezydenta, teraz udaje Trybunał Konstytucyjny i „uznało", że właśnie za to trzeba pozbawić Święczkowskiego immunitetu. Stop. Nemo iudex in causa sua – nie można być sędzią we własnej sprawie, a tych pięciu specyficznych prawników właśnie się w to bawi. Stop.

Z pomocą przyszła pani Ania Korwin-Piotrowska, która na filmiku mówi, że owszem nie można, ale „sytuacja Trybunału jest specyficzna", więc można. Stop. Pani Ania od Tuska podała właśnie zaklęcie wytrych, który legitymizować może każdą zbrodnię sądową: „Sytuacja jest specyficzna". Stop. Ten kabaret Tuska to i straszny, i śmieszny.

Znany aktor i wojownik Jacek Murański został zaproszony do Sejmu przez Koalicję Obywatelską. Stop. Sebastian Kaleta nazwał go bowiem „jednym z największych patusów w polskim Internecie", a postać znana nie zgadza się z tym stwierdzeniem i chce wytoczyć proces posłowi. Stop. Do tego trzeba jednak uchylenia immunitetu. Niestety na komisji regulaminowej nie pozwolono wypowiedzieć się panu Jackowi, co trochę go zdenerwowało (nikomu jednak nie przywalił, a mógł). Stop. Na szczęście po wyjściu z sali otoczył go wianuszek dziennikarzy, którzy mogli się dowiedzieć, że pan Jacek chce zostać senatorem z listy PSL. Stop.

Znam pana Jacka osobiście i wiem, że bardzo zdynamizowałby tych anemicznych, bezwolnych chłopów z koniczynką. Stop. Trzymam kciuki, Jacku! ©℗

eprasa.pl c1e5dafed4



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

AKTORSKA MOWA MIŁOŚCI

Coś złego wisi w powietrzu, bo niektórym odbiera rozum. To najdelikatniejsze ujęcie skandalu z aktorem Piotrem Wiszniowskim w roli głównej. Znany m.in. z serialu „Przyjaciółki", związany ze stołecznym Teatrem Żydowskim, Wiszniowski odpalił się po wecie prezydenta do Aktu o usługach cyfrowych (DSA). Aktor opublikował na Facebooku wpis tak chamski i wulgarny, że aż robi się słabo. „Nawrocki, chcesz wolności w necie? Proszę: sk.....u je...y, kierowco dz...k i alfonsów mafii, złodzieju mieszkań, papierowy »bokserze«, który zawinie ogon, jak ktoś prawdziwy stanie przed nim, koleżko półmózgich kiboli z ustawek. Koleżko gangsterów, którzy nie pozostawią z ciebie ścierwa, kiedy już trafisz tam, gdzie twoje miejsce – za kraty" – grzmi. „Oby wcześniej, ktoś wy....ł cię w kosmos, najlepiej z twoim przytulasem Trumpem. Razem nie składacie nawet połowy mózgu ludzkiego. Darmozjadzie żyjący z naszych podatków. Byłem grzeczny" – dodał. Akcja wywołała reakcję. Mecenas Dariusz Lasocki przekazał, że skierował do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa. „Odpowiednia jednostka prokuratury otrzymała moje obywatelskie zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez pana Piotra Wiszniowskiego. Przestępstwo publicznego znieważenia Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, tj. czynu z art. 135 par. 2 Kodeksu karnego" – poinformował Lasocki, krytykując brak reakcji ze strony przedstawicieli władz państwowych, instytucji i organizacji zajmujących się przeciwdziałaniem mowie nienawiści. „Kiedy moje państwo przestanie być słabe, bezzębne i milczące? Milczy premier, milczy prokurator generalny, milczy rzecznik praw obywatelskich, milczą fundacje i stowarzyszenia antyhejtowe" – zauważa prawnik. Brak reakcji państwa na hejt wobec Karola Nawrockiego szokuje tak bardzo jak to, że po niedzieli jest poniedziałek. Czyli w ogóle.



FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

ANTIDOTUM NA ŻÓŁĆ

Może środowisko uleczy się samo? Aktor Jan Englert przy okazji Międzynarodowego Festiwalu Filmowego CAMERIMAGE wspominał współpracę z Andrzejem Wajdą. Mówiąc o reżyserze, Englert odniósł się do współczesnego społeczeństwa. W rozmowie z „Super Expressem" ocenił, że Wajda był prawdziwym artystą – w przeciwieństwie do wielu, którzy dziś mają się za takich, choć nimi nie są. „Wszystkim się wydaje, że są artystami, nie tylko w zawodach artystycznych. W tych klimatach mamy przekonanie, dzięki internetowi, że wszystko wiemy i niczym nie różnimy się od innych. Że dzięki temu możemy wygłaszać sądy, oceniać, wymyślać, nienawidzić się itd." – analizował 83-letni aktor. Zaapelował do społeczeństwa. „Żyjemy w czasach, w których jeśli nie przywrócimy odrobiny pokory wobec nawet tych, którzy myślą inaczej, mówią inaczej czy zachowują się inaczej, to utopimy się we własnej żółci. Powinniśmy rzeczywiście słuchać siebie nawzajem, słuchać i rozmawiać, bo prawdziwa rozmowa jest najważniejsza" – podkreślił. Jan Englert powiedział też, czym jest dla niego patriotyzm. „Patriotyzm to jest przede wszystkim posprzątanie siebie samego. Zacząć od siebie po prostu. Zacząć trzeba od siebie. Patriotyzm to jest powinność. To nie są hasła i machanie sztandarami. To jest właśnie praca dla ojczyzny, dla ojcowizny. To jest praca, którą trzeba zacząć od tego, żeby samemu być coraz lepszym" – podsumował. Czy Piotr Wiszniowski słyszy?

BEZ TAKTU NA PARKIECIE

Tancerka Agnieszka Kaczorowska nie lubi, gdy jest o niej cicho. W podcaście prowadzonym przez Małgorzatę Rozenek-Majdan na portalu Gazeta.pl postanowiła podgrzać atmosferę. Skrytykowała poziom taneczny obecnej edycji programu „Taniec z gwiazdami". – Ta edycja, moim zdaniem, jest słaba tanecznie. Bardzo lubię ten program, uważam, że jest bardzo fajny, tylko problem polega na tym, że dla mnie jest już tam za mało tańca [...]. Gdyby sobie porównać ostatnie cztery edycje, to jest to najsłabsza tanecznie edycja – oceniła Kaczorowska, która w przeszłości występowała w show. Na te słowa odpowiedział Piotr „Guma" Gumulec, komik, uczestnik programu. – To jest kwestia kultury, szacunku i wychowania. Po prostu. Pewnych rzeczy się nie robi, pewnych rzeczy się nie mówi. Chyba tylko po to, żeby wzbudzać niepotrzebną sensację. Wydaje mi się, że dorośli ludzie powinni zachować się troszeczkę inaczej. Przynajmniej mnie tak wychowano. Nie chodzi o szacunek do gwiazd, tylko po prostu do ludzi – zauważył w rozmowie z Pudelkiem. – Pewnych rzeczy się nie robi, choćby dlatego, że jeżeli ktoś jest tancerzem i mówi o innych tancerzach tak, a nie inaczej, no to sam sobie wystawia po prostu świadectwo, które jest nienajlepsze. A kręcenie jeszcze takich żenujących, mało śmiesznych – na tym się znam – filmików jest zupełnie bez sensu. No, bez sensu – stwierdził. ©℗

eprasa.pl c1e5dafed4



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, z przerażeniem obserwujemy doniesienia, że możliwe jest powstanie jednej wspólnej listy prawicy w najbliższych wyborach parlamentarnych. Taki kościelno-brunatny sojusz to jeden z naszych największych koszmarów, iż już teraz czujemy swąd kadzidła i stukot podkutych buciorów o bruk naszych wielkich ośrodków.

Obawiamy się też tego, iż jeśli prawica zrobi jedną listę, a koalicja rządząca zrobi jedną swoją listę, to poza nimi zostanie tylko Partia Razem, a my z nieostrożności i pośpiechu wynikającego z chęci natychmiastowego odsunięcia PiS od władzy zaznaczymy nie tę listę i zagłosujemy na osobę kandydacką z którejś z konfederacji. A bo to mało razy się w życiu pomyliliśmy, iż mieliśmy za dużo tasków, krótki deadlajn i stojącego nad głową menadżera, tzn. Nowego z Tarnowa, który nas poganiał?

A jeszcze większy przypał byłby, gdybyśmy zagłosowali na Razem, że jak wiadomo prawdziwa Lewica to tylko Nowa Lewica, a Zandberg jest leniem, który nie chce wejść do koalicji, iż wygodniej mu krytykować i nie brać odpowiedzialności za państwo!

Taka wspólna lista prawicy jest też bardzo tricky z tego względu, iż nie tylko można zagłosować na nią przez pomyłkę, lecz także dlatego, iż co bardziej postępowi prawacy, którzy np. dopuszczają możliwość niejedzenia mięsa czy też nie biją osobożony, chcieliby zagłosować na Morawieckiego, a w rzeczywistości przyczynią się do wejścia do parlamentu kogoś od Brauna.

Tak więc po fashysmie może przyjść jeszcze większy fashyshm, toteż ze swojej strony chcielibyśmy wypowiedzieć stanowcze „NIEDLA!!!" wspólnej listy prawicy, która jest przedsięwzięciem śliskim, obmierzłym, celowo wprowadzającym w błąd, jątrzącym i mimo iż łączącym, to jednak dzielącym. A tylko jeden człowiek w tym kraju jest do takich rzeczy zdolny… :/



Wiecie co, ostatnio bardzo męczą nas osoby, które posiadają Hobby, ale wiecie, nie takie zwykłe, ale przez wielkie H. Co nie otworzymy social mediów, to atakuje nas jakiś post, że ktoś właśnie realizuje swoje Hobby i każe nam to podziwiać.

Nasze hobby to głównie bez zmian: polityka, ale jednak głównie Netflix & wine & chill, czyli prościej mówiąc, lubimy się po korpo walnąć na kanapie i tak długo szukać serialu do obejrzenia, aż odpadniemy i obudzimy się w środku nocy z siłami tylko na to, iżby doczłapać do łóżka. Of kors, coś tam poczytamy, czegoś posłuchamy, ale jednak korpo wymaga od nas zbyt wiele sił witalnych, iżby potem mieć Hobby.

A tymczasem trend jest taki, że nie wystarczy już się przejść po górach, jeśli ktoś lubi, bo jak trekking, to tylko w Himalajach z prawdziwym Szerpą. Jeśli ktoś grał w piłkę, to teraz musi mieć zespół w Lidze Szóstek, a w historii kontuzji przynajmniej jedno zerwane więzadło krzyżowe. Nie wystarczy teraz gotować – należy polecieć na weekend do Mediolanu po prawdziwe, podkreślamy, prawdziwe włoskie składniki, żeby potem ugotować z nich makaron w sosie pomidorowym. Strasznie to męczące, zwłaszcza kiedy spotkasz takiego posiadacza Hobby na żywo i zanim zdążysz zadać pytanie, co u niego słychać, to wiesz wszystko na temat oznakowania nepalskich szlaków turystycznych lub czym się różni guanciale od pancetty.

Skoro więc jesteśmy dziś w klimacie „NIEDLA!!111jeden", to chcemy je wyrazić także wobec wszystkich Hobbystów i apelujemy, iżby ich dobre samopoczucie osiągane dzięki Hobby nie było osiągane kosztem dobrostanu osób, które żadnego Hobby ani nawet hobby nie mają. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Film

Magda, doradź mi, bo ty ten film taki fajny z tymi skarpetkami nagrałaś…

Ten, że w Londynie byłam? No, co tam potrzebujesz, Basiu?

Bo ja byłam w Berlinie niedawno, prywatnie, i też sobie kupiłam…
Skarpetki? Pokaż.

No właśnie nie. W takim sklepie elgiebeteku plus sobie kupiłam z napisem „Liebe und Toleranz" i chciałabym pokazać.
Trochę to już może wtórne będzie po moim, ale jaki problem? Mogę ci kamerzystę pożyczyć.

Tylko ja majtki kupiłam. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„A może Karol Nawrocki wcześniej skończy kadencję, bo pojedzie gdzieś, gdzie lubi bardziej…".

MICHAŁ SZCZERBA, *europoseł KO, w TOK FM*

eprasa.pl c1e5dafed4

dwaj panowie g

Najbardziej sensacyjna plotka tygodnia. Otóż jest sobie pewien bardzo bogaty biznesmen Zbigniew Jakubas. Znany jako hojny donator PO i Rafała Trzaskowskiego. Ma on firmę Newag w Nowym Sączu. Co w tym wszystkim sensacyjnego? – zapytacie. Otóż podobno tam właśnie miała miejsce gospodarska wizyta premierów. Dwóch. Byłego i obecnego. Ten obecny nazywa się Donald Tusk. Ten poprzedni to Mateusz Morawiecki. Słyszeliśmy to z dwóch źródeł, choć fakt, że jedno związane jest z Suwerenną Polską. Temat rozmów nie jest nam znany.

W PiS rośnie pewna podejrzliwość względem prezydenta Karola Tadeusza. Otóż powątpiewa się tu i ówdzie na Nowogrodzkiej, czy osoba głowy państwa ma dobre intencje w sprawie Trybunału Konstytucyjnego. A mianowicie czy chce, aby sprawy powróciły do stanu sprzed zamachu stanu dokonanego przez puczystowski reżim Donalda Tuska. Kilka wiewiórek mówiło nam, że z przesłuchów wynika, iż prezydent Karol Tadeusz jest oczywiście przeciw uzurpatorom. Natomiast nie miałby także nic przeciwko depisizacji Trybunału. Pytanie tylko o kształt resetu.

Tymczasem pod Trybunałem Konstytucyjnym. Przygotowywany jest zamach na uzurpatorkę dwojga nazwisk, zajmującą gabinet w Trybunale Konstytucyjnym. Otóż okazuje się, że kobita cierpi na ailurofobię, czyli paniczny i kompletnie nieracjonalny strach przed kotami. Nie tylko rzeczywistymi, lecz także wyobrażonymi. W miasteczku, które rozłożyło się na Szucha, rozważane są seanse filmów z kotem Filemonem, występy Pixie i Dixie z udziałem Mr Jinksa, pokaz musicalu „Cats", a także odtwarzanie kociej muzyki.



FOT. ROBERT CARDZINSKI

Kacper Nowicki. Zapamiętajcie to nazwisko. Nie ze względu na samo nazwisko, ale na przekaz. Tak się bowiem składa, że nie bez powodu jego show na konwencji Partii Europejskich Socjalistów był jednocześnie antysystemowy i narodowy. Otóż spece od sterowania masami z rządzącej nami obecnie puczystowskiej koalicji Donalda Tuska zorientowali się, że istnieją przepływy, zwłaszcza wśród młodych wyborców, między skrajną lewicą a skrajną prawicą. Chodzi zatem o to, by ci, którzy mają k.... dość, buntowali się w ramach jakiegoś polskiego Die Linke, a nie Konfederacji jednej czy drugiej.

Oczywiście polska odpowiedź na Die Linke będzie radykalna w hasłach, ale w rzeczywistości mniej więcej tak antysystemowa, jak Trzecia Droga albo inne Nowoczesne. Nieważne. Wspomnicie nasze słowa. Im bliżej wyborów, tym lewackiego antysystemu będzie w mediach więcej. Mamy dla was nawet kluczowy dla tej operacji cytat z wystąpienia Nowickiego: „Prawdziwy podział w Polsce nie przebiega między prawą a lewą. On przebiega między górą a dołem". Brzmi znajomo, prawda?

eprasa.pl c1e5dafed4

Pamiętacie, jak mówiliśmy, że nawracający się na prawicowość Misio Kamiński wystąpi na ważnej imprezie konserwatystów w Bukareszcie? Otóż stało się i wystąpił. Co spotkało się z lekkim zdziwieniem, a czasem i szokiem, ze strony polskiej delegacji. A była ona liczna – ponad 20 osób. Nie sprawdziły się natomiast nasze informacje, że do Bukaresztu zjechała się konserwa z ponad 60 krajów świata. Otóż zaledwie z 55.

To jednak nie koniec ciekawych wydarzeń z udziałem Misia Kamińskiego. Otóż w Bukareszcie powołano też dwustronne grupy robocze. Polityczne i gospodarcze, bo prawoskrętnych biznesmenów też trochę było. Organizator zjazdu, George Simion, lider AUR, zaproponował na szefa grupy roboczej Rumunia – Polska właśnie Misia Kamińskiego. Decyzję kontestowano. Jacek Ozdoba – śmiechem. Zdzisław Krasnodębski – oburzeniem. Ale się nie zmieniła, więc Misio na rok będzie szefem grupy roboczej.

Radykalnych krytyków powrotu Misia Kamińskiego na łono Niezjednoczonej Prawicy przestrzegamy: nie bądźcie nazbyt pochopni w swych publicznych krytykach Misia. Skoro wybaczył mu sam Jarosław Kaczyński, to i wy możecie. A miał co wybaczać. A skąd wiemy, że wybaczył? No, z dedukcji. Inaczej przecież na ostatnim forum w Krynicy nie doszłoby do ciekawych rozmów nieformalnej grupy roboczej Kaczyński, Bocheński, Bielan i Kamiński. A, i jeszcze Jadwiga Wiśniewska.

Àpropos tego, co Naczelnik miał do wybaczenia Misiowi Kamińskiemu, choćby pobieżna kwerenda pokazuje takie kwiatki, jak wytykanie Jarosławowi Kaczyńskiemu uprawiania „haniebnej narracji w sprawie śmierci Barbary Skrzypek" albo spontaniczne podziękowania dla Romana Giertycha za to, że „ratuje nasz honor". Inna sprawa, że w PiS nie wybacza się tak naprawdę Misiowi tylko jednej rzeczy – że zabierze jakiemuś zasłużonemu działaczowi miejsce na listach do Senatu w pakcie senackim prawicy.

Trwa szukanie roboty dla podpór obecnego reżimu. Jak już pisaliśmy, nieformalny koordynator służb specjalnych, którym jest gen. Radosław Kujawa, wybiera się w ambasadory. Ale pojawił się problem. Otóż Kujawa żadnej nominacji ambasadorskiej nie dostanie. Może co najwyżej udawać ambasadora w Helsinkach w randze chargé d'affaires. A tu jest kolejny problem. Bo ambasador zasadniczo nie musi posiadać ani wyższego wykształcenia, ani znać języków. Za to chargé – i owszem.

Z Kujawą zaś jest tak: co prawda, ma stopień magistra, ale zasadniczo nikt go nie słyszał mówiącego językami. Ale od czego są koledzy z wojska! Wysmażyli oni Kujawie świadectwo znajomości niemieckiego podpisane przez jakieś studium wojskowe. Problem polega na tym, że na świadectwie nie ma słowa o stopniu znajomości języka. A w przypadku chargé d'affaires wymagany jest „biegły". Samo „Hände hoch" i „schnell" tych wymogów nie spełnia.

Szymon Płaczliwy Hołownia nie porzucił myśli o posadzie ambasadora w Watykanie. Nie ma co prawda wyższego wykształcenia i jakoś tam w lengłydżu mówi. Włoskiego co prawda, poza „basta", „presto" i „forza", to już nie bardzo. A za to ma kumpla w Watykanie. A konkretnie stryjka. Co prawda, nie swojego, tylko Giertycha, ale dobre i to. Nie będziemy się już znęcać nieśmiertelną frazą o stryjku i kijku.

Swoją drogą przypomniała nam się historia innego, choć niedoszłego ambasadora w Watykanie. Otóż za czasów, kiedy na czele resortu stał Władysław Bartoszewski, na placówkę o mało nie wyjechał znany polski arystokrata z jednego z najbardziej znakomitych rodów mający rezydencję poza granicami kraju. Nominacja już właściwie czekała tylko na podpisy ministra i prezydenta, kiedy z Watykanu doszła informacja, że może być problem z tzw. agrément. Zwrócono uwagę, że za Spiżową Bramą mają już dosyć skandali seksualnych i raczej nie należy wysyłać na placówkę czynnego homoseksualisty. Dano do zrozumienia, że już z dwojga złego wolą starą pannę. Padło na Hannę Suchocką.

Prawda jednak jest taka, że Radek Sknerus Sikorski mało się już przejmuje swoją karierą jako minister spraw zagranicznych puczystowskiego rządu Donalda Tuska. Dużo ciężej pracuje nad zbudowaniem ekipy na swoją kampanię wyborczą. Nie, nie chodzi o wybory w 2027 r. Tylko o wybory prezydenckie w roku 2030. Mamy radę, by uważniej dobierał współpracowników, bo na razie jeden z tych, którzy dostali propozycję, przyszedł do nas i wszystko opowiedział.

Nasza wpływowa rubryka ma także wiewiórki w innych krajach i dzięki nim możemy dzielić się informacjami z życia wewnętrznego europejskich potęg. Na przykład taka Francja. Myślicie, że to, co się tam dzieje na ulicach, to jakieś wielkie halo? No to posłuchajcie – generał żandarmerii francuskiej zdradził w pewnej nieoficjalnej rozmowie, że pięć miesięcy na szczeblu centralnym przygotowują się logistycznie do tego, co będzie się działo po wygranej Marine Le Pen po wyborach prezydenckich. A co będzie się działo? No, mniej więcej piekło.

Przy okazji dementujemy plotki, jakoby Christine Lagarde, ustępująca szefowa Europejskiego Banku Centralnego, miała wystartować w wyborach na prezydenta przeciw Marine Le Pen. Raczej nie. Słyszeliśmy natomiast, że ma być obnoszona jako przyszły kandydat na premiera, jeśli wygrałby Édouard Philippe. ©℗

KONDOLENCJE

Piotrowi Kowalczukowi

wyrazy głębokiego współczucia

z powodu śmierci

ŚP.

Ojca

składają koledzy

z tygodnika „Do Rzeczy"

eprasa.pl c1e5dafed4

TRUMP, XI I PUTIN NA SZCZYCIE APEC OGŁOSILI „DEKLARACJĘ POKOJU”

Przywódcy trzech największych mocarstw nuklearnych świata – Donald Trump, Xi Jinping oraz Władimir Putin – usiedli w czwartek do okrągłego stołu. Gospodarz historycznego spotkania, do którego doszło w chińskim Shenzhen na marginesie szczytu Wspólnoty Gospodarczej Azji i Pacyfiku (APEC), prezydent Xi Jinping, zaznaczył, że „wielkie mocarstwa ponoszą wspólną odpowiedzialność”. Jednocześnie podkreślił wagę współpracy Chin, USA i Rosji w rozwiązywaniu takich globalnych wyzwań jak wojna w Iranie, rosyjska inwazja na Ukrainę czy współpraca gospodarcza.

– Tworzymy tu historię. Mamy bardzo dużo do omówienia. Jako prezydenci trzech światowych mocarstw mamy szczególną odpowiedzialność, aby utrzymać dialog w duchu poszanowania w kwestiach wpływających nie tylko na naszych ludzi, lecz także na całą planetę – mówił prezydent USA Donald Trump. – Nasze państwa mają wiele wspólnych interesów w rozwiązywaniu konfliktów regionalnych, w tym oczywiście konfliktu na Ukrainie – oświadczył z kolei Władimir Putin.

Następnie liderzy Chin, USA i Rosji – już bez udziału mediów – przez ok. 90 minut dyskutowali m.in. o sytuacji międzynarodowej, bezpieczeństwie energetycznym, a także o zaprowadzeniu i utrzymaniu pokoju na świecie.

Po zakończeniu rozmów przywódcy USA, Chin i Rosji przyjęli wspólną deklarację „na rzecz pokoju”, która dotyczy m.in. wspólnej zgody na reformę ONZ, zwiększenia produkcji i dostaw produktów rafinacji ropy naftowej, a także podjęcia rozmów w sprawie zapobiegania proliferacji broni jądrowej. „Wojny nuklearnej nie da się wygrać i nigdy nie wolno do niej dopuścić” – czytamy w dokumencie. ©℗

FOT. SERGEI BOBYLEV/TASS/ZUMA PRESS/FORUM

prasa.pl e1e5dafed4



cpress.pl c1e5dafed4

Nowy atak na dziennikarzy



Rafał A. Ziemkiewicz

Miało być inaczej: fala białych kasków wdzierająca się do siedziby telewizji Republika, tak samo jak wcześniej do Trybunału Konstytucyjnego, prokuratorzy plombujący pod ich osłoną urządzenia stacji i konfiskujący twarde dyski... Tym razem nie wyszło, co nie znaczy, że nie będzie kolejnych prób



FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Wbrew publicznym wezwaniom Romana Giertycha i jego farmy trolli, od początku listopada prowadzących w mediach społecznościowych propagandowe przygotowanie ataku na Sąd Najwyższy, na razie to nie on stał się kolejnym celem prowadzonego przez Donalda Tuska „pełzającego zamachu stanu", ale media. Oczywiście te niezależne od rządu i wielkich korporacji, z natury żywotnie zainteresowanych dobrymi stosunkami z władzą. Wydaje się, że to zmiana planów, o której internetowej orkiestry Giertycha po prostu nie powiadomiono. Tusk zdał sobie sprawę, że media dają mu niewystarczającą ochronę, by mógł swobodnie iść dalej zamierzoną drogą, i że musi z tym coś zrobić.

ROZPRAWA Z CIEMNOGRODEM

Wbrew powszechnie wyznawanemu stereotypowi Donald Tusk bynajmniej nie jest i nigdy nie był zręczniejszy w posługiwaniu się medialną, jak sam to kiedyś określił, wajchą, od innych polityków. To, że był w mediach przez wiele lat pokazywany w sposób zgoła hagiograficzny, nie wynikało z umiejętnego zarządzania swym wizerunkiem ani przypisywanej mu PR-owskiej sprawności. Wynikało ze spontanicznego entuzjazmu dominującej w wielkich stacjach i redakcjach państwowych i korporacyjnych liberalnej lewicy dla „naszego" przywódcy, który – jak wierzyło to środowisko – rozprawi się ostatecznie z „polskim ciemnogro-

eprasa.pl c1e5dafed4

dem" i wypędzi go do krucht, na wiochę, gdzie ciemnogrodzianie „wymrą jak dinozaury". Gwiazdy TVN, „przedpisowskiej" TVP czy Springera wiedziały oczywiście, z której strony chleb jest posmarowany, ale zarówno rentę czerpaną ze wspierania władzy, jak i sam fakt, że trzeba ją wspierać, bo jest nasza, „demokratyczna" i „europejska", traktowały jako coś oczywistego i nie trzeba im było tego specjalnie nakazywać.

To przekonanie w oddanych Tuskowi mediach trwa. Joanna Miziołek opowiadała niedawno w swym podcaście, jak w jej obecności zachowywali się „niezależni dziennikarze", z którymi zaproszono ją do jednego z telewizyjnych programów formuły „meet the press". Rozmawiając poza kamerą o bieżących wydarzeniach, mówili wprost: premier powinien udawać, że tej sprawy nie ma, powinien ją przykryć tym, a najlepiej w odpowiedzi uderzyć w „Batyra" i „Kaczora" tamtym… Nikt nie próbował ukrywać, że nie czuje się żadnym niezależnym komentatorem, tylko żołnierzem swojego obozu politycznego.

USUNIĘCIE „PRAWICOWEJ" NARRACJI

Rzecz w tym, że oddaniu władzy towarzyszyło w tym środowisku przekonanie, że jest naturalną, niekwestionowaną elitą, że imponuje i że prosty Polak ufa mu bez reszty. Donald Tusk wydawał się je podzielać. Uniemożliwiało to „obozowi demokratycznemu", jak się po orwellowsku nazwali zwolennicy monopolu na władzę liberalno-lewicowego establishmentu bez względu na głos wyborców, zrozumienie mechanizmu stopniowego wzrostu popularności mediów i influencerów piętnowanych jako „prawicowe", mimo sekowania ich przez reklamodawców i dystrybuujące pieniądze od nich domy medialne, utrudniania wypełnia dziennikarskich obowiązków, uniemożliwiania wstępu na konferencje prasowe czy relacjonowania wydarzeń tego rodzaju, jak przesłuchanie prezydenta Bronisława Komorowskiego w sprawie „afery marszałkowej".

Obejmując władzę trzy lata temu, Tusk był przekonany, że aby zupełnie usunąć z życia publicznego „prawicową" narrację, wystarczy przejąć TVP, a innym nieliberalnym mediom odciąć pieniądze ze spółek Skarbu Państwa, którymi za swych rządów rekompensował im PiS w pewnym stopniu skutki wspomnianego bojkotu domów medialnych. Dodatkowo nakazał Tusk propagandowo nadać wykupywaniu tam za czasów PiS na zasadach rynkowych reklam czy przyznawaniu rozliczonych zgodnie z prawem grantów na konkretne, uzasadnione interesem publicznym działania, znamiona przestępstwa. Właśnie po to osadzano niewinnych ludzi w aresztach śledczych, próbując wymusić na nich kompromitujące niezależne media zeznania. Także nasz tygodnik padł ofiarą tamtej fali ataków – już od trzech lat kontrolowane przez Koalicję Obywatelską urzędy próbują „znaleźć jakąś podstawę prawną" do żądania zwrotu pomocy udzielonej przez Fundusz Sprawiedliwości naszym staraniom o prostowanie rozpowszechnianych w świecie kłamstw na temat „polskiej odpowiedzialności za Holocaust" i do odmowy wypłaty większej części przyznanego na to funduszu. Nie muszę pewnie dodawać, że ani w naszym przypadku, ani w innych podstawy tej dotąd nie znaleziono.

Donald Tusk, obejmując trzy lata temu władzę, był przekonany, że aby zupełnie usunąć z życia publicznego „prawicową" narrację, wystarczy przejąć TVP, a innym mediom odciąć pieniądze ze spółek Skarbu Państwa

BOJKOT REPUBLIKI I KANAŁU ZERO

Generalnie te pierwsze próby oczyszczenia mediosfery z antyrządowego przekazu okazały się przeciwskuteczne. Symbolem tej nieskuteczności stała się telewizja Republika, która po siłowym, bezmyślnym zniszczeniu mediów tzw. publicznych błyskawicznie wyrosła z niszowego medium na najbardziej wpływową telewizję informacyjno-publicystyczną w kraju. Ogłoszony bojkot reklamowy (pod pretekstem rzekomo „skandalicznych" słów Jana Pietrzaka, w sprawie których minister Bodnar obiecał nawet wszcząć śledztwo, ale go nie wszczął, bo okazało się, że cytowane po tysiąckroć z oburzeniem zdanie w oryginale brzmiało zupełnie inaczej i nic skandalicznego w nim nie było), zakaz wstępu dla dziennikarzy republiki na wszelkie oficjalne wydarzenia oraz uporczywe nazywanie jej przez polityków związanych z władzą „pisowskim radiowęzłem" tylko zradykalizowały jej przekaz, w miarę tej radykalizacji podnosząc jej oglądalność.

Bardziej jednak bolesną dla władzy przegraną okazało się wyrośnięcie na internetową potęgę Kanału Zero Krzysztofa Stanowskiego. O ile Republika nadaje dla miliona zdeklarowanych zwolenników PiS, o tyle Stanowski zdemolował „klasie panującej" mechanizmy „hakowania umysłów" niezdeklarowanych politycznie „normalsów". Tym skuteczniej, że chętniej od patriotycznego patosu posługuje się drwiną i ironią. Nie powiodła się próba zamknięcia Stanowskiego w „pisowskiej" bańce, podobnie jak nie udało się pozbawienie go reklam, w świecie internetowym zarządzanych według innych zasad – jedynie kiedy próbował przenieść swój kanał do tradycyjnej telewizji, został mocno przez reklamowy oligopol, a konkretnie przez dom medialny TVN, przyblokowany i cały projekt omal nie upadł. Natomiast kompletną kompromitacją mediów rządowych, zwłaszcza „Gazety Wyborczej", skończyła się próba skompromitowania Stanowskiego jako rzekomo umoczonego w szemrane biznesy z branżą hazardową i bukmacherami. Po tej pierwszej kolejne próby, w których strona rządowa nie ustaje, wypadają coraz bardziej blado. Środowisko lewicowo-liberalne, które swego czasu stworzyło kult „młodych, wykształconych z wielkich miast", straciło nad młodymi, żyjącymi głównie w Internecie, „rząd dusz" i niezmiernie je to frustruje.

PROPAGANDA MEDIOSFERY

Dla premiera i jego formacji istnienie rozległej mediosfery, której ani nie potrafią sobie podporządkować, ani zniszczyć, to jednak coś więcej niż powód do frustracji. Rzecz w tym, że

eprasa.pl c1e5dafed4

propaganda przypomina dmuchanie balonu. Dopóki wszyscy dmuchają go zgodnie, dopóty przeciętny widz czy czytelnik ulega wrażeniu, że kłamstwo jest oczywistością i powszechnie uznawaną prawdą. Gdy jednak znajdzie się w pobliżu ktoś z wystarczająco ostrą szpilką, z balonu zaczyna uchodzić powietrze albo wręcz pęka, jak pękła swego czasu propaganda PRL-owska. Tak było np., gdy w „Rzeczypospolitej" zamieściliśmy zaraz po premierze książki Jana Tomasza Grossa „Złote żniwa" rzetelną, miażdżącą i podpartą odpowiednimi autorytetami krytykę jego fałszów i nadużyć. Cała przygotowana już, kolejna kampania „pedagogiki wstydu", w zamierzeniu mająca być powtórką z tego, co udało się michnikowszczyźnie zrobić wokół Jedwabnego i książki „Sąsiedzi", została skompromitowana na samym początku.

Podobnie stało się teraz, po tragedii na krakowskim Rynku Głównym. Rząd zareagował według wzoru wielokrotnie dawniej przećwiczonego, choćby w sprawie Smoleńska, kiedy to kilkanaście minut po katastrofie Radosław Sikorski rozsyłał instrukcję: „Zawinili piloci, lądując na siłę, domyślacie się, kto ich do tego zmusił". Minister Kierwiński od razu narzucił kłamstwo o „skrajnie prawicowym fanatyku", a życzliwe media o świetnym przygotowaniu i wzorowej akcji policji.

Jeśli Tusk chciał się wedrzeć do TV Republika, niepomny, jak sam zbudował jej obecną siłę, to oznacza, że zaczyna być oderwany od rzeczywistości i obsesyjny

Tylko że tym razem, kilka minut wcześniej, rozpoczął relację na żywo z krakowskiego rynku Tomasz Sakiewicz (przypadkiem, a może nie, szaleniec zaatakował właśnie w chwili, gdy w pobliżu odbywała się relacjonowana przez Republikę manifestacja w obronie Trybunału Konstytucyjnego). I mimo całej uruchomionej maszyny zorganizowanego oburzenia na tę rzekomo „skandaliczną" relację kłamstwa Kierwińskiego i policji zostały od razu zakwestionowane. Widzowie TVN24 czy TVP Info tego oczywiście nie wiedzą (ta druga, wbrew oczywistym faktom, posunęła się nawet do twierdzeń, że Republika długo nie relacjonowała wydarzeń w Krakowie i rzucała oskarżenia ze studia), stan umysłów żelaznego elektoratu PiS Tuska nie obchodzi, ale wielu „normalsów" zobaczyło zdjęcia, obejrzało filmy z miejsca zdarzenia i wysłuchało świadectw obecnych na miejscu, przekonując się, że propaganda rządowa jest całkowicie sprzeczna z faktami. Policji faktycznie nie było, bo wysłano ją w większości do Warszawy, dwaj bohaterscy funkcjonariusze, którzy ocalili Kraków przed znacznie większą masakrą, znaleźli się w pobliżu wskutek szczęśliwego zbiegu okoliczności i mimo ogłoszonego dla celów rządowego PR stanu podwyższonego niebezpieczeństwa nie byli oni należycie wyposażeni ani uzbrojeni, a ekwipunek, który ocalił im życie, dokupili sobie sami za własne pieniądze.

POWRÓT PAŃSTWA POLICYJNEGO?

Wydaje się, że Tusk zrozumiał, iż nie może sobie pozwolić na kolejne kroki w pełzającym zamachu stanu, gdy jego media kontrolują już tylko 30-procentową bańkę żelaznego elektoratu liberalnej „klasy panującej" rodem z Magdalenki i nie potrafią skutecznie narzucić narracji szerzej. Potrzebuje powrotu do czasów, gdy kłamstwa o „kilometrówkach Andrzeja Dudy" rezonowały wszędzie, bez możliwości skutecznego dementi. I uznał, że nie przywróci tego stanu samym tylko głodzeniem „prawicowych" mediów, choć trwa ono i jest zaostrzane (oprócz nagonki na Republikę, w którą włączyli się kolejni korporacyjni reklamodawcy, warto też zwrócić uwagę na „cudowną" zmianę, z dnia na dzień, w naliczaniu przez Nielsena zasięgów reklam telewizji wPolsce24).

Stąd policyjne włamania do mieszkań kolejnych dziennikarzy pod pozorem „informacji" o rzekomo znajdujących się tam bombach, terrorystach czy porwanych dzieciach (skądinąd, analogiczna przyczyna, „informacja o zaistniałym zagrożeniu pirotechnicznym" była też przecież oficjalnym pretekstem policyjnej inwazji na Trybunał), stąd zastraszanie ich coraz bardziej absurdalnymi zarzutami prokuratorskimi, stąd przyśpieszenie prac nad internetową cenzurą pod pretekstem wdrażania eurodyrektywy DSA i ochrony przez „putinowską dezinformacją".

Stąd także najbardziej spektakularna akcja ostatnich dni i zarazem najbardziej spektakularny niewypał: najście na Republikę trzech oficerów Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości z prokuratorskim pismem żądającym od telewizji wydania materiałów dokumentujących wydarzenia pod siedzibą TK. Żądaniem idiotycznym, zważywszy na to, że wszystkie te materiały były transmitowane na żywo, więc prokuratura może je zgodnie z prawem otrzymać od KRRiT.

Identyczne pismo do telewizji wPolsce24 wysłano po prostu pocztą. Dlaczego w wypadku Republiki przyszli z nim policjanci? Dlaczego byli to oficerowie elitarnej jednostki, przeznaczonej do zupełnie innych zadań – na dodatek wysłani metrem, co pozwoliło Republice kompletnie ich ośmieszyć transmitowaną na żywo „pogonią" za nimi?

ŁUKASZENKOWSKIE REPRESJE

Nie sposób tego wyjaśnić inaczej, niż cytując szeroko powtarzaną w policji, przeważnie z dumą, plotkę, że garnizon warszawski miał się tym razem postawić ministrowi Kierwińskiemu i odmówić wykonania wątpliwego z punktu widzenia prawa rozkazu. Podobno bowiem miało to, wedle rozkazów „Kierownika", wyglądać zupełnie inaczej: fala białych kasków wdzierająca się do siedziby telewizji Republika, tak samo jak wcześniej do Trybunału Konstytucyjnego, prokuratorzy plombujący pod ich osłoną urządzenia stacji i konfiskujący twarde dyski oraz wyłączenie emisji (bo po co innego potrzebne by były w takiej akcji umiejętności specjalistów od „cyber"?).

Jeśli Tusk rzeczywiście chciał posunąć się do takiej hucpy, niepomny, jak sam zbudował swego czasu obecną siłę Republiki, nakazując wejście „na rympał" do TVP, którą mógł był w kilka miesięcy przejąć zupełnie legalnie, to znaczy, że „Kierownik" zaczyna być oderwany od rzeczywistości i obsesyjny.

A jeśli tak jest, to znaczy, że – niestety – będzie próbować nadal i opozycyjni dziennikarze muszą przygotować się na kolejne łukaszenkowskie represje…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c1e5dafed4

Najdłuższa wojna w dziejach III RP



Piotr Semka

Telewizja Republika „reprezentuje dużą część społeczeństwa". W tej sytuacji odebranie akurat jej koncesji daje naturalną przewagę całkowicie kontrolowanej przez rząd Donalda Tuska telewizji publicznej

Do niezwykle ciekawej wymiany zdań doszło 15 listopada br. w programie komentatorskim „Wydarzy się" na antenie TVP. Prowadząca Aleksandra Pawlicka zaprosiła do dyskusji przedstawicieli OKO.press, „Rzeczpospolitej", „Newsweeka" i publicystę Jacka Żakowskiego. Dyskutowano o tym, czy wypowiedź Tomasza Sakiewicza, szefa TV Republika, na temat obecności policji na krakowskim rynku powinna doprowadzić do odebrania koncesji tej stacji. Warto zacytować spory fragment tej pouczającej rozmowy

Marcin Piasecki („Rzeczpospolita"):

„Sakiewiczowi udało się zrobić jedną rzecz [...], stworzył jakiś nowy format tego medium, składający się z tych wszystkich klocków, o których tu mówimy. Tylko może warto, i to na poważnie, zadać pytanie [...], jak to się ma do koncesji?".

Dariusz Ćwiklak („Newsweek"):

„Dostali koncesję na telewizję informacyjną, a nie handlową".

Marcin Piasecki:

„Handlową, a nie skrajną, radykalną".

Jacek Żakowski (Radio TOK FM):

„To jest śmiertelnie groźne pytanie. Bo już zmierzamy do tego, żeby ich zamknąć. Otóż nie da się tak zrobić w demokratycznym kraju, żeby zamknąć takie medium. A do tego zmierzamy. Tak mi się wydaje".

Aleksandra Pawlicka (neo-TVP):

„Nie, Jacku, my tu stawiamy pytanie...".

Jacek Żakowski:

[...] To jest też porażka tych trzech lat rządów, trzeba powiedzieć [...]. Potęga telewizji Republika i jej znaczenie wynikają z tego, że nie udało się stworzyć mediów publicznych, które nie byłyby kojarzone z żadnym obozem politycznym. Dziś minister kultury mianuje tam likwidatora i rząd jest właścicielem tego medium, w którym jesteśmy. Choćby dziennikarze nie wiem jak dobrze pracowali, to zawsze będzie problem".

REPRESYJNY SPOSÓB MYŚLENIA

Jeszcze raz przepraszam za ten długi cytat, ale jak w soczewce skondensował on problemy, jakie wiążą się z kampanią mediów prorządowych mającą na celu żądanie odebrania koncesji TV Republice.

Jackowi Żakowskiemu zdarza się co pewien czas jako jednemu z niewielu publicystów z obozu liberalno-lewicowego stawiać pytania celne i uczciwe. Pytania, która jak flesz oświetlają aktualną sytuację. W tym wypadku wskazał on na prawdziwą przyczynę ataków na telewizję Tomasza Sakiewicza. Przypomniał, że TV Republika „reprezentuje dużą część społeczeństwa". W tej sytuacji odebranie akurat jej koncesji daje naturalną przewagę całkowicie kontrolowanej przez rząd Donalda Tuska telewizji publicznej i innym stacjom „trzymającym się środka". Ale być może jeszcze ważniejsze było zdanie, które dość spontanicznie wyrwało się Żakowskiemu na samym początku tej debaty. Powtórzmy je: „Zmierzamy do tego, żeby ich zamknąć. Otóż nie da się tak zrobić w demokratycznym kraju". Przypomnijmy, że przy stole dyskusyjnym programu „Wydarzy się" zgromadziło się pięciu przedstawicieli różnych mediów. Spośród nich cała czwórka brała pod uwagę jako coś normalnego faktyczną likwidację ważnej stacji telewizyjnej. Tylko jedna osoba uznała to za coś groźnego i niepokojącego. Ten stosunek – cztery głosy do jednego – pokazuje, jak bardzo antydemokratyczne standardy wprowadzane przez Donalda Tuska uznawane są w mainstreamie medialnym za coś normalnego. Oczywiście wynikało to także z tego, że prawie wszyscy uczestnicy dyskusji reprezentowali spektrum liberalno-lewicowe.

Ale pokazuje to też jeszcze jedno zjawisko, na które zwraca się dziś uwagę coraz częściej. Na rosnący represyjny sposób myślenia osób powołujących się na tradycje liberalizmu. Bo przecież jeśli ścisnąć w garści zarzuty wobec Republiki, to są one bardzo dyskusyjne. Jedna emocjonalna wypowiedź redaktora naczelnego tej stacji, uchwycona w bardzo specyficznym momencie pierwszych minut szoku po zamachu w Krakowie, ma być przesłanką do odebrania koncesji? Dariusz Ćwiklak z „Newsweeka" oburza się na elementy handlowe działalności TV Republiki, w sytuacji gdy bardzo wiele mediów

eprasa.pl c1e5dafed4

reklamuje jakieś produkty czy wydawnictwa. Z kolei Marcin Piasecki z „Rzeczpospolitej" uznaje, że przesłanką do zainteresowania aparatu państwa ma być to, że ma być jakaś „skrajność" czy „radykalność". A gdzie wolność słowa? Ale cała ta dyskusja skłania do głębszej refleksji. W jakim zakresie okres po 1990 r. możemy uznać za demokratyczny, w sytuacji gdy wszystkie prawicowe media w ciągu ostatnich 36 lat były na rozmaite sposoby atakowane lub doprowadzano do zakończenia ich działalności. Pod tym kątem warto spojrzeć na ostatnie trzy dekady.



Goście programu „Wydarzy się" prowadzonego na antenie TVP przez Aleksandrę Pawlicką. Od lewej: Marcin Piasecki („Rzeczpospolita"), Magdalena Chrztonowicz (OKO.press), Dariusz Ćwiklak („Newsweek") i Jacek Żakowski (Radio TOK FM) FOT. TVP INFO

NIE KIJEM GO, TO PAŁKĄ

Zacznijmy od podstawowej konstatacji. Na 36 lat III RP tylko 10, może 11 lat można uznać za okresy, w których prawica samodzielnie sprawowała władzę. Naprawdę to częściowo okres rządu Jana Krzysztofa Bieleckiego, potem krótkie pół roku rządu Jana Olszewskiego, półtora roku rządów PiS w latach 2006–2007 i osiem lat podwójnych rządów PiS. W całym pozostałym okresie sprawowania władzy, czyli łącznie przez 24 lata, rządy czy to SLD i PSL, czy to AWS zdominowanego przez koalicjanta z UW, czy też wreszcie koalicji zdominowanych przez Platformę Obywatelską, jeśli tylko mogły, starały się wpływać na osłabienie lub wręcz likwidację mediów uznawanych za prawicowe. Bardzo często zresztą furię wywoływało nawet nie tyle całkowite zdominowanie danego medium przez publicystów potrzebnych jako „prawa strona", ile ich symboliczna obecność. Tak było np. w TVP za kadencji prezesa Walendziaka, w której postacie kojarzone z przeszłością z PRL czy z „Gazetą Wyborczą" miały swoje własne programy, ale Walendziaka uparcie chciano wysadzić z siodła tylko dlatego, że akceptował obecność ok. parunastu publicystów, którzy doprowadzali do furii liberalne elity. Ale nawet samo dochodzenie prawicy do władzy w rozmaitych epizodach okresu ostatnich trzech dekad nie zmieniało np. istoty rynku medialnego, w którym w większości wypadków zachodni inwestorzy preferowali dziennikarzy z obozu okrągłostołowego.

Wręcz tworzono z tego całą ideologię. Dziesiątki „medioznawców" uwielbianych przez takie tytuły jak Press czy Wirtualne Media udowadniały, że wydawanie dzienników czy tygodników dla ludzi o poglądach prawicowych jest nieopłacalne. Z wyraźną klasową wyższością twierdzono, że czytelnik konserwatywny jest tępy, głupi, małomiasteczkowy lub wiejski i na dodatek stary, więc trudno się dziwić, że domy medialne nie chcą dawać do takich mediów reklam.

NIEFORMALNE WPŁYWY

Jednocześnie nie gardzono naciskami politycznymi lub też przewagą obozu liberalno-lewicowego w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji, w wyniku czego np. zdymisjonowano wspomnianego już prezesa TVP Wiesława Walendziaka. Z kolei naciskami politycznymi tłumaczyła część obserwatorów sceny politycznej wycofanie się z finansowania Telewizji Familijnej przez znanego biznesmena Ryszarda Krauzego. Równie dobrym przykładem nieformalnych wpływów na media były losy dziennika „Rzeczpospolita" oraz tygodnika „Uważam Rze". Według wielu opinii sprzedanie udziałów spółce „Rzeczpospolita" przez norweski fundusz inwestycyjny Mecon na rzecz biznesmena Grzegorza Hajdarowicza było wynikiem presji ze strony przedstawicieli rządu Donalda Tuska. Ale obok tego od początku II dekady XXI w. rozpoczyna się nowy etap walki z prawicowymi mediami. Gdy w 2011 r. tygodnik „Uważam Rze" uzyskiwał bardzo dobre wyniki sprzedaży na poziomie 136 tys. sprzedanych egzemplarzy, część analityków zdobywała się na pełne zaskoczenia wyznanie, że objawiła się rzekomo „grupa zupełnie dotąd niezagospodarowanych dla rynku reklam czytelników". Ale ta sytuacja nie skłoniła tych medioznawców, którzy wcześniej głosili, że nie ma rynku dla prawicowego tygodnika, do wycofania się ze swoich wcześniejszych twierdzeń. W tej sytuacji sięgnięto po dźwignię ostracyzmu kreowanego przez media i autorytety. Pionierem na tym polu był analityk rynku medialnego Jakub Bierzyński, który zaczął inicjować akcję niepublikowania w „Uważam Rze" reklam z racji treści, które prezentuje tygodnik. Bardzo podobna była akcja lewicowego publicysty Tomasza Piątka, który – już wtedy w odniesieniu do tygodnika „Do Rzeczy", który założyliśmy w styczniu 2013 r. – zasypywał Fundację

eprasa.pl c1e5dafed4



„Edukacja bez Granic" e-mailami, w których protestował przeciwko ogłaszaniu się przez nią w tygodniku, prezentując takie czysto handlowe działania jako wspieranie rzekomej homofobii, której Tomasz Piątek dopatrywał się na łamach pisma. W kolejnych latach rolę reżysera akcji przeciwko reklamowaniu się w różnych prawicowych mediach przyjmowała „Gazeta Wyborcza", a za nią także inne portale o profilu lewicowym. .

Akcja walki z niezależnymi mediami zintensyfikowała się jeszcze po dojściu do władzy Donalda Tuska w grudniu 2023 r. Wystarczył jeden, na pewno bardzo wątpliwy pod względem jakościowym żart Jana Pietrzaka na temat emigrantów w TV Republika, który stał się pretekstem do wręcz masowej histerii medialnej. W jej wyniku np. IKEA, mBank, Żabka, Provident, firma Tarczyński i Adamed ogłosiły, że wycofują swoje reklamy. Później doszło do jeszcze bardziej kuriozalnej sytuacji. Jerzy Owsiak, głoszący, że jest atakowany przez Republikę, zażądał publicznie od sieci supermarketów Lidl, by firma ta zdecydowała się, czy chce wspierać Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy czy reklamować się w TV Republika.

Co znaczące, taki szantaż nie wywołał komentarzy innych mediów na temat skandaliczności takiego stawiania sprawy. Zamiast tego słyszeliśmy typowe dla usprawiedliwiania Owsiaka komentarze medialne w stylu: „Czyż można się dziwić, że Jurek stracił cierpliwość?".

NA OSTATNIEJ PROSTEJ

Teraz kampania nacisku na reklamodawców firmy Sakiewicza wraca. Portal Gazeta.pl z wyraźną satysfakcją ogłasza, że „chiński producent wycofuje reklamy z TV Republika". To kolejna firma po RTV Euro AGD i Mastercard. Co charakterystyczne, w pierwszych godzinach po zamachu niesprawdzone informacje na temat okoliczności tragedii publikowały także inne telewizje i rozmaite portale. Ale tylko w wypadku stacji Tomasza Sakiewicza zrobiono z tego jakąś arcyzbrodnię medialną, która ma powodować wycofywanie reklam. Znawcy rynku medialnego w nieoficjalnych rozmowach wskazują, że branża reklamowa zdominowana jest przez „młodych, wykształconych z wielkich miast", którzy bardzo często z własnej inicjatywy proponują swoim szefom wycofanie się z reklamowania w Telewizji Republika.

Niezależnie jednak od socjologicznego tła tego zjawiska ekipa Donalda Tuska korzysta na takich tendencjach w swojej walce ze znienawidzoną stacją. I np. masowy wysyp wręcz nienawistnych wobec Republiki komentarzy polityków z obozu Donalda Tuska może wskazywać, że są to ściśle zorkiestrowane akcje. I rzeczywiście, jeśli spokojnie pomyśleć o taktyce Koalicji 13 grudnia, to istnienie TV Republika znacznie utrudnia realizowanie autorytatywnych planów Donalda Tuska. W momencie siłowego przejmowania Trybunału Konstytucyjnego miliony Polaków oglądały to wydarzenie dzięki transmisji stacji Sakiewicza. Gdyby jej nie było, znacznie łatwiej TVP w likwidacji czy TVN24 byłoby zmarginalizować całkowicie ten temat. Na przykład jako niewiele znaczący incydent.

Ale oczywiście ewentualne zniszczenie TV Republiki może być tylko wstępem do likwidowania kolejnych niewygodnych stacji. Teraz najwięcej irytacji wzbudza TV Republika, ale gdy już jej nie będzie, można wyobrazić sobie sytuację, w której nagłośniona zostanie jakaś myślozbrodnia stacji TV wPolsce.24. Po niej być może Kanału Zero. Zdumiewa obojętny ton, w jakim Krzysztof Stanowski wypowiada się na temat Republiki. Najwyraźniej twórca tej stacji nie wyciąga wniosków z wypowiedzi wpływowego polityka Koalicji Obywatelskiej Bartłomieja Sienkiewicza, który nazywa kanał Stanowskiego „Partia Kanał Zero" i ocenia, że to ona doprowadziła do zwycięstwa Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich w 2025 r.

Dlatego wszelkie dyskusje o zaletach i wadach stacji nadającej z Placu Bankowego muszą schodzić na dalszy plan wobec niepokojącego kursu obecnej władzy do stopniowego eliminowania tych mediów, które uważa ona za niewygodne dla siebie. Stoimy przed rokiem przedwyborczym, w którym Donald Tusk dążyć będzie do wytworzenia najkorzystniejszych warunków dla swojej wygranej. I w tym sensie kampania przeciw Tv Republice to czysta polityka. W tym wypadku polityka z wyjątkowo odrażającą gębą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c1e5dafed4

Tusk jedzie walcem





Łukasz Warzecha

Polskie państwo zajęte jest wyniszczającą wewnętrzną wojną, generującą ogromny poziom niestabilności i niepewności politycznej, podczas gdy świat błyskawicznie się przebudowuje

Donald Tusk jedzie Carlem Schmittem – można przeczytać w metapolitycznych analizach bałaganu, jaki panuje dzisiaj w Polsce w związku z przejęciem budynku Trybunału Konstytucyjnego przez osoby uznające się za sędziów TK. To odwołanie do niemieckiego politologa (1888–1985), w początkowym okresie III Rzeszy prominentnego członka nazistowskiej elity akademickiej oraz członka NSDAP, potem będącego w niełasce, a po drugiej wojnie światowej dumnego naukowego samotnika. Schmitt jest dzisiaj uznawany za jednego z najwybitniejszych myślicieli XX w., aczkolwiek jego najważniejsze tezy budzą dyskomfort nie tylko u idealistów, lecz także u konserwatystów uznających, że państwo powinno opierać się na wartościach, a władza – na solidnym fundamencie legitymacji, mającym swój początek poza nią samą. Schmitt natomiast – mówiąc w dużym uproszczeniu – poszukiwał uzasadnienia w samej sile, jaką dysponuje władza, szczególnie w momentach kryzysu państwa.

Nie wiadomo, na ile pilnym czytelnikiem dzieł Schmitta był lub jest premier Tusk, ale faktycznie w jego ostatnich poczynaniach można odnaleźć echa schmittowskiego podejścia: to, co robimy w Trybunale Konstytucyjnym, jest legalne, bo jest nam potrzebne, a to my mamy władzę. To wystarczy, nie trzeba szukać żadnych innych uzasadnień.

Gorzka ironia tej sytuacji polega na tym, że Carl Schmitt jest jednym z ulubionych filozofów polityki Jarosława Kaczyńskiego. Ten ostatni w czasie dwóch kadencji rządów swojej partii też, jak się wydaje, starał się realizować w praktyce idee niemieckiego myśliciela, jednak robił to mimo wszystko delikatniej i miał większe obiekcje niż „liberał" Tusk. Prezes PiS faktycznie jechał nieraz po bandzie, lecz zawsze dbał, aby jego działania miały podstawę spójną

eprasa.pl c1e5dafed4



FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

z punktu widzenia polskiego systemu prawnego. Jedynym jaskrawym wyjątkiem – znów jak na ironię – było mianowanie nie dwóch, ale pięciu sędziów TK pod koniec 2015 r. Gdyby było ich jedynie dwóch, byłoby to po prostu rozwiązanie problemu, jaki stworzyła wcześniej Platforma Obywatelska wspólnie z PSL, nominując dwóch sędziów TK „na zapas" w końcówce VII kadencji Sejmu, zanim jeszcze kadencje sędziów, których ci mieli zastąpić, dobiegły końca. Jarosław Kaczyński zapragnął jednak czystej sprawczości i w ten oto sposób jesteśmy, gdzie jesteśmy. Mogę mieć gorzką satysfakcję, że ostrzegałem przed skutkami, kiedy PiS przejmował TK pod koniec 2015 r. Nie spodziewałem się jednak, że sprawy zajdą tak daleko.

Jeśli spojrzeć na to, co dzieje się wokół Trybunału, jako na ważną bitwę wojny o państwo, to na razie wygrywa ją premier Tusk za sprawą czystej siły i brutalności, ze wsparciem jednych zewnętrznych czynników, a przy bierności innych, na które liczyli naiwnie jego oponenci. Spójrzmy: osiem osób uznaje się za sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Kto złożył przysięgę wobec prezydenta – to trzy osoby z tego grona – faktycznie sędzią TK jest. Kto takiej możliwości nie miał, ewidentnie sędzią Trybunału nie jest, mimo że został na to stanowisko wybrany przez Sejm. Nie ma tutaj znaczenia, czy uznajemy, że prezydent faktycznie powinien osoby wybrane przez parlament zaprzysiąc. A powinien.

POTĘŻNY PARADOKS

Składanie przysięgi w jakikolwiek inny sposób niż w obecności głowy państwa nie może być uznane za substytut złożenia przyrzeczenia wobec prezydenta – a jednak tak właśnie stwierdziła władza, i to bez żadnych zmian w ustawie. To potężny paradoks: choć to Trybunał mógłby legitymizować władzę wykonawczą, nie zaś odwrotnie – sprawy zostały postawione na głowie: to szef rządu legitymizuje Trybunał, odwołując się po prostu do frazesu, że „tak trzeba i inaczej się nie da". Tusk powiada także, że sprawa jest zamknięta, Trybunał zaczyna „normalnie" działać, wyroki będą publikowane i najlepiej skończyć na ten temat rozmawiać, bo nie ma o czym. To oczywiście nieprawda: absolutnie jest o czym rozmawiać, tyle że na poziomie faktów Donald Tusk ma rację. Grupa osób uznająca się za sędziów TK podejmuje czynności, jakie mogliby podejmować sędziowie TK, a ponieważ ta grupa ma poparcie władzy, która to władza trzyma z kolei w ręku służby – więc istotnie sprawa jest niemal zamknięta. Trzeba jednak w całej swojej brutalnej ostrości dostrzec, jak bardzo schmittowskie jest to rozstrzygnięcie: pięcioro ludzi będących faktycznie przebierańcami (oraz dodatkowo troje będących faktycznie sędziami TK) może skutecznie obsadzić się w roli Trybunału Konstytucyjnego, ponieważ stoi za nimi nie prawo, niejednoznaczna i jasna interpretacja konstytucji, ale siła policyjnych oddziałów prewencji. Faktyczny prezes TK, Bogdan Święczkowski, żałośnie jęczący przed furtką przy Alei Szucha i daremnie domagający się od policjantów, aby wpuścili go do budynku Trybunału, jest żywą ilustracją bezsilności drugiej strony tego sporu.

Bezsilność tej drugiej strony – czyli PiS, który chciałby zagarnąć TK dla siebie – objawia się w dwóch jeszcze czynnikach. Po pierwsze – to fakt, że całkowicie zmarnowany został początkowy kapitał autentycznego, lecz bardzo krótkotrwałego wzburzenia sporej części przeciwników władzy, który pojawił się w chwili przejmowania TK. Jeśli z dzisiejszej perspektywy spojrzeć na wydarzenia z nocy z 30 na 31 października, to, co wówczas wyglądało patetycznie, wzniośle i budziło dreszcz, dzisiaj zaczyna się wydawać żenujące z powodu całkowitej czczości tamtych poczynań.

Owszem, zawrócenie przez prezydenta samolotu z trasy do Senegalu było nie tylko efektowne, lecz także najpewniej niespodziewane dla obozu władzy. Podobnie przyjazd głowy państwa do siedziby TK. Było to również idealnie spójne z wizerunkiem Karola Nawrockiego jako silnego przywódcy. Samemu prezydentowi z pewnością to posłużyło i podbudowało jego pozycję po prawej stronie – a już szczególnie pójście przodem do wejścia do budynku, podczas gdy funkcjonariusze SOP pozostali w tyle. Jednak gdy wewnątrz budynku Karol Nawrocki rozpoczął spotkanie z udziałem zastępcy Prezesa Święczkowskiego, sędziego Bartłomieja Sochańskiego oraz I Prezesa Sądu Najwyższego Zbigniewa Kapińskiego – już wtedy niektórzy zaczęli słusznie pytać, co właściwie miałoby z tego wyniknąć. Jasne przecież było, że prezydent musi w którymś momencie z budynku wyjść. Jasne też było, że gdy to nastąpi, fizyczną kontrolę nad budynkiem przejmie obóz władzy. Tak też się stało. Poza efektem PR-owym korzystnym dla Karola Nawrockiego ta akcja nie niosła ze sobą żadnych konsekwencji.

Pozostał jeszcze czynnik „ludowy", czyli mobilizacja protestujących. Protest przed Trybunałem Konstytucyjnym miał potencjał liczony zaledwie w godzinach, nawet nie dobach. Polacy w ogóle niechętnie protestują spontanicznie i niełatwo ich do tego zmobilizować. To, co się wydarzyło w nocy z piątku na sobotę pod sam koniec października, i tak było ewenementem. Jednak nie bardzo było wiadomo, co ma z tego dalej wyniknąć. Nikt nie zagrzewał do szturmu na

eprasa.pl c1e5dafed4

budynek, policja nie zachowywała się agresywnie (tu pan Tusk wykazał się sprytem i wyczuciem), a też nie było widać na horyzoncie żadnego celu do osiągnięcia. Co w praktyce miało dać stanie pod zamkniętą furtką? Jasne było zatem, że ludzie rozejdą się prędzej niż później.

NA TLE BŁAZNÓW

W sukurs obozowi władzy postanowiło przyjść jego lustrzane odbicie, czyli PiS, oraz Telewizja Republika. Wspólnie oba te podmioty sprowadziły protest do poziomu groteski i prowincjonalnego festynu, bardzo skutecznie zrażając do brania w nim udziału wszystkich spoza grona twardych wyborców partii Jarosława Kaczyńskiego. Protest zatem przestał być dla premiera bardzo szybko problemem. Ba, stał się dla niego nawet korzystnym tłem. Donald Tusk nawet dla swoich letnich zwolenników mógł wyglądać poważnie, stwierdzając rzeczowo, że „Trybunał ponownie działa", skoro wygłaszał te stwierdzenia na tle posła Michała Wójcika, fałszującego na estradzie w Alei Szucha przeboje Krzysztofa Krawczyka czy dziennikarzy Republiki poprzebieranych w milicyjne mundury i ochoczo wymachujących pałeczkami. W dobie, gdy liczą się wymowne obrazy, ten był dobitny aż zanadto: poważny polityk na tle błaznów.

Drugim sprzyjającym władzy czynnikiem jest zagranica. Sięgnięcie po pomysły rodem z Carla Schmitta zyskało pełną aprobatę Komisji Europejskiej, która nie zamierza w tej sprawie podejmować żadnych sprawdzających działań. Nie powinno to być dla nikogo zaskoczeniem. Większym, przynajmniej dla niektórych, może być to, że opozycja nie doczekała się poważniejszej reakcji ze strony Waszyngtonu. Gdy pod Trybunałem Konstytucyjnym gromadzili się spontanicznie protestujący, ambasador USA Tom Rose opublikował na X dość rozpaczliwe, a nawet płaczliwe w tonie oświadczenie, w którym apelował o zachowanie spokoju i sprawiał wrażenie mocno zaskoczonego wypadkami. W kolejnych dniach Amerykanie oficjalnie się już na ten temat nie wypowiadali i milczą do dzisiaj. Jeżeli zatem ktokolwiek, zwłaszcza z obsesyjnie proamerykańskiego PiS, ale również być może z Pałacu Prezydenckiego, miał nadzieję, że Waszyngton w bardziej stanowczy sposób odniesie się do sytuacji – musiał się zawieść.

PROSTA ARYTMETYKA

Jedyne, co mogłoby stanąć na drodze do sukcesu Donalda Tuska, to reset trybunalski. Właśnie: trybunalski, a nie konstytucyjny, bo siły opowiadające się za innym rozwiązaniem niż siłowe zrozumiały już, że szans na zmianę konstytucji nie ma. Wniosek musiałoby złożyć przynajmniej 92 posłów, a poprzeć go – przynajmniej 307 posłów (przy pełnej sali) oraz bezwzględna większość w Senacie. Wziąwszy pod uwagę, że sam klub KO ma 155 członków, jest zatem w stanie samodzielnie, nawet bez Lewicy i bez Centrum, przyblokować zmianę ustawy zasadniczej w Sejmie – nie ma o czym mówić. Stąd pojawiające się ostatnio sugestie, że reset można by przeprowadzić zwykłą ustawą – nie bardzo jednak wiadomo, jak miałoby to wyglądać. Jeśli ci, którzy sugerują takie rozwiązanie, sądzą, że można by skasować obecny skład TK, zmieniając ustawy o statusie sędziów Trybunału Konstytucyjnego oraz o organizacji i trybie postępowania przed TK, zapominają, że byłaby to metoda równie wątpliwa co ta zastosowana w 2015 r. przez PiS. A to oznacza, że zamierzona naprawa TK faktycznie dalej by go psuła. Przede wszystkim zaś, jak się właśnie okazuje, kto ma władzę i siłę, ten ma Trybunał. Gdyby nawet wspomniane ustawy udało się zmienić, rządzący najpewniej uznaliby, że z jakiegoś powodu – jego znalezienie przez usłużnych prawników to kwestia wtórna – można się ustawom nie podporządkować.

Konfederacja jako pierwsza partia proponowała reset trybunalski w wersji konstytucyjnej – jedynej, która faktycznie mogłaby położyć kres sporowi. Dzisiaj jeden z liderów ugrupowania, Krzysztof Bosak, przytomnie stwierdza, że „w tej kadencji Sejmu szanse na reset konstytucyjny oceniam na bardzo niskie, w następnej także jako niskie". Wynika to z prostej arytmetyki i z faktu, że – jak zauważa wicemarszałek Sejmu – „te dwie partie [PiS i KO] w tej chwili blokują jakiekolwiek porozumienie w sprawie resetu konstytucyjnego, chcą kontynuować ten spór i brnąć w niego coraz głębiej".

W tej sprawie przerażające jest, że naga siła triumfuje nie jedynie nad prawem, ale również nad nawet najbardziej podstawowym poczuciem powinności wobec państwa. Patrząc z boku, jeden z podstawowych węzłów politycznych i prawnych Polski jest w całkowitym chaosie. Do tego nakłada się odcięcie pieniędzy dla TK przez NBP – skądinąd obiektywnie zrozumiałe w sytuacji, kiedy dwie różne osoby twierdzą, że kierują Trybunałem. Orzeczenia, jakie za moment zacznie ogłaszać pseudotrybunał pod kierownictwem pani Korwin-Piotrowskiej, będą miały niejasny status. Władza będzie je oczywiście wykonywać, ale z samego tego faktu nie weźmie się ich legitymacja. Co zaś stanie się z nimi po zmianie władzy? Nie wiadomo. Niektóre koncepcje resetu zwracają uwagę na ten problem – np. ta przedstawiona przez Klub Jagielloński – ale jak się rzekło, szans na ich realizację raczej nie ma.

Wszystko to oznacza, że polskie państwo zajęte jest wyniszczającą wewnętrzną wojną, generującą ogromny poziom niestabilności i niepewności politycznej, podczas gdy świat się błyskawicznie przebudowuje. W tym samym czasie, kiedy polskie media i politycy zajęci są wydzieraniem sobie TK, w Shenzhen spotyka się wielka trójka: Trump, Xi i Putin. To symboliczne i bardzo wymowne.

Zewnętrzni obserwatorzy rozumieją też zapewne, że skoro władza w Polsce poszła całkowicie na rympał, to musi się spodziewać, iż w razie zmiany politycznej przeciwnicy również pójdą na rympał, nawet jeszcze bardziej. Narasta zatem motywacja, aby nie pozwolić im wygrać, sięgając po wszelkie środki. W ten sposób samo przejęcie TK jest zarazem jednym z powodów, dla których trzeba się będzie zapewne uciec do drastycznych metod utrzymania władzy – i jedną z tych metod. Ot, paradoks.

Chciałbym, aby ta diagnoza stała się nieaktualna może nawet w momencie, gdy dotrze do czytelników „Do Rzeczy". Chciałbym, aby na zasadzie deus ex machina pojawiło się jakieś rozwiązanie, które zawróci nas z fatalnej drogi. Obawiam się jednak, że będę miał rację: reakcja opozycji i obozu prezydenckiego ugrzęźnie w niekończących się obradach i uzgodnieniach, a w tym czasie Donald Tusk umości się na fotelu kierowcy swojego walca i wrzuci czwarty bieg.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c1e5dafed4

KONCERT NOWOROCZNY
NAJSŁYNNIEJSZEJ ORKIESTRY JOHANNA STRAUSSA

Johann STRAUSS

The King of Waltz



ORCHESTRA JOHANN STRAUSS ENSEMBLE

MARKUS HUBER, conductor

23 stycznia 2027

ATLAS ARENA, ŁÓDŹ

BILETY: BILETSERWIS.PL

Prestige MJM · BILET SERWIS · KUPFER KULTUR & MEDIA · OFICJALNY PARTNER HOTELOWY: Alden PHH · RMF CLASSIC · VIXON MEDIA · proart

eprasa.pl c1e5dafed4

Licencja na zabijanie



Jerzy Karwelis

Polskie przepisy chronią agresywne psy bardziej niż ich ludzkie ofiary, przez co zwierzęta, które spowodowały śmiertelne ataki, bez przeszkód wracają na nasze ulice, skwery i place zabaw

Miał 45 lat, był kierowcą tira. 12 października 2025 r. zatrzymał się na MOP Racula, bo tachometr wskazywał na konieczną przerwę w jeździe. Poszedł więc na grzyby do okolicznego kompleksu leśnego. Psy zaatakowały go nagle, były to trzy owczarki belgijskie, które nie po raz pierwszy uciekły z terenu pobliskiej strzelnicy. Zaatakowały jak polujące stado; postawny 190-centymetrowy mężczyzna nie miał szans. Zdążył jeszcze zadzwonić po pogotowie, zanim zemdlał. Badania stwierdziły później, że owczarki „dojadały" części ciała nieprzytomnego mężczyzny. W szpitalu, ratując go, amputowano mu wszystkie kończyny. Niestety po trzech dniach walki i cierpień kierowca zmarł.

Jak państwo sądzą, co się stało z tymi psami? Otóż te trzy owczarki mogą państwo państwo spotkać obecnie na ulicy. Tak. Chodzące być może i bez kagańców, i bez smyczy. Biegające nawet po placach zabaw dla dzieci. Możecie je prawdopodobnie spotkać w tym samym trzyczłonowym stadzie, w którym zagryzły kierowcę. Pozwala na to prawo polskie, które humanizuje relacje ze zwierzętami, dając – uwaga! – kolejną szansę na poprawę agresywnych zwierząt. Nawet kosztem zagrożenia każdego z nas. Dlaczego tak się dzieje?

PATOLOGIA PRAWA

W Polsce mamy do czynienia z ponad 36 tys. pogryzień – jak wynika z raportu Izabeli Kadłuckiej, sporządzonego we współpracy z Siecią Obywatelską Watchdog. Jaka jest sytuacja prawna właścicieli i samych zwierząt po takim

Właściciele i hodowcy psów rodowodowych, np. rottweilerów, zamieszczają w mediach społecznościowych nagrania, na których spacerują z psami bez kagańca w miejscach publicznych

eprasa.pl c1e5dafed4


FOT. ADOBE STOCK

przypadku? Za niedopilnowanie zwierzęcia (np. brak smyczy) kara (mandat od policji) to 50–250 zł lub wniosek o ukaranie do sądu – maksymalnie 1000 zł, choć taka kwota występuje bardzo rzadko. Za stworzenie zagrożenia dla życia i zdrowia: 250–500 zł (mandat od policji) lub wniosek o ukaranie do sądu – maksymalnie 5000 zł, najczęściej nie więcej niż 2000 zł. Trudno uwierzyć, że sytuacja zagrażająca życiu może być kwalifikowana jako wykroczenie. Policja nie jest chętna stawiać zarzutów karnych za pogryzienie. Oczywiście można się sądzić cywilnie.

Prawo zabrania odebrania agresywnego zwierzaka właścicielowi, nawet jeśli ten nad nim nie panuje. Prawo też zabrania uśmiercania agresywnego zwierzęcia, nawet jeśli z diagnozy biegłych wynika, że dany osobnik nie tylko jest agresywny, lecz także poluje na ludzi i nie rokuje żadnych nadziei na poprawę. Po pogryzieniu zwierzę jest poddane obserwacji przez inspekcję weterynaryjną, ale nie na okoliczność agresywności, lecz tego czy ma wściekliznę. Jak nie ma, to choćby gryzło kraty i rzucało się na każdego człowieka – odzyskuje wolność i wraca do właściciela.

PRZEMYŚL 2020 R.

Dwa pitbulle, mieszkające w bloku i według sąsiadów wykazujące zachowania agresywne, zaatakowały 12-latka, który odwiedził kolegę (psy należały do ojczyma kolegi). Psy rozszarpały dziecko. Obrażenia były tak poważne, że ratownik medyczny, który przybył na miejsce płakał potem w sądzie i nie był w stanie zeznawać. Chirurg ratujący dziecko (chłopiec żył jeszcze kilka dni) powiedział, że w swojej trzydziestoletniej karierze zawodowej nigdy czegoś takiego nie widział. Psy rozszarpały chłopcu twarz, złamały rękę, uszkodziły czaszkę i odsłoniły fragmenty mózgu. Właściciel pitbulli nie zgłosił ich w urzędzie jako rasy niebezpiecznej, tłumaczył, że to jednak amstaffy, a potem, iż miał podrobione rodowody. Psy przejęła krakowska fundacja i wydała je dalej. Właściciel dostał wyrok trzech lat pozbawienia wolności i 50 tys. zł nawiązki – tyle jest warte życie 12-latka.

Kiedy można w ogóle uśmiercić zwierzę? Od 1 stycznia 2012 r. wycofano poprzednią regulację, która umożliwiała uśpienie zwierzaka cechującego się „nadmierną agresywnością, powodującą bezpośrednie zagrożenie dla zdrowia lub życia ludzkiego, a także dla zwierząt hodowlanych lub dziko żyjących". Po takiej noweli pozostały już tylko trzy przesłanki do uśpienia lub zabicia agresora:

– ślepe mioty,

– zwierzę cierpi (choroba, uraz),

– agresywne zwierzę, które atakuje tu i teraz i dodatkowo nie ma możliwości odciągnięcia go od ofiary.

Nie można też odebrać agresywnego psa właścicielowi. Jeżeli ten przebywa na wolności, tak jak właściciel trzech owczarków belgijskich z Zielonej Góry, to – po ewentualnych mandatach – pies wraca do właściciela. I dalej przebywa w środowisku, w którym pogryzł (lub zagryzł) ludzi. Można go zatem mijać codziennie, idąc do szkoły lub pracy. Jeżeli właściciel zrzeknie się psa, to może go oddać do adopcji, gdzie już nie ma żadnych procedur, albo do schroniska, które nie ma nawet obligatoryjnego prawa o poinformowaniu ewentualnego adoptującego, jakiego rodzaju psa bierze do domu, może go wziąć fundacja lub pojedynczy opiekun do opieki tymczasowej. Sąd wskaże. Tu również nie ma procedur weryfikacyjnych do takich podmiotów, nikt także nie sprawdza, co się dzieje z takim psem, kiedy przebywa w opiece tymczasowej.

ZGORZELEC 2024 R.

Bulterier należący do rodziny nagle, niesprowokowany, zaatakował niemowlę śpiące na łóżku rodziców. Pies leżał w innym pomieszczeniu, kiedy nagle ruszył w stronę siedmiotygodniowej dziewczynki i zmiażdżył dziecku czaszkę. Matka dobiegła do łóżka, złapała psa, ale ten wyślizgnął się i ponownie zaatakował głowę dziecka, znowu miażdżąc kości czaszki. Pies był oswojony z niemowlakiem, matka chodziła na spacery z dzieckiem i psem, przestrzegali zasad bezpieczeństwa, zabezpieczyli łóżeczko dziecka itd. Pies na czas trwania rozprawy trafił do współwłaściciela, właściciele chcieli psa uśpić, sąd też o to wnioskował. Według biegłej pies źle reaguje na dzieci w wózku i może stanowić poważne zagrożenie.

Co ciekawe, społeczność proanimalsów to – jak się ostatnio okazało przy aferze z ZOO w Łącznej – środowisko, które na tym procederze zarabia. Za miesiąc pobytu u behawiorysty, który np. zgłosił się do opieki nad trzema belgijskimi mordercami z Zielonej Góry, trzeba płacić do 15 tys. zł miesięcznie. Za każdego psa. A zdaje się, że do dziś te owczarki są trzymane razem, a więc polująca sfora nie została nawet rozdzielona. Może wciąż gdzieś w parkach trenują osaczanie ofiar…

Psa można tylko odebrać, jeżeli to jemu dzieje się krzywda, nie człowiekowi. Dlatego prokurator ze sprawy w Zielonej Górze zrobiła, co mogła, aby udowodnić, że tamtejsze owczarki cierpiały. Tylko to dało podstawę, aby odebrać je tymczasowo lub trwale po wyroku sądowym, ale jedynie za znęcanie się przez właściciela. Agresywnego psa po prostu nie można odebrać ani uśpić, choćby sędzia chciał, nie ma podstaw prawnych. Podsumujmy – agresywne zwierzę można zabić tylko w chwili ataku (moment po – już nie). Natomiast podstawą do odebrania go właścicielowi jest wyłącznie złe traktowanie przez niego zwierzęcia, a nie fakt agresji i ataku. Te załatwia się za pomocą mandatów i ewentualnych procesów cywilnych.

eprasa.pl c1e5dafed4

Pokazuje to jakie są priorytety prawa – prozwierzęce, gdyż dobro ludzi ustępuje tu przed kwestią dobrostanu zwierzaka. Za kopnięcie psa pójdziesz do więzienia, a za hodowanie niekontrolowanego mordercy – dostaniesz mandat. Potem przyjdzie jakiś biegły czy behawiorysta i po krótkiej obserwacji uzna (a oni są mocno „za zwierzakami"), że trzeba dać mu jeszcze szansę, bo – i tu następuje humanizowanie sprawy – pewnie się nawróci na dobrą ścieżkę. W wyniku takich splotów prawa, robionego pod założenia bambizmu, czyli wkładania w instynkty zwierząt ludzkich motywacji, możemy się codziennie spotkać oko w oko z takim mordercą: w parku, na placu zabaw, w lesie, na spacerze.

OLEŚNICA 2024 R.

Psy w typie american bully (rasa zakazana na Wyspach Brytyjskich) zaatakowały młodą kobietę, wyskoczyły z auta właściciela, gdy ten otwierał drzwi. Dziewczyna w stanie zagrożenia życia trafiła do szpitala (wezwano helikopter), przebywała w śpiączce farmakologicznej. Jest okaleczona oraz oszpecona, nigdy nie odzyska sprawności fizycznej (wygryzione mięśnie). Ofiara cały czas mieszka obok psa, który ją zaatakował. Jeden z psów, „prowodyr" w trakcie trwania rozprawy „zachorował i zniknął". Drugi pies, który brał udział w pogryzieniu, cały czas jest u właściciela. Mieszkańcy gminy napisali petycję, aby mu go odebrać, władze gminne odmówiły, brak podstaw prawnych.

fundacji, a fundacja „komuś tam") i tak jest z bulterierem ze Zgorzelca z roku 2024 (na czas trwania procesu oddany pod opiekę prywatnej osoby).

Kwitną więc nielegalne „eutanazje" behawioralne – właściciele regularnie usypiają swoje psy, nawet behawioryści czasem zalecają taki zabieg. Wszystkie te zabiegi tworzą wręcz podziemie usypiania. Ale agresywne psy nie interesują „animalsów", bo łatwiej robi się zbiórki na krzywdzone psy, więc nikt nie ściga gabinetów weterynaryjnych za łamanie prawa. Mało tego – niemal całe środowisko prozwierzęce jest przekonane o potrzebie takich zabiegów.

MARTWA LISTA

Myślą państwo, że chroni nas lista psów niebezpiecznych, które podlegają ewidencji i kontroli? Niestety, tu sytuacja jest podobna. Braki procedur, weryfikacji i systemowe zaniedbania. Tak zwana lista ras niebezpiecznych to martwy wykaz, którego ustawodawca nie chce aktualizować o zapisy „w typie rasy", tak jak stosują to wszystkie kraje, które takie spisy posiadają. A to oznacza, że jeśli obcujemy z mieszańcem, co da się w papierach „załatwić", nawet ex post, to nie można nic zrobić – tylko czyste rasy podlegają regulacjom „z listy". Ustawodawca, mimo twardych dowodów np. na agresję amstaffów, odmawia wpisania tej rasy na listę, powołując się na raport z 2012 r., który dotyczył 284 lekkich pogryzień (nie było tam amstaffów ponieważ one po prostu lekko nigdy nie gryzą). Teraz dany właściciel mówi, że ma mieszańca, a nie psa z listy ras niebezpiecznych i może z niem spacerować bez smyczy i kagańca.

Prawo zabrania uśmiercania agresywnych psów, nawet jak z diagnozy biegłych wynika, że dany osobnik wręcz poluje na ludzi, nie rokując żadnych nadziei na poprawę

Biegły po groźnym ataku ma oceniać dobrostan psa, a nie ryzyko kolejnego ataku. Jego opinia i tak nie ma znaczenia, choćby nawet była negatywna, psa nie można uśpić (legalnie), nie ma też miejsc, gdzie może bezpiecznie taki czworonóg przebywać, dlatego agresywne psy zostają u wskazanej przez prokuraturę czy sąd osoby albo trafiają do schroniska, skąd są dalej wydawane do „fundacji". Tak było z pitbullami z Przemyśla z 2020 r. (dwie negatywne opinie specjalistów, psy agresywne w trakcie obserwacji, po wyroku trafiły do schroniska, schronisko wydało je

Sądy w sprawach z udziałem niebezpiecznych psów orzekają na korzyść ich właścicieli, czyli jak zwierzak nie ma papierów, to nie jest rasowy i nie trzeba pozwolenia. Nikt nie przestrzega tej listy, właściciele i hodowcy psów rodowodowych np. rottweilerów wysyłają na social media nagrania, jak spacerują z psami bez kagańca w miejscach publicznych. Na pytanie, dlaczego nie przestrzegają prawa, odpowiadają, że gminne regulaminy ich nie obowiązują, tylko ustawa. A ustawa nie wymaga, aby jakikolwiek pies był na smyczy czy w kagańcu. To regulują gminy, a ich wytyczne są potem podważane w sądach. Nawet jeżeli pies z listy ras niebezpiecznych zaatakuje, cofnięcie pozwolenia nie jest obligatoryjne.

W Rząsce zgłoszony w urzędzie pies z listy ras niebezpiecznych (rottweiler) zaatakował kilkukrotnie ludzi oraz zwierzęta. Wójt odmówił cofnięcia pozwolenia. Pies ponownie zaatakował kilka lat później i kolejny wójt już cofnął pozwolenie. Właściciel odwołał się, sprawa jest w toku.

ZIELONOGÓRSKI PRZYKŁAD

Resztę zobaczymy na przykładzie zielonogórskim. Po zakończonej sprawie trzy owczarki-mordercy, które dziś jako „dowody w sprawie" przebywają w pieczy tymczasowej, czyli żyją z nami już dwa lata, trafią do „adopcji", może przejąć je fundacja i wydać dalej, komu tylko ma ochotę. Niewykluczone, że te psy wrócą do rodziny oskarżonego. Bo nawet jeśli on sam nie może ich dłużej mieć (fundacje prozwierzęce zadbały o to, aby znęcanie się nad zwierzęciem podlegało pod zarzuty karne, a przepadek zwierzęcia jest obligatoryjny w przypadku wyroku prawomocnego za znęcanie), to przygarnie je ktoś z jego bliskich. Skądinąd wiadomo, że oskarżony zrobi wszystko, aby te psy mu zwrócono, gdy odzyska wolność. Tymczasem będziemy je mogli spotkać na ulicy. Może ciągle w stadzie. Polującym.

Lista tegorocznych ataków psów znajduje się pod adresem: https://www.stopagresjipsow.pl/ataki.html. Liczy ona dziś 60 przypadków ataków o wyjątkowo napastliwym charakterze. Wszystkie psy z tej listy są wciąż pod opieką właścicieli, bez żadnej kontroli ze strony państwa czy gminy. Z pełnym dostępem do biegania luzem bez kagańca. Wszystko w gestii właściciela, z sankcją mandatu do tysiąca złotych…

Chciałem podziękować pani Justynie Oleś-Bernackiej z akcji „Stop agresji psów" za inspirację do tego artykułu i wsparcie merytoryczne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c1e5dafed4

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl c1e5dafed4

Celebryta w służbie prawa



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Krzysztof Rutkowski od ponad trzech dekad jest obecny w najgłośniejszych sprawach kryminalnych w Polsce. Przez lata nie miał licencji detektywa



FOT. MARYSIA ZAWADA/REPORTER

Charakterystyczna fryzura, luksusowe samochody, śmigłowiec, łodzie, terenowe samochody, psy tropiące i ubrani na czarno współpracownicy. Do tego konferencje prasowe i relacje w mediach społecznościowych. Gdy Krzysztof Rutkowski i jego biuro angażują się w sprawę, rozgłos gwarantowany. Tak było we wrześniu 2026 r., kiedy biuro Rutkowskiego włączyło się w poszukiwania 37-letniej Emilii Koprowskiej w Darłowie. – Jak widzicie, działamy z morza, lądu i powietrza – oznajmił Rutkowski dziennikarzom, gdy po przylocie helikopterem pojawił się na jednej z konferencji prasowych.

Rutkowski oferował 50 tys. zł nagrody za informacje mogące pomóc w ustaleniu losów kobiety. W połowie listopada sprawa doczekała się tragicznego zwrotu. W okolicy Palczewic odnaleziono ciało, które według prokuratury z bardzo dużym prawdopodobieństwem należało do zaginionej. Odkrycia dokonał mężczyzna spacerujący z psami. Wstępne wyniki sekcji zwłok nie wskazały na przyczynienie się do śmierci osób trzecich. Rutkowski oznajmił, że występuje jako pełnomocnik męża Emilii, Krystiana Koprowskiego (którego zachowanie po zaginięciu żony wywoływało ogromne kontrowersje). Poinformował, że mężczyzna, który odnalazł zwłoki, nie dostanie nagrody, bo powinien od razu skontaktować się z jego biurem. – Najpierw powiadomił policję, a nie nas. Tej nagrody temu panu nie dajemy, dlatego że ten pan nie współdziałał bezpośrednio z Biurem Rutkowski, tylko z policją – przekazał.

SZOPKA MEDIALNA

Krzysztof Rutkowski urodził się w 1960 r. w Teresinie. Po ukończeniu technikum mechanizacji rolnictwa rozpoczął służbę w Milicji Obywatelskiej. W okresie stanu wojennego służył w Zmotoryzowanych Odwodach Milicji Obywatelskiej. Pod koniec lat 80. kierował agencją ochroniarską, a w 1990 r. założył własne biuro detektywistyczne, działające w Warszawie i Wiedniu. Budował rozpoznawalność jako człowiek od interwencji w trudnych, medialnych sprawach. Ogromny rozgłos dała mu współpraca z TVN – w latach 2000–2005 powstało ponad 80 odcinków programu dokumentalnego „Detektyw". W 2001 r. uzyskał mandat poselski z list Samoobrony, a w 2004 r. przez kilka miesięcy był posłem do Parlamentu Europejskiego.

BŁAHA POMYŁKA

Jednym z najważniejszych wydarzeń w zawodowo-medialnej karierze Rutkowskiego była tragiczna sprawa sześciomiesięcznej Madzi z Sosnowca. Na początku 2012 r. matka dziecka zgłosiła porwanie. W poszukiwania zaangażowały się służby, media oraz biuro Rutkowskiego. To właśnie podczas rozmowy z nim Katarzyna Waśniewska przyznała, że zmyśliła porwanie córki. Przekonywała, że zmarła ona w wyniku nieszczęśliwego wypadku – „wyślizgnęła się z kocyka". Nagranie wyznania zobaczyła cała Polska. Późniejsze postępowanie doprowadziło do prawomocnego skazania kobiety za zabójstwo niemolęcia. Choć to detektyw nakłonił Waśniewską do pierwszego wyznania, które pozwoliło ostatecznie na ustalenie prawdy, to jego metody wywołały dyskusję. Ówczesny rzecznik Komendy Głównej Policji Marek Sokołowski określił jego działania mianem „szopki medialnej". Z kolei Tomasz Michałowicz, współautor reportażu „Rutkowski szoł", mówił w TOK FM, że to „celebryta, który wszedł w rolę detektywa". Działania celebryty detektywa w sprawie Waśniewskiej badała prokuratura, ale w październiku 2012 r. śledztwo umorzono.

eprasa.pl c1e5dafed4

Kontrowersje do dziś budzi udział Krzysztofa Rutkowskiego w sprawie Krzysztofa Olewnika. Bliscy porwanego w 2001 r. przedsiębiorcy zwrócili się do biura o pomoc. Po latach Włodzimierz Olewnik, ojciec zamordowanego, oskarżał Rutkowskiego o udział w wyłudzeniu od rodziny miliona złotych. Ten stanowczo zaprzeczał, a podczas przesłuchania przed sejmową komisją śledczą, a w październiku 2009 r. przekonywał, że otrzymał od rodziny ok. 20 tys. zł, a za wyłudzenie większej sumy odpowiadał informator współpracujący z jego biurem, który został skazany.

Po zaginięciu Iwony Wieczorek w 2010 r. Rutkowski prowadził własne poszukiwania i prezentował hipotezy dotyczące losów dziewczyny. Kilka lat później pojawił się w sprawie Ewy Tylman, przedstawiając również scenariusze, których nie potwierdził materiał dowodowy, w tym sugestie o możliwym rytualnym charakterze zbrodni. W 2017 r. brał udział w działaniach związanych ze śmiercią Magdaleny Żuk w Egipcie. Nie brakowało przedsięwzięć przedstawianych jako sukcesy biura. W 2006 r. Rutkowski uczestniczył w działaniach przeciwko osobom podejrzewanym o szantażowanie Edyty Górniak. Dwa lata wcześniej jego biuro zaangażowało się w sprawę polskich dzieci uprowadzonych do Pakistanu.

Bardzo długo Rutkowskiego określano mianem: „najbardziej znany polski prywatny detektyw". Sęk w tym, że przez 17 lat nie posiadał licencji. Została mu odebrana w 2009 r., przywrócona w lipcu tego roku. Paradoksalnie utrata uprawnień nie była efektem kontrowersyjnych czy nieetycznych działań, lecz błahej pomyłki. Licencję unieważniono w oparciu o wyrok skazujący innego mężczyznę, który również nazywał się Krzysztof Rutkowski. Obaj pochodzili z województwa łódzkiego, ale mieszkali w różnych miejscowościach. Mężczyzna, którego faktycznie dotyczył wyrok, został skazany za przemoc domową.

Mimo błędu Komendant Wojewódzki Policji w Łodzi odmówił uchylenia decyzji z 2009 r. Powodem był upływ terminu przewidzianego na podważenie dawnego rozstrzygnięcia. Ostatecznie „prawdziwy" Rutkowski musiał ubiegać się o wydanie nowej licencji. „Gazeta Wyborcza" twierdzi, że trwało to tak długo, ponieważ policja chciała zamaskować swój błąd sprzed lat. Kilka miesięcy temu detektyw triumfował. W mediach społecznościowych zaproponował nawet współpracę prezydentowi. – Jeżeli pan będzie potrzebował fachowców, którzy będą panu dobrze doradzać, jeżeli chodzi o kategorię bezpieczeństwa w naszym kraju, jestem absolutnie otwarty na pana propozycję. Nie chcę za to żadnych pieniędzy – zwrócił się do Karola Nawrockiego.

BLICHTR

Problemy z licencją nie oznaczały bezczynności. Cały czas Krzysztof Rutkowski prowadził działalność „doradczą" i medialną, założył portal Patriot24.net oraz telewizję internetową o tej samej nazwie. Oficjalnie klienci korzystali z „interwencji medialnych" lub „usług doradczych". Od zawsze Krzysztof Rutkowski kojarzy się z blichtrem. Jego „oddziały" przypominają wyglądem policyjne jednostki specjalne. Część interwencji prowadzi w obecności ekip telewizyjnych. Piotr Radlak z Polskiego Stowarzyszenia Licencjonowanych Detektywów nie szczędzi koledze po fachu krytyki. – Jego działania wpływają negatywnie na obraz zawodu detektywa. My nie robimy show z każdej sprawy, którą się zajmujemy, tylko skupiamy się na swojej pracy, pomagając policji i prokuraturze. Znamy swoje miejsce w szeregu – stwierdził w rozmowie z Wirtualną Polską. Hasło biura detektywistycznego Rutkowskiego brzmi: „Bezkompromisowa skuteczność od ponad 34 lat".

O Rutkowskim jest głośno zawsze. Jeśli nie za sprawą prowadzonych spraw, to poprzez problemy z prawem. W 2006 r. został zatrzymany przez ABW i tymczasowo aresztowany w śledztwie dotyczącym m.in. prania pieniędzy. W areszcie spędził ok. dziewięciu miesięcy. Z kolei w czerwcu 2007 r. sąd w Antwerpii skazał go na półtora roku pozbawienia wolności w zawieszeniu za bezprawne zatrzymanie Polaka przebywającego w Belgii. Kolejne problemy z prawem to sprawa tzw. śląskiej mafii paliwowej. Rutkowskiemu zarzucono m.in. udział w procederze dotyczącym fikcyjnych faktur o wartości 2,5 mln zł oraz powoływanie się na wpływy w instytucjach państwowych. W 2012 r. został skazany na dwa i pół roku więzienia. Po apelacji karę obniżono do półtora roku pozbawienia wolności. To nie koniec. W 2018 r. zapadł prawomocny wyrok w sprawie świadczenia usług detektywistycznych bez wymaganych uprawnień. Rutkowski otrzymał karę roku pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem i grzywnę. W późniejszym postępowaniu dotyczącym wykonania kary orzeczono świadczenie finansowe sięgające 1,4 mln zł. W 2024 r. portal Goniec.pl opublikował cykl materiałów dotyczących działalności biura. Ujawniono dawne akta sądowe i zeznania klientów, którzy zarzucali Rutkowskiemu nadużycia, pobieranie pieniędzy za nieskuteczne działania oraz świadczenie usług bez wymaganych uprawnień. Jedna z kobiet opowiadała o próbie sprowadzenia dziecka zabranego przez ojca do Jordanii. Według jej relacji zamiast Rutkowskiego pojawił się na miejscu współpracownik biura, określany mianem eksperta wojskowego. Akcja nie przyniosła oczekiwanego rezultatu. – Miałam do Rutkowskiego pretensje, że za moje pieniądze zafundował urlop w Jordanii swojemu pracownikowi. Bo ostatecznie tak to wszystko wyglądało – zeznawała kobieta.

Krzysztof Rutkowski to nie tylko detektyw, lecz także uczestnik show-biznesu. Jego charakterystyczna, geometrycznie ułożona fryzura stała się immanentną częścią wizerunku, częstym elementem internetowych memów. W połowie 2026 r. przeszedł zabieg przeszczepu włosów w Turcji. Media dostrzegły też złoty ząb. W 2019 r. Rutkowski poślubił Maję Plich (pomaga mu w pracy), z którą ma syna Krzysztofa Juniora. Niedawno portale rozpisywały się na temat wystawnych, 13. urodzin chłopca. Wśród zaproszonych gości znaleźli się pięściarz Marcin Najman i poseł Michał Kołodziejczak.

Ten ostatni pojawił się w najnowszej historii detektywa. W październiku były wiceminister rolnictwa został zawieszony w klubie KO po publikacjach Kanału Zero zawierających oskarżenia jego byłych współpracowniczek o mobbing. Od tego czasu Rutkowski występuje jako doradca Kołodziejczaka do spraw bezpieczeństwa. – Są sytuacje w życiu, które wymykają się spod kontroli, jest wino, jest szampan, jest prosecco, jest wesoło, jest muzyka, jest miło i sympatycznie, a kończy się zazwyczaj jak zwykle – mówił detektyw w Sejmie podczas briefingu prasowego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c1e5dafed4


FOT. ANNA WŁODCH

Wielkie pomieszanie



Piotr Gociek

Czy umiemy kręcić dobre biografie znanych postaci? Najnowsze przykłady filmów o Kuroniu, Villas i Borysewiczu pokazują, że nie

Życie Jacka Kuronia samo ułożyło się w porządną trzyaktową strukturę dramatyczną. Akt pierwszy: przebudzenie. Droga od czerwonego harcerstwa do dysydenta. Akt drugi: walka. Inwigilacja, więzienie, internowanie. Akt trzeci: zwycięstwo i rozczarowanie. Przychodzi nowa Polska i okazuje się, że ten, który całym sercem był po stronie skrzywdzonych i poniżonych, teraz firmuje swą uśmiechniętą, szeroką twarzą działania rządów, które owych skrzywdzonych i poniżonych uczyniły nawozem nowego ustroju. Jest w tym prawdziwy dramat, jest w tym tragedia. Są i ciemne strony. Podziemni wydawcy, którzy w czasach stanu wojennego ryzykowali grube wyroki, drukując i dystrybuując książki legend podziemia – jak Kuroń – słyszeli od tychże legend po 1989 r., że wszystko fajnie, ale teraz lepsze pieniądze proponują im duże postkomunistyczne wydawnictwa. I tak na nowych książkach Kuronia wzbogaciła się nie podziemna NOW-a (działająca legalnie jako SuperNowa), lecz czerwoni inwestorzy z oficyny BGW (słynącej z wydawania Jerzego Urbana).

PROBLEM ZE SCENARIUSZEM

Twórcy filmu „Nasza rewolucja" poszli innym tropem i mocno się pogubili. Laurka nigdy nie jest dobrym pomysłem na ciekawą biografię. Tutaj, by ukryć trochę ową czołobitność, na plan pierwszy wysunięto dzieje miłości. Film zatem reklamowany jest jako historia wielkiej miłości Gajki (Grażyny) i Jacka Kuroniów. Wielka miłość i wielka historia zwykle dobrze wypadają na ekranie, w „Naszej rewolucji" ta pierwsza jest jednak trochę przesadnie pokazywana, a ta druga – kartkowana jako niezbędne tło wydarzeń z życia prywatnego. Niby wszystko się zgadza: jest słynne mieszkanie na Mickiewicza spowite papierosowym dymem i spotkania opozycji, są pełne pasji przemowy Kuronia, ale jak napisać, że wzrusza, kiedy nie wzrusza? Z jednym wyjątkiem: scena w szpitalu z umierającą Gajką rzeczywiście ma emocjonalną moc.

Problem ze scenariuszem musiał mieć głębszy charakter: nawet nie wiadomo, kogo za scenariusz krytykować, bo dostaliśmy film bez nazwiska scenarzysty. Oryginalny autor i inicjator projektu, Maciej Pisuk, w pewnym momencie wycofał się z projektu i wycofał swoje nazwisko, informując publicznie, że na drodze sądowej będzie się domagał zwrotu praw do oryginalnego scenariusza. Za zmiany – według niego godzące w wizerunek Grażyny Kuroń – obwinił Roberta Kijaka, prezesa firmy Next Film należącej do Grupy Agora. Nie mam pojęcia, kto naprawdę i w jakim stopniu zawinił, i szczerze mówiąc, nawet nie chce mi się tego dochodzić.

Czy Arkadiusz Jakubik jako Jacek Kuroń się sprawdził? Publiczność festiwalu w Gdyni chwaliła, ja mam wątpliwości. Prawdziwy Kuroń miał charyzmę, ten ekranowy wygląda po prostu jak zbity pies. Podczas seansu nie opuszczało mnie poczucie déjà vu – gdzie ja ostatnio widziałem podobną katastrofę? A, już wiem! Kiedy Andrzej Wajda nakręcił nieznośnie słodką biografię Lecha Wałęsy, czyli niesławny film „Wałęsa. Człowiek z nadziei".

Być może dotykamy tu największego i podstawowego problemu z kręceniem biografii w polskim kinie: broń Boże nie urazić, za wszelką cenę wybielać. Pisałem niedawno, jak twórcy filmu o Janie Borysewiczu zrobili nagle z imprezującego na potęgę cymbała symbol walki z komunizmem. Oczywiście zasada wybielania nie obowiązuje, gdy trzeba wykonać polityczną mokrą robotę. Tu po lekcje należy udać się do Marka Piwowskiego,

eprasa.pl c1e5dafed4

którego „Uprowadzenie Agaty" było idealnym przykładem przeprowadzenia na polityku prawicy (marszałku Andrzeju Kernie) egzekucji już nie przez media, ale przez kino.

WAŻNA ZMIANA NA LEPSZE

Jedną rzecz należy jednak pochwalić – chyba na dobre polscy filmowcy wyleczyli się z nostalgii za PRL. System w filmach, które powstawały w ostatnich latach, pokazany jest bez złudzeń, a esbecy i milicjanci wreszcie są czarnymi charakterami, a nie wallenrodami czy hamletami. Postać „dobrego esbeka" to swoją drogą temat na osobne rozważania, wynaleziono tę głupotę nad Wisłą niezależnie od oscarowego niemieckiego „Życia na podsłuchu". Na szczęście w „Naszej rewolucji" tezy o „ludziach honoru" z peerelowskiego MSW i MON już nikt nie broni. Na ekranie pojawia się nawet esbek Jan Lesiak (tak, ten w III RP od „szafy Lesiaka"), przedstawiony jako łotr bez skrupułów, łamiący Kuroniowi moralny kręgosłup – bo kto by nie podpisał kwitu takiego czy owego w zamian za możliwość zobaczenia w szpitalu umierającej żony.

W „Zimie pod znakiem wrony" Kasi Adamik, w innych filmach ostatnich lat, wybielania i uduchowiania esbeków brak; to ważna zmiana na lepsze, podobnie jak coraz trzeźwiejsze spojrzenie, z jakim twórcy mający lat 30, 35, 40 opowiadają na ekranie o III RP. W biograficznym filmie „Violetta Villas", wchodzącym właśnie na ekrany, mamy wręcz tezę, że piosenkarka oszalała z powodu prześladowań ze strony Służby Bezpieczeństwa.

Więcej o tej produkcji za chwilę, teraz jeszcze dwa słowa o Piotrze Domalewskim, który wyreżyserował film „Nasza rewolucja" o Kuroniach. Zdjęcia ładne (Michał Sobociński), ale niewiele więcej dobrego można o tym filmie powiedzieć. Jak niesie plotka, producenci „Naszej rewolucji" szukali po prostu kogoś do wynajęcia, kto wejdzie, zrobi swoje i wyjdzie, zainkasowawszy honorarium. Nie wierzę, by opowieść o Gajce i Jacku była wymarzonym życiowym projektem Domalewskiego. Ale nawet dobrzy reżyserzy muszą czasem po prostu zarabiać na życie. A Domalewski pokazał w „Ministrantach" czy „W jak najdalej stąd", że jest dobrym reżyserem. Robótki na zlecenie wychodzą mu gorzej (nie tylko „Nasza rewolucja", lecz także seriale „Wzgórze psów" czy „Sexify").



REŻ. PIOTR DOMALEWSKI „NASZA REWOLUCJA" POLSKA 2026

Duch „Człowieka z nadziei" unosi się nad „Naszą rewolucją". A nad filmem o Villas? Tu sprawa prostsza, unosi się tam bowiem duch nudy. Cóż z tego, że Sandra Drzymalska pasuje do roli rozkapryszonej diwy dużo lepiej niż do Izabeli Łęckiej (była nią w serialu Netflixa), cóż z tego, że dostaliśmy znane piosenki w nowych aranżacjach. Znów problem tkwi w scenariuszu, który jest rutynową wyliczanką życiowych zakrętów niczym hasło z Wikipedii. Drugi kłopot: mając do czynienia z tak barwną i niekonwencjonalną postacią, wypadałoby się zastanowić, jak przedstawić ją obrazem (wszak kino to sny opowiadane ruchomymi obrazami). Zrozumiał to Dexter Fletcher, kręcąc film o Eltonie Johnie: przerysowana, kampowa postać przybliżona została widzowi serią musicalowych, teatralnych wstawek, inscenizacji zręcznie wplecionych w fabułę „Rocketmana". Violetta Villas nie była zwykłą bohaterką masowej wyobraźni, była ptakiem wyjątkowo dziwnym i kolorowym. I myślę sobie: jakąż świetną biografię Villas mogłaby nakręcić artystka, która czuje camp i kicz – jak Agnieszka Smoczyńska, autorka „Córek dancingu".

Mamy też oczywiście problem zewnętrznej kontroli nad projektem. Nie wyobrażam sobie, żeby firma producencka należąca do Grupy Agora pozwoliła na zrobienie naprawdę szczerego filmu o Kuroniu. Tak samo odnotowuję, że film Karoliny Bielawskiej o Villas powstawał we współpracy z jej synem, trzymającym żelazną ręką kontrolę nad spuścizną piosenkarki (zarejestrował nawet jej nazwisko jako znak towarowy). Jest to biografia wykalkulowana. Na zimno: syn gwiazdy zadbał o to (domniemanie moje), by na ekranie pokazać, jaką złą była matką, co nie przeszkadza mu na tym zarabiać pieniędzy.

Co przed nami? Film o Adamie Małyszu (styczeń 2027 r.), potem biografia Anny Jantar, Wandy Rutkiewicz, Haliny Poświatowskiej. Nie jestem optymistą. Poza tymi wszystkimi niebezpieczeństwami, o których wspomniałem – polityczne kalkulacje, rodzinne biznesy – jest jeszcze coś, co topi polskie opowieści biograficzne. Być może to daleki efekt pedagogiki wstydu lat 90. i zasady „cicho, sza!", która chroniła u zarania III RP szemrane deale z komunistami. Wstydzimy się chwalić bohaterami pozytywnymi, jakby było to coś niestosownego, jakbyśmy żyli w świecie, w którym sam koncept bohatera pozytywnego był niczym puszczenie bąka w salonie (salonie kulturalnym III RP, rzecz jasna), nie jesteśmy zdolni do ukazania prawdy o bohaterach negatywnych (ach, ten kicz pojednania i dbałość o niebycie nazbyt jednostronnym). A może po prostu mówić: „tak, tak; nie, nie"? Łotrom należą się kotły, bohaterom pomniki. Ale kto po niemal czterech dekadach III RP jest w stanie jasno powiedzieć, kto był łotrem, a kto bohaterem? Znaczy to, że panświnizm wygrał. Znaczy to, że wygrało wielkie pojęć pomieszanie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Kadr z filmu biograficznego „Nasza rewolucja" FOT. ANNA WŁOCH

eprasa.pl c1e5dafed4

Współczesne kino w poszukiwaniu moralnych znaków czasu



Arkadiusz Siwko z Wenecji

Na weneckiej wyspie Lido dominowały poważne fabuły i dokumenty o mocnym wydźwięku moralnym, mówiące o konsekwencjach osobistych wyborów człowieka na wojnie, niekontrolowanego rozwoju technologicznego, diametralnych różnic międzyklasowych, mocarstwowych ambicji bez względu na koszty



May el-Toukhy odbierająca nagrodę Złotego Lwa FOT. TIZIANA FABI/AFP/EAST NEWS

Wydawać by się mogło, że filmowa kultura jest całkowicie pochłonięta samozadowoleniem zysku. Gdy się patrzy na zalew głupawych opowiastek o superbohaterach lub promocji „dolce vita" bez zobowiązań zalewających kina i filmowe streamingi, można odnieść wrażenie, że nic innego się już nie produkuje.

Jednak tegoroczny festiwal filmowy w Cannes i La Biennale di Venezia temu przeczą. Coś się zmienia w europejskiej kulturze filmowej. Rok 2026 staje się zaiste powrotem do kina moralnych poszukiwań. Nie sposób nie dostrzec ponownego pochylenia się na tych najważniejszych festiwalach filmowych w Europie nad kinem moralnym, które zostawili nam i światu Krzysztof Piesiewicz i Krzysztof Kieślowski. Zarówno w Cannes, jak i w Wenecji były pokazane filmy inspirowane „Dekalogiem" naszych twórców. W Cannes w postaci „Historii równoległych" Asghara Farhadiego, a w Wenecji w postaci „Possible Love" w reżyserii Lee Chang-donga. I wszędzie tematy „Dekalogu" zmuszały współczesnego festiwalowego widza do myślenia. A on wyczekiwał tego myślenia.

LA BIENNALE INNE NIŻ CANNES

La Biennale di Venezia to zupełnie inny festiwal filmu niż w Cannes. Pod każdym względem. La Biennale wcale do tego nie odbywa się – wbrew nazwie – w głównej Wenecji, tylko na oddalonej wyspie – dzielnicy Lido di Venezia. Mało tego – niemal wszyscy twórcy przyjeżdżający na ten festiwal także nie zatrzymują się na Lido, ale mieszkają w głównej Wenecji. W związku z tym nie ma tam tak charakterystycznych spacerów gwiazd między hotelami a pałacem festiwalowym jak w Cannes właśnie, mimo że na samym Lido mieści się godne historyczne miejsce noclegowe – przepiękny Hotel Excelsior. Hotel ten niestety podczas festiwalu odgrywa tylko rolę poczekalni dla gwiazd przed wejściem do festiwalowego Palazzo.

Wenecja to z pewnością jedno z najpiękniejszych miast na świecie. Także miejsce przepięknych kościołów i miasto papieży. Gdy uczestniczy się we Mszy Św. w Bazylice św. Marka na głównym placu Wenecji – szczególnie tej z oprawą śpiewu chóru – pełnej ludzi wszystkich stanów i wieku, również narodów, pełnej rodzin z dziećmi, młodych i starych, zaczyna się lepiej rozumieć duchową rolę tego miasta. Miasta, a właściwie pomnika chrześcijańskiej Europy. Nie inaczej jest na wysepce Lido – pełnej otwartych kościołów, gdzie każdy może spotkać się z Najwyższym Sacrum. Pierwszy kościół oddalony jest siedem minut pieszo od Palazzo. I jest to tam takie naturalne.

PRAWDZIWE PROBLEMY MORALNE

Tegoroczne La Biennale di Venezia postanowiło pomówić na poważnie o dylematach współczesnej Europy i świata. Mimo że nie ma tam nagrody jury ekumenicznego, jak w Cannes.

Kiedy ogłoszono program 83. edycji Festiwalu Filmowego Wenecji, głównymi pretendentami do jednej z najbardziej prestiżowych nagród filmowych – Złotego Lwa – zdawali się być Danny Boyle ze swoim najnowszym filmem „INK" o powstaniu dziennika „The Sun" oraz Lance Oppenheim i jego „Primetime". Także dokument o angielskiej gwieździe britpopu – Oasis. Wyczekiwane, sprawnie zrobione komercyjne hity.

eprasa.pl c1e5dafed4

Tegoroczna Wenecja jednak zaskoczyła wszystkich. Podobnie jak w Cannes komercja poszła w odstawkę. Dostrzeżono prawdziwe problemy moralne. Tak bardzo obecne we współczesnym świecie, nawet jeżeli dotyczą historii. Widać, jak bardzo Europa tego potrzebuje. Moralności.

Na wyspie Lido dominowały poważne fabuły i dokumenty o mocnym wydźwięku moralnym, mówiące o konsekwencjach osobistych wyborów człowieka na wojnie, niekontrolowanego rozwoju technologicznego, diametralnych różnic międzyklasowych, mocarstwowych ambicji bez względu na koszty.

ROZLICZENIE ZE ZBRODNIAMI WOJENNYMI

Główną nagrodę zdobył duński film reżyserki May el-Toukhy – „Kvinde Ukendt" („Kobieta Nieznana"), opowiadający o moralnym rozliczeniu ze współpracy i podporządkowania duńskiej społeczności wobec niemieckich okupantów podczas drugiej wojny światowej i ich konsekwencjach po jej zakończeniu. Tytuł filmu pochodzi z powojennego duńskiego zdjęcia prasowego, przedstawiającego kobietę oskarżoną publicznie – ze swastyką narysowaną na plecach, z podpisem: „Kobieta nieznana".

Nagrodzony film opowiada historię młodej Dunki Marie, kobiety wchodzącej w intymne relacje z niemieckim okupantem, i jej przyszłego męża – duńskiego biznesmena dorabiającego się na handlu z nazistami, uważającego się za wzór przyzwoitości, bo z drugiej kieszeni przekazywał pieniądze na wsparcie ruchu oporu, i oceniającego siebie oraz przyszłą żonę oczywiście tylko z jednego, wygodnego dla siebie punktu widzenia. Marie próbuje rozpocząć nowe życie u boku męża z czystą kartą. Przeszłość szybko jednak dogania młodą kobietę, a jeśli prawda wyjdzie na jaw, to straci szansę na bezpieczne i wygodne życie u boku „przyzwoitego" męża.

Reżyserka w „Kvinde Ukendt" pokazuje, jak wina, strach przed karą i perspektywa awansu społecznego kształtują subiektywne oceny, prowadzi filmowe rozważania na temat systemu, który chroni silniejszych kosztem bezbronnych.

Jako żywo cisną się pytania o nasze moralne rozliczenie zbrodniczego komunizmu w polskiej kinematografii. O sumienie osób i całych rodzin, które dorobiły się na komunistycznych zbrodniach w Polsce. Często zmieniając potem nazwiska, by uciec od wstydliwej przeszłości. Sumienie. Pytania. Odpowiedzi. Wyparcie. Polskie kino czeka na taki dialog sumienia o komunizmie, stanie wojennym, zbrodniach komunistycznych i biznesie na nich.

NIE POŻĄDAJ...

Druga najważniejsza nagroda La Biennale di Venezia – Srebrny Lew – trafiła do filmu „Possible Love" w reżyserii Lee Chang-donga. W tym do Macieja Musiała, który pełnił funkcję producenta wykonawczego. Film inspirowany „Dekalogiem" Piesiewicza i Kieślowskiego na serio traktuje inspirację dwoma ostatnimi przykazaniami, „nie pożądaj...". Zamożna bohaterka z awansu pożąda cudzych historii, cudzego życia, życia ludzi, którzy do posiadanych przez nią dóbr odnoszą się z daleko posuniętą nieufnością i dystansem.

„Possible Love" to historia dwóch małżeństw pochodzących z dwóch odrębnych światów pozycji materialnej. To opowieść o zderzeniu klasy robotniczej z tą uprzywilejowaną, miłości, która w praktyce nie ma szans powodzenia. Reżyser z inspiracji „Dekalogiem" opowiada w swoim filmie także o traumie złamanego strajku i zniszczonej solidarności pracowniczej. „Żyjemy w czasach, kiedy znaczenie pracy zanika, ludzie coraz bardziej odcinają się od siebie. Zrobiłem ten film, by zapytać, co kino potrafi i powinno robić w czasach takich jak nasze. Uznaję tę nagrodę za znak, że chcecie, bym dalej zadawał te pytania" – powiedział reżyser na pokazie filmu.



Główną nagrodę zdobył duński film „Kobieta nieznana" reżyserki May el-Toukhy FOT. MATERIAŁY PRASOWE

LICZBA DOPUSZCZALNYCH OFIAR

Z kolei tegoroczna Specjalna Nagroda Jury La Biennale di Venezia trafiła do twórców filmu dokumentalnego „NAZA". Zagadkowy tytuł dokumentu skrywa przerażające znaczenie. NAZA to hebrajski akronim wojskowy, używany jako eufemizm szacowanej dopuszczalnej liczby ofiar cywilnych przed zatwierdzeniem ataku lotniczego na Strefę Gazy. Yuval Abraham i Rachel Szor – duet mający już na swoim koncie oscarowy dokument „Nie chcemy innej ziemi" (2024) – stworzyli film kameralny, niepozostawiający nikogo obojętnym, gdzie każda cicha scena jest rozpaczliwym krzykiem o pomoc. Autorzy tego dokumentu dotarli do 24 informatorów, wśród których znaleźli się obecni i byli oficerowie izraelskiego wywiadu wojskowego oraz żołnierze izraelskiej armii. Wywiady z bohaterami dokumentu przeprowadzono anonimowo, w ciemności, na dachach budynków wieżowców w Tel Awiwie. Widza poraża znieczulica rozmówców, odsuwających od siebie odpowiedzialność lub traktujących działania ludobójcze jak grę komputerową. Premierowa projekcja filmu została nagrodzona rekordową, 24,5-minutową owacją na stojąco.

SACRUM I PROFANUM

Wśród prezentowanych na festiwalu w Wenecji filmów na specjalną uwagę zasługiwał też cichy obraz dokumentalny „Kamuflaż" – o ukraińskich uchodźcach w Niemczech. To debiut ukraińskiego reżysera Mykyty Gibalenki. „Kamuflaż" opowiada o przeżyciach i wyzwaniach Ukraińców, którzy wyjechali z kraju z powodu wojny, zwłaszcza tych z Charkowa. Równocześnie opowiada o problemach i trudnych doświadczeniach tych, którzy przyjmują uchodźców – jak mieszkający w Monachium przed wojną Charkowianin i jego niemiecka partnerka. To film nie tylko o wojnie, lecz także o emigracji w cieniu wojny i o tym, że wojna dopada człowieka nawet w bezpiecznym Monachium.

Sacrum i profanum. Poszukiwanie moralności. Pytania. Odpowiedzi. Film nie chce odwracać się od duszy człowieka. Tegoroczne festiwale filmowe w Cannes i Wenecji dają taką nadzieję.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c1e5dafed4



Konstrukcję szkieletową pierwszego polskiego drapacza chmur (66 m wysokości) przy Placu Napoleona zaprojektował Stefan Bryła FOT. NAC





Z Krzysztofem Szujeckim, popularyzatorem historii
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Dziesięciu wspaniałych

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: W międzywojniu wybitnych architektów u nas nie brakowało. Czym się pan kierował, selekcjonując bohaterów swej książki?

KRZYSZTOF SZUJECKI: Przede wszystkim własnymi preferencjami. Ale jeśli miałbym wskazać podstawowe kryteria, to na pewno są to innowacyjność (stosowanie nowoczesnych konstrukcji), wpływ akademicki i teoretyczny: większość opisanych wykładała na uczelniach, kształcąc następne pokolenia oraz skala i ranga realizacji.

Józef Napoleon Czerwiński specjalizował się w projektach wytwornych kamienic stolicy?

Owszem, zaprojektowane i wybudowane przez jego firmę domy dochodowe ceniono na całym świecie. Apogeum jej działalności przypada na ostatnie lata przed pierwszą wojną światową. Wiele projektów zrealizował z Wacławem Heppenem i ze współpracy z nim jest właśnie najbardziej znany. Przedsiębiorstwo Czerwińskiego kontynuowało działalność na rynku budowlanym – głównie warszawskim – także w niepodległej Polsce.

Stefan Bryła, pionier konstrukcji stalowych w światowym budownictwie, został zamordowany.

Był wizjonerem, który zrewolucjonizował nowoczesne budownictwo, a zarazem gorliwym patriotą służącym Polsce (m.in. jako poseł na Sejm). Za tę postawę oddał życie. Podczas okupacji uczestniczył w tajnym nauczaniu i został rozstrzelany przez Niemców w egzekucji ulicznej na rogu Puławskiej i Goworka. Jako pierwszy w świecie wykazał, że zgrzewanie i spawanie elektryczne może zastąpić nitowanie, czyniąc konstrukcje lżejszymi, mocniejszymi, tańszymi i szybszymi w budowie. Zaprojektowany przez Bryłę most na rzece Słudwi w Maurzycach pod Łowiczem wywołał sensację globalną. Stał się wzorem dla inżynierów z USA, Francji czy Niemiec. Natomiast większość Warszawiaków dobrze kojarzy zaprojektowany przez inżyniera stalowy szkielet pierwszego polskiego drapacza chmur (66 metrów wysokości) przy Placu Napoleona. Konstrukcja wieżowca okazała się tak potężna, że przetrwała trafienie ponad dwutonowym pociskiem podczas powstania warszawskiego.

Życiowy szlak Stefana Narębskiego prowadził z Kujaw na Wileńszczyznę i z powrotem?

Urodził się w Groznym na Kaukazie, a studia ukończył w Warszawie. W 1922 r. zamieszkał we Włocławku, gdzie podjął współpracę z biurem projektowym swego teścia, architekta Antoniego Olszakowskiego. To tam ukształtował się jego charakterystyczny styl, łączący funkcjonalizm z tradycyjnym detalem, a owocem tego czasu stały się liczne projekty budynków użyteczności publicznej i mieszkalnych – na czele z reprezentacyjnym gmachem dzisiejszego Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej. Narębski pełnił także funkcję architekta miejskiego Włocławka. Przełom w jego karierze nastąpił w 1928 r., gdy objął stanowisko architekta miejskiego Wilna. Zdobył tam uznanie nie tylko jako twórca miejskiej przestrzeni, lecz także jako wybitny naukowiec – od 1937 r. kierował Katedrą Projektowania Wnętrz na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego. Na Wileńszczyźnie zastała go druga wojna światowa. Po 1945 r., w wyniku powojennej zmiany granic

eprasa.pl c1e5dafed4



KRZYSZTOF SZUJECKI „ARCHITEKTURA II RZECZYPOSPOLITEJ" WYD. SBM 2026

i przymusowych przesiedleń ludności polskiej z Kresów Wschodnich, Narębski wraz z grupą wileńskiego środowiska akademickiego osiadł w Toruniu, gdzie rozpoczął się ostatni rozdział jego życia; stał się jednym z głównych współtwórców i pierwszym dziekanem Wydziału Sztuk Pięknych powstałego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Edukował nowe pokolenia architektów oraz sprawował pieczę nad odbudową i konserwacją najcenniejszych zabytków regionu, w tym toruńskiego Ratusza Staromiejskiego.

Dlaczego Krakowianin Józef Kaban-Korski związał losy z Łodzią?

Trafił tam zaraz po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, na przełomie lat 1919–1920. Po zakończeniu pierwszej wojny światowej tworzące się państwo potrzebowało wykształconych kadr urzędniczych i technicznych. Kaban-Korski otrzymał w Łodzi posadę architekta powiatowego. W międzywojniu miasto to miało ambicje przekształcenia się w nowoczesny ośrodek. Pilnie potrzebowało nowej infrastruktury publicznej, reprezentacyjnych gmachów państwowych, osiedli i kościołów. Dla młodego, ambitnego architekta (po studiach m.in. w Dreźnie) niewątpliwie była to szansa na zdobycie unikalnych zamówień i realizację autorskich wizji. Skwapliwie ją wykorzystał.

Punktami odniesienia w biografii Tadeusza Wróbla stały się z kolei Lwów oraz Wrocław.

Lwowianin z urodzenia, absolwent Wydziału Architektury tamtejszej Politechniki, gdzie pod okiem renomowanych pedagogów chłonął idee nowoczesnego urbanizmu i funkcjonalizmu. Po drugiej wojnie wraz z całą plejadą lwowskich luminarzy został przymusowo wysiedlony ze swojego rodzinnego miasta, dla którego zaprojektował wiele obiektów modernistycznych np. budynek Miejskich Zakładów Elektrycznych. Przybył na tzw. Ziemie Odzyskane, stając się filarem pionierskiego środowiska architektonicznego stolicy Dolnego Śląska. Jako kierownik Urzędu Planowania Miasta oraz Regionalnego Planowania Przestrzennego współtworzył pierwsze powojenne koncepcje ogólne odbudowy i zagospodarowania zniszczonego Wrocławia. Organizował Wydział Architektury na nowo powstałej Politechnice Wrocławskiej, przenosząc tam najlepsze tradycje Politechniki Lwowskiej.

Adolf Szyszko-Bohusz przeszedł do historii w roli konserwatora Wawelu?

Funkcja kierownika odbudowy i konserwacji krakowskiego Zamku Królewskiego (sprawowana od 1916 r. przez całe dwudziestolecie międzywojenne) przyniosła mu największą sławę. Wawel nie był dla niego li tylko muzealnym eksponatem, ale żywym organizmem. Wprowadzając modernistyczne interwencje, nie próbował, zgodnie ze swoją dewizą, naśladować minionych epok.

Wielkopolska stanowiła pole działania Władysława Czarneckiego, a Górny Śląsk Tadeusza Michejdy?

W 1925 r. Czarnecki został architektem miejskim Poznania. Będąc urbanistą, stworzył w latach 1930–1934 tzw. ogólny plan regulacyjny prężnie rozwijającego się grodu nad Wartą. Zainicjował unikalny w skali kraju system klinów zieleni – nietuzinkowy koncept urbanistyczny zakładający wpuszczenie pasów lasów i parków z obrzeży miasta aż do samego centrum celem naturalnego kultywowania rekreacji. Poznań korzysta z tego układu do dziś. Czarnecki kształtował też środowisko zawodowe. Był współzałożycielem, potem prezesem oddziału SARP w Poznaniu, a także profesorem i kierownikiem Katedry Urbanistyki na lokalnej Politechnice, wychowując generacje architektów.

Natomiast Tadeusz Michejda w 1925 r. zapoczątkował powstanie Związku Architektów na Śląsku, stając się jego pierwszym szefem. Później, w latach 1934–1939, z sukcesami kierował katowickim oddziałem SARP. Walczył z samowolą budowlaną, współtworzył śląskie prawo budowlane, cywilizując procesy urbanistyczne w regionie. Zaprojektowane przez niego pensjonaty w Wiśle oraz Ustroniu wprowadziły światowy, modernistyczny sznyt wypoczynkowy w Beskidy.

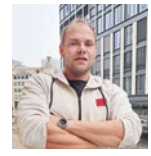
Jeden z przedstawionych pracował głównie na terytorium neutralnym?!

Czesław Świałkowski jest dla dziejów Polonii w Wolnym Mieście Gdańsku postacią fundamentalną. Projektowanie dla Polaków w zdominowanym przez niemiecki nacjonalizm Gdańsku było nie tylko pracą inżynieryjną, lecz także aktem odwagi, manifestacją patriotyzmu i misją społeczną. Do jego najważniejszych dokonań należą: Morski Urząd Pocztowy w Porcie Gdańskim i kościół Chrystusa Króla. We Wrzeszczu zaadaptował i nadzorował przebudowę dawnej pruskiej ujeżdżalni wojskowej na polski kościół parafialny. Projektował także przedszkola dla polskich dzieci. Wielokrotnie pracował bezpłatnie.

Romanowi Piotrowskiemu zrazu przyświecała wizja szklanych domów Żeromskiego, lecz przeistoczył się w komunistycznego dygnitarza?

Istotnie, życiowa droga Piotrowskiego prowadziła od szlachetnego lewicowego socjalizmu społecznego dwudziestolecia międzywojennego aż po szczyty komunistycznej władzy państwowej w stalinizmie. U progu kariery związał się z jedną z najważniejszych i najbardziej radykalnych grup polskiej awangardy – „Praesens". Przejął od nich zachodnioeuropejskie idee modernistyczne (zbieżne z postulatami Le Corbusiera). Architektura w jego wydaniu odrzuciła jakikolwiek detal na rzecz czystej geometrii, płaskich dachów i optymalnego nasłonecznienia mieszkań. W II RP należał do grona czołowych projektantów nowej tkanki mieszkaniowej. Pełnił m.in. funkcję dyrektora technicznego Towarzystwa Osiedli Robotniczych. Najistotniejsze było dla niego projektowanie maksymalnie funkcjonalnej, niewielkiej przestrzeni, na którą mogła sobie pozwolić rodzina robotnicza. Mieszkania musiały spełniać odpowiednie standardy (dostęp do łazienki, kuchni i słońca). Ale choć kojarzony jest głównie z powtarzalną architekturą mieszkaniową, to paradoksalnie jego najsłynniejszym dziełem (zdobi okładkę mojej książki) stał się biurowiec ZUS w Gdyni – wzniesiony w latach 1935–1936. – obecnie siedziba Urzędu Miasta. Po wojnie Piotrowski był szefem Biura Odbudowy Stolicy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Krzysztof Szujecki *– historyk, publicysta, autor książek, m.in. „Życie sportowe w Drugiej Rzeczypospolitej", „Życie sportowe w PRL", „Milionerzy przedwojennej Polski", „Najpiękniejsze kobiety przedwojennej Polski", „Sportsmenki. Pierwsze polskie medalistki, olimpijki, rekordzistki" i najnowszej „Architekci II Rzeczypospolitej".*

eprasa.pl c1e5dafed4



FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

Wychowanie obywatelskie



Krzysztof Masłoń

Uczniowie z Liceum Ogólnokształcącego Centrum Szkół Mundurowych w Zamościu, w liczbie ok. 50, przyjechali pod opieką nauczycieli do Warszawy, do Sejmu na zaproszenie posła Konfederacji Korony Polskiej Sławomira Zawiślaka. Wycieczki takie urządza się na okrągło, by młodzież zaznajomiła się z pracą naszego parlamentu, zwiedziła gmach przy ulicy Wiejskiej i na własne oczy oraz uszy przekonała się, jak trudne i odpowiedzialne jest sprawowanie władzy ustawodawczej. Takie, przynajmniej w założeniu, są cele tych wyjazdowych lekcji wychowania obywatelskiego.

9 listopada było jednak inaczej. Młódź zachwyciła się, być może, sejmowym biciem piany, ale na prawdziwą lekcję wychowania obywatelskiego, a jak kto się uprze, to i historii najnowszej, udała się niedaleko, pod Trybunał Konstytucyjny, gdzie swymi młodymi głosami wsparła skandowane tam ochoczo hasła z „Nie bać Tuska" na czele. Wybuchł skandal.

Tłumaczenia nie zdały się na nic. Zdaniem zarządzającej oświatą ministry Barbary Nowackiej, pełnomocnik organu prowadzącego liceum, Agnieszka Macek wywierała presję na nauczycieli i instrumentalnie wykorzystała uczniów. Zbulwersowana ministra zaakcentowała również to, że Agnieszka Macek jest „czynną działaczką Konfederacji Korony Polskiej". Obsadzona w roli czarnego luda zrezygnowała z pełnionej funkcji, ale nie zadowoliło to oburzonych obrońców dobrego imienia prezesa Rady Ministrów, identyfikowanego z innym popularnym hasłem: „Ruda wrona orła nie pokona". Sprawa będzie miała ciąg dalszy, bo choć „oczywiście – co przyznała łaskawie światła szefowa resortu edukacji – każdy ma prawo do własnych poglądów, to osobiste poglądy polityczne osób zarządzających szkołą nie mają prawa wpływać na uczniów i nauczycieli". Tak jakby jej poglądy nie kształtowały oblicza szkolnictwa polskiego A.D. 2026.

Natychmiast zabrali głos również ci, na których w podobnych sytuacjach zawsze można liczyć, np. Kamila Gasiuk-Pihowicz. Posłanka ta orzekła, że „szkołę w Zamościu prowadzą osoby związane z prorosyjskim Braunem. Jej uczniowie w mundurach, pod opieką nauczycielek, obrazili premiera pod Trybunałem Konstytucyjnym. Kuratorium prowadzi kontrolę. Oczekuję zdecydowanych działań. Publiczne pieniądze nie mogą finansować skrajnie prawicowych bojówek".

Nie jest wprawdzie jasne, o jaką bojówkę chodzi, kto ją tworzy i czy poza prorosyjskim Braunem jest jakiś inny Braun, ale nie wymagajmy za wiele od ozdoby zbiorowiska, w którym na co dzień rzuca się ku.wami, pokazuje fuckery, szczeka i zatacza po pijaku. Mająca większe doświadczenie polityczne oraz niemniejsze – przepraszam za wyrażenie – parlamentarne Hanna Gronkiewicz-Waltz rzecz ujęła bardziej lapidarnie, krótko i węzłowato: „Co kontrolować. Wszystko widać, dyrektora odwołać, a nauczycielom odebrać wszystkie dodatki". Bo, jak wiadomo, opływają oni w dostatki.

Wyczuł też dobrą okazję, by przypomnieć o swoim istnieniu niezatapialny prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego, Sławomir Broniarz, grożąc zamojskim pedagogom – jak na związkowca przystało – odebraniem praw do wykonywania zawodu.

Zanim to się stanie, nieśmiało zauważę, że do aktywności obywatelskiej namawiają młodych ludzi zarówno politycy z lewa i prawa, jak i autorytety wszelakiej maści z najwyższymi włącznie. Głośnym echem odbiło się np. wezwanie artysty Seweryna: „Drogie dziecko, pamiętaj, twoje zadanie jest im przyp..... lić". „Im" zostało wyszczególnione; chodziło o „Trumpów, Kaczyńskich, Orbánów". Umundurowane (o zgrozo!) sztubaki z Zamościa przyp..... li jednak komu innemu. Podobno nie wszyscy, ale to już ustalą stosowne służby, niech będzie, że oświatowe.

Młodzież władzy zawsze sprawiała kłopoty, a ta najzwyczajniej w świecie mściła się. Adam Mickiewicz w III części „Dziadów", z wolna marginalizowanej w czymś, co zwykliśmy nazywać procesem nauczania, a co obecnie jest częścią procesu, tyle że zupełnie innego, pisał:

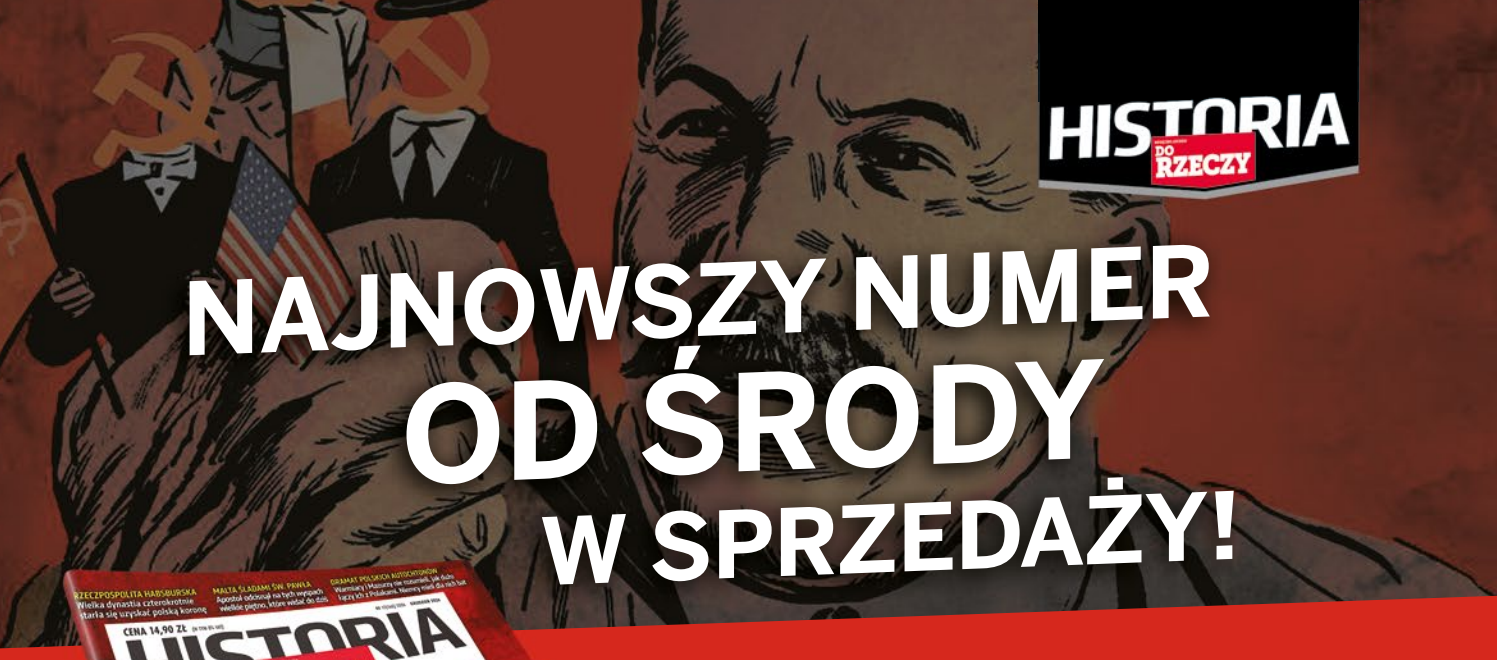
Oni wyszukają przyczyny,
By uniwersytety znieść,
Krzyknąć, że ucznie jakubiny,
I waszą młodzież zjeść.

No dobrze, ale gdzie uniwersytety, a gdzie szkoły, gdzie studenci, a gdzie uczniowie? W tym samym miejscu. Jacek Kaczmarski w „Wiośnie 1905" tak zinterpretował znany obraz Stanisława Masłowskiego:

Długo czekali na tę wiosnę
Całe swoich piętnaście lat
W marszu w Aleje Ujazdowskie
Z twarzy uśmiech dziecięcy spadł
Idą i drogi swej nie widzą
W myślach pierwszy piszą już list
Konie wędzidła swoje gryzą
Uszy drąży kozacki gwizd!
To dzieci w słów wierzą sens
To dzieci marzą i śnią
To dzieciom sen spędza z rzęs
Dobro płacone ich krwią
Dorośli umieją żyć
Dorosłym sen – mara – śmiech
To dzieci będą się bić
Za słów dorosłych prawdę.

Do wiosny niedaleko, na razie mamy jesień. Jeszcze. ©℗

eprasa.pl c1e5dafed4



NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



POŻYTECZNI IDIOCI W SŁUŻBIE SOWIETÓW

ZACHODNIE KLAUNY W CYRKU STALINA – Każda wzmianka o głodzie, mordach, deportacjach była albo odrzucana przez nich jako wroga propaganda hitlerowska, albo uznawali oni, że należy ponieść pewne koszty, aby zbudować idealny system: komunizm – mówi prof. Robert Kuśnierz

SZKODNICY SPRAWY POLSKIEJ – Nie każdy antypolski polityk był w 1920 r. wyznawcą Lenina, ale każdy był krótkowzroczny – pisze Jakub Ostromęcki

CZERWONY BIAŁY DOM – W otoczeniu Roosevelta nie brakowało agentów Stalina, ale i bez nich prezydent USA zazwyczaj dawał Sowietom to, co chcieli – podkreśla Grzegorz Janiszewski

TAJEMNICA ZNAKÓW MĘKI PAŃSKIEJ – Kobiety stanowią zdecydowaną większość w wąskim gronie ludzi obdarzonych stygmatami. Nad fenomenem tych ran wciąż głowią się naukowcy – pisze Radosław Wojtas

HABSBURGOWIE I POLSKI TRON – Rzeczpospolita była dla Habsburgów naturalnym kierunkiem ekspansji dynastycznej i dlatego trzykrotnie stawali, bezskutecznie, do wolnej elekcji. Państwo polsko-litewskie pod rządami Habsburgów byłoby na pewno silniejsze: miałoby sprawniejszą administrację i wojsko – mówi prof. Andrzej Chwalba

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl c1e5dafed4



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Bond. Bond?

James Bond powróci i grał go będzie Robert Pattinson. Wiadomość podzieliła fanów, ale nie przypominam sobie, by kiedykolwiek było inaczej. No, może z wyjątkiem powierzenia roli agenta 007 Pierce'owi Brosnanowi, który w serialu „Remington Steele" pokazał, że byłby idealnym Bondem.

Robert Pattinson w wieku 12 lat wszedł w świat modelingu, ale po paru latach nie miał w nim czego szukać, bo dojrzewając, stawał się coraz bardziej męski z wyglądu, a moda była na twarze androgyniczne (początek lat 2000.) Brzmi to ciekawie w kontekście pytań, czy dziś będzie odpowiednio męskim Bondem. Pytania są uzasadnione. Owszem, seria „Zmierzch", w której grał rolę wampira Edwarda, uczyniła go obiektem westchnień nastolatek, a jako Cedric Diggory w filmie „Harry Potter i Czara Ognia" stał się wzorcem młodej męskości. Po „Batmanie" Matta Reevesa można było mieć wątpliwości, czy Bruce Wayne powinien wyglądać jak fan The Cure w depresji.

Pattinson po „Zmierzchu" zmagał się z tym samym problemem, co Daniel Radcliffe po „Harrym Potterze" – jak odkleić się od ikonicznej roli, która dała mu popularność. Pattinsonowi udało się chyba lepiej; może po prostu jest lepszym aktorem. Za jego najciekawsze kreacje uważam występy w „Latarni" Roberta Eggersa, u boku Willema Dafoe, oraz małą rolę w „Zaginionym mieście Z" Jamesa Graya. W „Odysei" Nolana pokazał, że można obsadzać go w rolach postaci odrażających (równie mało sympatyczny jest w błąkającym się po polskich ekranach „Primetime").

Czy Robert Pattinson okaże się odpowiednio czarującym suk..synem? Taki przecież powinien być James Bond. Rozumiem obawy fanów zaniepokojonych faktem, że jego charyzma przywodzi raczej na myśl podstarzałych Gothów, że ma zadatki raczej na to, by być drugim Johnnym Deppem niż drugim Rogerem Moore'em (od ulicznej tężyzny fizycznej chuligana Daniela Craiga też go wiele dzieli).

A argumenty na tak? Reżyserem nowego filmu o agencie 007 będzie Denis Villeneuve, który pracował z Pattinsonem na planie trzeciej części „Diuny" (wkrótce w kinach). Co rodzi kolejne pytania: Villeneuve jest świetnym reżyserem. Ale czy właściwym do serii o Bondzie? Wydaje się, że wszyscy tu mocno ryzykują: i Pattinson, i Villeneuve, i Amazon, który podjął decyzję, by powierzyć im przyszłość ikonicznej postaci stworzonej przez Iana Fleminga. Z drugiej strony: Czyż ryzyko to nie jest właśnie to, czego brakuje dziś przemysłowi filmowemu? ©℗



★★★★★★
CATHERINE HARDWICKE
„ZMIERZCH"
USA 2008

wyst. Kristen Stewart, Robert Pattinson

GRA TYGODNIA: „W ŚWIECIE FILMU"

Ile minut trwa „Titanic"? Kto jest autorem muzyki do „Gwiezdnych wojen"? Na jakiej podstawie powstał „Podziemny krąg"? Między innymi na te pytania, a także inne dotyczące 300 filmów, muszą odpowiedzieć uczestnicy tej drużynowej rozgrywki. Ale to nie jest zwykły quiz! Trzeba jeszcze obstawić pola planszy, takie jak m.in. obsada, gatunek, rok premiery, budżet, nagrody czy oceny użytkowników na Filmwebie, a tym samym tak wytypować odpowiedzi, aby przechytrzyć przeciwników.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★

Wygrywa team, który pierwszy zdobędzie trzy Filmowe Statuetki. Gra nie tylko dla kinomaniaków – liczą się także spryt i strategia. ©℗

Anna Zalewska

- ***Gatunek:*** ***drużynowa, quiz***
- ***Producent, wydawca:*** ***Filmweb***

eprasa.pl c1e5dafed4

Krucjata w Europie

HBO max



★★★★★★

REŻ. CHASE MILLSAP
„KOMPANIA BRACI: DZIEDZICTWO"
USA 2026

Dwa dni po premierze „Kompanii braci" runęły wieże WTC. Amerykanie dopatrywali się podobieństwa nowojorskich strażaków do żołnierzy płacących daninę krwi na frontach wojny światowej. Drogowskazem dla twórców serialu był „Szeregowiec Ryan". Wiedzieli, że chcąc dotrzeć do współczesnego widza, muszą zrezygnować z patosu i generowanej cyfrowo „epickości", postawili na indywidualne przeżycia oraz bohaterów, z którymi łatwo się zidentyfikować. Na ekranie nie uświadczysz Pattona czy Eisenhowera, rządzą prości wojacy z kompanii E 506. Pułku Piechoty Spadochronowej. Lądowali w Normandii, brali udział w nieszczęsnej operacji „Market Garden", powstrzymywali niemiecki kontratak w Ardenach. Pierwszą bitwę przyszło im stoczyć jeszcze w trakcie szkolenia, przeciwko dowódcy uważającemu, że autorytet zdobywa się krzykiem i poniewieraniem ludźmi.

Kompanię rozsławił historyk Stephen E. Ambrose. Spielberg i Hanks musieli uczynić go współproducentem. Każdy odcinek zaczyna się od wywiadu z weteranami. Nie są złotousti, jeśli już zdobędą się na jakąś dłuższą wypowiedź, to zwykle dotyczy ona kolegów („Nie mogłem ich zawieść"). Żartują, że zgłosili się na ochotnika skuszeni perspektywą nadstawiania karku za 50 dol. miesięcznie. O problemach z adaptacją do życia w cywilu wspominają półgębkiem. W tamtych czasach nie znano jeszcze pojęcia stresu pourazowego. „Kompania braci" wojny ani śmierci nie uromantycznia. Pojawiają się wątki, które w dawniejszych produkcjach były programowo nieobecne: zabijanie jeńców, „kolekcjonerstwo", alkoholizm. Amatorów kozackich zachowań serial też usatysfakcjonował. Na ostrzeżenie oficera z rozbitej dywizji pancernej, że lada moment wróg odetnie ostatnią drogę odwrotu, mjr Winters odpowiada ze stoickim spokojem: „Spadochroniarze zawsze walczą w okrążeniu".

Dokument Millsapa, zrealizowany w 25. rocznicę premiery „Kompanii braci", nie jest typowym „making of". Przejęci aktorzy opowiadają o swoich spotkaniach z weteranami, a realizatorzy cieszą się, że zdążyli złożyć hołd „największemu pokoleniu" jeszcze za życia jego ostatnich przedstawicieli. Żołnierze US Army mają się na kim wzorować i komu zazdrościć. ©℗

Wiesław Chełminiak

ZŁOTO DLA PORZĄDNYCH

Rok 1933. Samuel Murphy, złota rączka, łebski gość i weteran wojenny – za niewinność trafia na pół roku do paki. Może wyjść przed terminem, jeśli zgodzi się (z trzema innymi więźniami) przetransportować z punktu A do punktu B ładunek złota, które w przeciwnym wypadku może „wpaść w łapy Roosevelta i żydowskich bankierów". Fani starego kina tudzież młodego duchem Ethana Hawke'a lubią to. Zwolennikom tezy, że więzień i obozów pracy nie zapełniają kryminaliści, lecz ofiary systemu, reżyserski debiut 52-letniego montażysty spodoba się jeszcze bardziej. Odjąłem jedną gwiazdkę za zgrzytliwą muzykę, godną Indiany Jonesa scenę na wiszącym moście. Kto by się spodziewał, że różowy królik, za którego w „Con Air" przelewał krew Nicolas Cage, dostąpi reinkarnacji w kinie niskobudżetowym. ©℗



KINO

★★★★★★

REŻ. PADRAIC MCKINLEY
„PRZEMYTNICY" („WEIGHT")
KANADA/NIEMCY/USA 2026

wyst. Ethan Hawke, Austin Amelio, Julia Jones



ANNA ZALEWSKA

DO ZOBACZENIA

Wokół dworu i pałacu

Muzeum w Gliwicach zaprasza na wystawę ukazującą życie szlachty górnośląskiej od późnego średniowiecza do 1945 r. Ekspozycja przedstawia historię siedzib rycerskich, dworów i pałaców Górnego Śląska, takich jak Pławniowice, Rudziniec, Brynek, Kamieniec, Kozłów i Ciochowice. Prezentuje uratowane zabytki: obrazy, meble, zegary, naczynia czy przedmioty użytku codziennego.

Zwiedzający zobaczą nie tylko pomieszczenia reprezentacyjne, lecz także prywatne pokoje i miejsca gospodarcze. Poznają również funkcjonowanie dworskiego domu, relacje społeczne jego mieszkańców, życie rodzinne i towarzyskie.

To wystawa nie tylko o wnętrzach i budowlach, lecz także o tych, którzy je zamieszkiwali, o ich świecie, sposobie życia i codziennych zajęciach. Historia zapisana w przedmiotach mówi wiele o dawnych przedstawicielach szlachty górnośląskiej. ©℗



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

GDZIE? ***Willa Caro, Gliwice***
KIEDY? ***do 3 maja 2027 r.***

eprasa.pl c1e5dafed4



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Powrót do macierzy

Olga Tokarczuk wydała swą ponoć ostatnią – jak zapowiada – większą powieść pt. „Świata jest za dużo". Zdecydowanie najlepszą w jej dorobku, o mile świetlne przewyższającą „Księgi Jakubowe", których sprzedano w kraju w setkach tys. egzemplarzy, tyle że przeczytał je mało kto, bo też nieszczególnie frapująca jest ta ciągnąca się w nieskończoność historia Jakuba Lejbowicza Franka i jego wyznawców. Ale że wypada mieć jakieś dzieło naszej noblistki, toteż „Księgi…" obrastają kurzem w większości polskich domów.

Ze „Świata jest za dużo" będzie inaczej, o ile czytelników nie wystraszy zapowiedź, że oto trafia im w ręce powieść „konstelacyjna i panoptykalna". Jestem zresztą przekonany, że od dawna już nikt nie traktuje serio literaturoznawczych zaklęć towarzyszących kolejnym książkom pisarki.

A o czym naprawdę one są? Już dawno temu Kinga Dunin (starsi pamiętają, kto zacz) orzekła: „Uważnie przeczytane powieści Tokarczuk są w istocie radykalnym projektem głębokiej przebudowy naszej zbiorowej tożsamości. Delikatnie, nie atakując wprost, dokonuje w nich absolutnego demontażu bytów w rodzaju Polaka-katolika, ukazując jednocześnie alternatywę". Jaką? Cóż, nieprzypadkowo znacznie szerszym echem niż jej powieści i opowiadania odbiły się słowa Olgi Tokarczuk wypowiedziane po otrzymaniu Nagrody Nike w roku 2015 (za „Księgi Jakubowe" właśnie) o tym, że „robiliśmy straszne rzeczy jako kolonizatorzy, większość narodowa, która tłumiła mniejszość jako właściciele niewolników czy mordercy Żydów". Podobnie teraz znacznie więcej mówiło się o odmowie udzielenia przez Tokarczuk odpowiedzi na pytania dziennikarza „Plusa Minusa" niż o wartości jej, rzekomo wyczekiwanej powieści.

A ta opowiada o Polsce i ludziach, którzy w 1946 r. spotkali się w zbombardowanej kamienicy we Wrocławiu. Tych z Kresów, którzy Bogu dziękowali, że udało im się ujść z życiem z rzezi i zesłań, „wcale nie witano […] chlebem i solą, jak obiecywali urzędnicy". „Jacyś młodzi mówili, że wracają do macierzy, lecz ludzie nie za bardzo rozumieli, co to jest macierz i dlaczego wracają, skoro tu nigdy wcześniej nie byli. Starsi traktowali to jak kolejną deportację, tym razem nie na wschód, ale na zachód; w mniemaniu najstarszych świat składał się z różnych Syberii, wschodnich i zachodnich, północnych i południowych, dokąd jest się wywożonym. Tak i oni przepadną".

Oprócz Polaków w tym dolnośląskim tyglu warzą się Niemcy, Żydzi, Ukraińcy, a nawet Francuzi i Grecy. Generalnie wszyscy chcą wyjechać gdzieś dalej, na Zachód, najbardziej oczywiście Żydzi, którzy po pogromie kieleckim pozbyli się mrzonek, choć przedtem przemyśliwali (serio?) o stworzeniu w okolicach Wałbrzycha (konkretnie na ziemi dzierżoniowskiej, gdzie w Bielawie i samym Dzierżoniowie stanowili większość) żydowskiej autonomii.

Skąd się wzięła nowa nazwa tego miasta, ten cały „Wałbrzych"? Komisja nazewnicza uznała, że Waldenburg brzmi „zbyt teutońsko" i postanowiono posiłkując się czeszczyzną, zaadaptować „Wałbrzich". Zadziwiający był ten Waldenburg. „Jakby nie tknęła go nie tylko wojna, lecz także nawet większy wiatr […]. Miasto pełne było osobników wszelkiego rodzaju: delegowanych, przysłanych tu przymusowo, przesiedlonych, byłych więźniów, miejscowych Niemców, żołnierzy polskich i sowieckich, wreszcie spryciarzy i różnej maści kombinatorów. Wszyscy wydawali się czymś podekscytowani, gdzieś podążali, gdzieś się spieszyli i niemal każdy coś niósł – a to karabin, a to łopatę, a to futro przewieszone przez ramię, a to walizkę, tobołek, naręcze książek, lampę z pięknym szklanym abażurem, zwiniętą kołdrę…".

„Świata jest za dużo" to coś znacznie więcej niż opowieść o narodzinach na gruzach starego zupełnie nowego, innego życia. Na przykład niejaki Jakimski, w którego ręce wpada maszynopis legendarnego „Mesjasza" Brunona Schulza, „wiele razy zbierał się do przepisywania tych trzystu trzydziestu trzech kartek, a wtedy zaczynało go gnębić nieokreślone poczucie, że otworzy tym samym mocno zatrzaśnięte drzwi i że kto wie, co się przez nie wedrze – pożar czy powódź, wichura czy bombardowanie. Bo przecież żyjemy w świecie zamarłym, przyczajonym przed następnym złem, niewykluczone, że jeszcze gorszym niż tamto, które z trudem uczymy się zapominać. Nie może być kontynuacji między tamtym światem a obecnym, nie po tym, co się stało Wandzie i jej koleżance Luli, i jemu samemu, i tym trupom, które wyciągano z piwnic i na które ludzie spluwali, bo były w mundurach, i dziewczynie w jednym bucie, i temu człowiekowi, który umierał na raka gardła i któremu zabrano dom, i szlochającemu dziecku […]. Po tym świat musi się skończyć i zacząć na nowo pod nową nazwą. Nie ma już Polski. Jest Polska Ludowa. Nie ma Drohobycza, są Wrocław i Wałbrzych".

Na szczęście jest coś znacznie, znacznie większego. ©℗



★★★★★★
OLGA TOKARCZUK „ŚWIATA JEST ZA DUŻO" WYDAWNICTWO LITERACKIE, KRAKÓW 2026

eprasa.pl c1e5dafed4



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Historia z papieru

Podróż do wspomnień: książki z biblioteki obłożone szarym papierem, popularni autorzy, do których ustawiały się długie kolejki na kiermaszach książki. Zatem Bahdaj i Wernic od westernów, wczesny Zajdel i Broszkiewicz od fantastyki, małżeństwo Szklarskich od Indian itd. Wypieki na twarzy, gdy czytaliśmy o przygodach w dalekich krajach. Tam, dokąd nigdy nie trafimy. Bo to PRL. Stąd się tak łatwo nie wychodzi.

Olga Wróbel zwraca uwagę na inny fenomen. Nie na eskapizm, tylko na to, jak oswajaliśmy to, co dookoła, co czytaliśmy o życiu codziennym: o rodzinie, podwórku, szkole, pierwszych miłościach. „Wychowywać i wzruszać. Literatura młodzieżowa PRL-u" to podróż przez niemal 100 książek wydanych w latach 1952–1988, poczynając od „Swoimi słowami" Hanny Ożogowskiej i „Piątki z ulicy Barskiej" Kazimierza Koźniewskiego po zapomnianych dziś autorów lat 80., jak Ewa Lach czy Lech Borski.

Kibicując temu przedsięwzięciu i w pełni wspierając metodę (przeczytać to wszystko uważnie jeszcze raz i świeżym okiem ocenić, na nowo analizować), znajduję jednocześnie inne pożytki. Autorka wiele uwagi poświęca temu, że ta czy inna sytuacja społeczna byłaby dziś nie do pomyślenia; że inaczej się dziś myśli i mówi o roli kobiety, o tym, jak wychowywać dzieci, o relacjach społecznych. Można i tak, owszem, sam byłem zdzwiony, wspomniawszy, jak w rodzinie Leśniewskich 13-letnia córka smażyła schabowe dla ojca, który oczekiwał, że ktoś wypełni pustkę w pełnieniu domowych obowiązków po tym, jak żona wróciła na studia. Mam jednak za zajęcie bez przyszłości wytykanie ludziom z dawnych czasów, że żyli inaczej, niż my uważamy, że żyć powinni.

Ciekawiła mnie bardziej mimowolnie napisana społeczna historia kultury masowej PRL. Najpierw książki przesycone propagandą na rzecz nowego ustroju i wojennymi traumami. Potem ciekawe świadectwa codzienności w czasach normalizacji. Lata 60. i 70. to chyba najciekawsze lata dla PRL-owskiej powieści młodzieżowej. I wreszcie opowieści wydawane już po stanie wojennym, łączące moim zdaniem dostrzeganie nowych wyzwań i społecznych zmian z czymś na kształt nowej prywatności, alienacji. Bo trudno było nie szukać ratunku przed bagnem epoki Jaruzelskiego w prywatności (inni szukali w fantastyce). Marzy mi się, by kolejne, podobne opracowanie opowiedziało historię III RP. ©℗

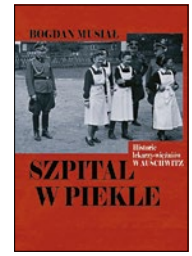


★★★★★★

OLGA WRÓBEL „WYCHOWYWAĆ I WZRUSZAĆ. LITERATURA MŁODZIEŻOWA PRL-U"
MARGINESY 2026

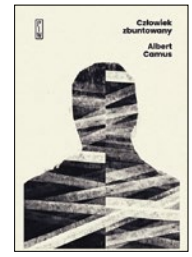
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Hasło „lekarz w Auschwitz" wywołuje natychmiast skojarzenie z doktorem Mengele i jego eksperymentami. Tymczasem znakomity historyk daje nam pełną historię lekarzy więźniów, ich wysiłków i udziału w ruchu oporu.



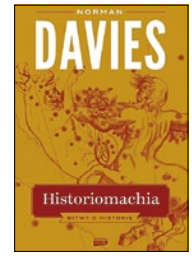
BOGDAN MUSIAŁ „SZPITAL W PIEKLE"
ZYSK I S-KA

„Buntuję się, więc jestem" – podpowiada Camus w słynnym eseju. Ale to, co podpowiada, dalekie jest od nihilizmu współczesnych inżynierów społecznych. Do czego się odwołuje? Pora sobie przypomnieć, wznowienie już na półkach.



ALBERT CAMUS „CZŁOWIEK ZBUNTOWANY"
PIW

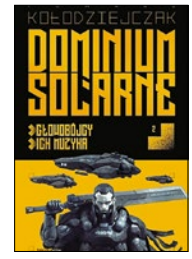
Teksty rozproszone historyka, który w sprawach współczesnych błądzi jako kieszonkowy ekspert „Wyborczej", ale dorobek ma dużo większy i w sprawach Rosji czy drugiej wojny światowej pisze pasjonująco (bardzo ciekawy dziennik podróży do ZSRS).



NORMAN DAVIES „HISTORIOMACHIA"
ZNAK

Dopełnienie tomu zawierającego powieści „Kolory sztandarów" i „Schwytany w światła". Tym razem czytelnik dostaje komplet opowiadań z tego samego uniwersum (w tym trzy premierowe).

recenzuje Piotr Gociek

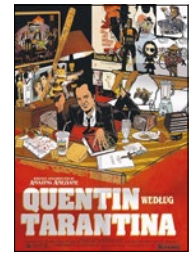


TOMASZ KOŁODZIEJCZAK „DOMINIUM SOLARNE", T. 2
FABRYKA SŁÓW

KOMIKS TYGODNIA:
TARANTINO FICTION

Opowieść o życiu i twórczości Quentina Tarantino, reżysera, który jak mało kto odcisnął swe piętno na kulturze masowej ostatnich trzech dekad. Naśladowców jest wielu, ale autor „Pulp Fiction" – tylko jeden, choć ukształtowały go tysiące inspiracji tym, co już nakręcone. Ten biograficzny komiks dobrze oddaje fenomen Tarantino i broni się jako samodzielne dzieło.

Piotr Gociek



AMAZING AMEZIANE „QUENTIN WEDŁUG TARANTINO"
SCREAM COMICS 2026

eprasa.pl c1e5dafed4

Architektura bezpieczeństwa Polski



Trójstronny stół negocjacyjny w stolicy Zjednoczonych Emiratów Arabskich FOT. ABACA/ABACA PRESS/FORUM



Krystian Kamiński

Czy ponad trzy dekady polskiej polityki zagranicznej opartej na amerykańskim protektoracie nie doprowadziły nas właśnie do strategicznego impasu?

Amerykanie negocjują z Rosjanami już nie tylko zakończenie wojny na Ukrainie, lecz także przyszły porządek bezpieczeństwa w Europie. Moskwa powraca do żądań ograniczenia obecności wojskowej NATO w państwach przyjętych do sojuszu po 1997 r. Tymczasem Polska, której bezpieczeństwa takie ustalenia bezpośrednio by dotyczyły, nie uczestniczyła w głównych rozmowach w Abu Zabi, gdzie w dniach 10–11 listopada miały miejsce negocjacje amerykańsko-rosyjsko-ukraińskie, pierwsze od lutego z bezpośrednim udziałem przedstawicieli wszystkich trzech państw. Na ich marginesie prowadzono również konsultacje z przedstawicielami wybranych państw europejskich. Rozmowy toczyły się w warunkach intensyfikacji walk na Ukrainie, rosnących strat po obu stronach oraz nasilających się wzajemnych ataków powietrznych. Zewnętrznym kontekstem tych zmagań militarnych są usiłowania państw europejskich zapewnienia subsydiowania Ukrainy w 2027 r., kiedy szacowana luka finansowa tego państwa ma wynieść ok. 70 mld euro. Unia Europejska zamierza pokryć ok. 45 mld euro tych potrzeb, choć sposób sfinansowania tej pomocy pozostaje przedmiotem sporów. Kanclerz Niemiec Friedrich Merz, reprezentujący największą gospodarkę i największego płatnika netto UE, uzależnił niemiecką zgodę na nowy wieloletni budżet Unii od udziału wszystkich państw członkowskich w dalszym finansowaniu Ukrainy. Jednym z rozważanych sposobów pozyskania pieniędzy jest kolejne wspólne zadłużenie.

ZASADY EUROPEJSKIEGO BEZPIECZEŃSTWA

Wbrew innym komentatorom nie uznaję amerykańskiego udziału w negocjacjach za czystą mediację. Waszyngton zgodził się bowiem rozmawiać o kwestiach, których powiązania z wojną na Ukrainie od dawna domagają się Rosjanie. Negocjacje dotyczą już nie tylko

eprasa.pl c1e5dafed4

zakończenia wojny, politycznego rozwiązania konfliktu i przyszłego statusu Ukrainy, lecz również szerszej architektury bezpieczeństwa w Europie. Jared Kushner, zięć prezydenta USA i jeden z głównych amerykańskich negocjatorów, wskazywał na potrzebę wypracowania szerszych rozwiązań bezpieczeństwa na kontynencie. Administracja amerykańska zwróciła się ponadto do Moskwy o przedstawienie propozycji porozumienia w tej dziedzinie. Nie oznacza to jeszcze zgody Waszyngtonu na rosyjskie żądania, niemniej już samo dopuszczenie ich do rozmów stanowi zasadniczą zmianę. Stany Zjednoczone przestają występować wyłącznie w roli pośrednika między Moskwą a Kijowem, stając się również stroną negocjacji dotyczących przyszłego układu sił w Europie.

Rosjanie powracają w ten sposób do postulatów, które zawarli w swoim ultimatum z grudnia 2021 r., przedstawionym Stanom Zjednoczonym i NATO kilka tygodni przed rozpoczęciem inwazji na Ukrainę na dużą skalę. Rosjanie żądali nierozszerzania NATO, ograniczenia jego aktywności wojskowej na obszarze poradzieckim i w Europie Środkowej oraz wycofania dodatkowej obecności militarnej zachodnich członków sojuszu z państw przyjętych po 1997 r. Zachód odrzucił zasadniczą część tych postulatów. Tymczasem, według doniesień „Washington Post" z 14 listopada, Rosjanie ponownie przedstawili w trakcie negocjacji żądania zmierzające do cofnięcia rozmieszczenia wojsk NATO do stanu z 1997 r. Oznaczałoby to daleko idące ograniczenia obecności wojskowej sojuszu również w Polsce. W istocie wracamy więc do dyskusji o zasadach europejskiego bezpieczeństwa, które po zakończeniu zimnej wojny próbowano regulować m.in. za pomocą aktu założycielskiego NATO–Rosja z 1997 r. oraz powołanej w 2002 r. Rady NATO–Rosja. Współpraca praktyczna w jej ramach została zawieszona w 2014 r., choć sama Rada odbywała jeszcze później posiedzenia. Już samo podjęcie przez Amerykanów rozmów o szerszej architekturze bezpieczeństwa Europy stawia w trudnym położeniu politykę zagraniczną elit Trzeciej Rzeczpospolitej, rozmaitego autoramentu, która zasadzała się na przyjęciu amerykańskiego protektoratu jako mechanizmu wypychania Rosji ze Starego Kontynentu.

Przedstawiciele państw europejskich podkreślają z kolei, że zakończenie wojny na Ukrainie i bezpieczeństwo całego kontynentu są ze sobą nierozerwalnie związane. Nie oznacza to jednak akceptacji rosyjskich propozycji. Europejscy przywódcy deklarują, że decyzje dotyczące bezpieczeństwa Starego Kontynentu nie mogą zapadać bez udziału jego mieszkańców. Różnica polega na tym, że Moskwa dąży do uzgodnienia nowego układu bezpieczeństwa przede wszystkim z Waszyngtonem, natomiast kraje europejskie domagają się udziału w rozstrzygnięciach, które będą ich bezpośrednio dotyczyły. Nie zmienia to faktu, że w dotychczasowym przebiegu negocjacji to Amerykanie i Rosjanie nadają ton dyskusji o przyszłych zasadach bezpieczeństwa europejskiego, podczas gdy państwa naszego kontynentu dopiero zabiegają o odpowiednie miejsce w tym procesie.

NEGOCJATORZY

Na czele rosyjskiej delegacji stał Władimir Miedinski, doradca prezydenta Władimira Putina. Uczestniczyli w niej również wiceministrowie spraw zagranicznych Siergiej Riabkow i Michaił Gałuzin, admirał Igor Kostiukow, szef rosyjskiego wywiadu wojskowego, oraz Aleksiej Komkow z kierownictwa FSB. Według rosyjskich mediów dołączyli do nich przedstawiciele Sztabu Generalnego Jurij Żygarłowski i Aleksandr Zorin, funkcjonariusz FSB Dmitrij Minajew, Jelena Podobriejewskaja z administracji prezydenckiej oraz dyrektorzy departamentów rosyjskiego MSZ Aleksiej Poliszczuk i Oleg Postnikow. W ten sposób Moskwa wysłała 11-osobową ekipę obejmującą przedstawicieli dyplomacji, wywiadu, kontrwywiadu, struktur wojskowych, kontroli zbrojeń i administracji prezydenckiej. Tak szeroki skład wskazuje, że Rosjanie przygotowali się do negocjacji wykraczających poza kwestie samej wojny na Ukrainie. Postawienie Miedinskiego na czele delegacji można natomiast odczytywać jako sygnał, że Moskwa nadal traktuje jako istotny punkt odniesienia wstępne ustalenia negocjowane z Ukraińcami wiosną 2022 r. w Stambule. Tamte rozmowy nie doprowadziły do porozumienia, jednak Rosjanie wielokrotnie powracali później do wypracowanych wówczas propozycji.

Delegacji ukraińskiej przewodniczył Rustem Umierow, szef Służby Wywiadu Zagranicznego. Uczestniczyli w niej również Kyryło Budanow i Serhij Kysłycia z Biura Prezydenta, Wadym Skibicki z wywiadu wojskowego oraz Dawyd Arachamija, przewodniczący parlamentarnej frakcji partii Sługa Narodu. Warto też zwrócić uwagę, że obok specjalnych wysłanników prezydenta USA, Steve'a Witkoffa i Jareda Kushnera, w Abu Zabi pojawił się gen. Alexus Grynkewich, dowódca amerykańskich sił zbrojnych w Europie, pełniący zarazem funkcję naczelnego dowódcy sojuszniczych sił NATO na tym kontynencie. Według późniejszych wyjaśnień uczestniczył on w rozmowach jako dowódca amerykański, a nie przedstawiciel sojuszu północnoatlantyckiego. Obecność tak wysokiego rangą wojskowego w delegacji USA jest jednak znacząca, szczególnie w kontekście rozmów dotyczących nie tylko warunków zakończenia wojny na Ukrainie, lecz także przyszłych zasad bezpieczeństwa europejskiego.

Stany Zjednoczone i Rosja podejmują rozmowy o kwestiach dotyczących równowagi sił w Europie, a Polska nie uczestniczyła bezpośrednio w ich pierwszym etapie

KWESTIA DONBASU

Według relacji nieoficjalnych Rosjanie nadal czynili nieodzownym warunkiem jakiegokolwiek porozumienia daleko idące ustępstwa terytorialne Ukrainy. Moskwa domaga się uznania swojej kontroli nad obszarami, które oficjalnie aneksowała we wrześniu 2022 r., mimo że nie opanowała w całości wszystkich czterech obwodów: donieckiego, ługańskiego, chersońskiego i zaporoskiego. Szczególnie istotna pozostaje kwestia Donbasu, którego całość Rosja chciałaby uzyskać w ramach porozumienia. Kijów zdecydowanie odrzuca możliwość wycofania swoich wojsk z terenów, które nadal kontroluje. W doniesieniach medialnych

eprasa.pl c1e5dafed4

pojawiła się także informacja o amerykańskiej propozycji formalnej zmiany granic administracyjnych części spornych obwodów, która mogłaby umożliwić zawarcie porozumienia bez całkowitego wycofania wojsk ukraińskich z zajmowanych pozycji. Według tych relacji propozycja spotkała się z odmową strony ukraińskiej. Wołodymyr Zełenski już po zakończeniu rozmów podkreślił, że dyskutowano o gwarancjach bezpieczeństwa dla Ukrainy, a zatem o możliwym zaangażowaniu polityczno-militarnym USA i europejskich państw NATO po zakończeniu wojny. Albo więc USA i Europa nie są zbyt skłonne do takiego zaangażowania, albo władze Ukrainy windują swoje oczekiwania do poziomu zaporowego, uznając, że dalsza wojna jest dla nich pewniejszym sposobem na doprowadzenie do poważniejszego wciągnięcia w nią co najmniej Europejczyków. Najbardziej konkretnym, praktycznym efektem rundy rozmów w Abu Zabi jest wstępne uzgodnienie dużej wymiany jeńców między Ukraińcami i Rosjanami, której skala i termin wymagają jeszcze doprecyzowania.

NASZA NIEOBECNOŚĆ

Polski nie było przy głównym stole negocjacyjnym. Na marginesie rozmów w Abu Zabi pojawili się reprezentanci Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Włoch, instytucji Unii Europejskiej oraz NATO. Delegowani zostali doradcy do spraw bezpieczeństwa przywódców tych państw, ale nie naszego kraju ani żadnego innego kraju tzw. wschodniej flanki NATO. Zachodni Europejczycy tylko pośrednio brali udział w procesie rozmów, mając dostęp do delegacji amerykańskiej i ukraińskiej. Rosjanie odmówili bezpośrednich spotkań z europejskimi przedstawicielami w Abu Zabi, podczas gdy Jared Kushner deklarował, że włączenie strony europejskiej do szerszych negocjacji jest celem Waszyngtonu.

Premier Donald Tusk przyznał 12 listopada, że Polska nie jest mile widziana przy głównym stole negocjacyjnym, zapewniając zarazem, że jest informowany o przebiegu rozmów. Dopiero po ich zakończeniu, podczas konsultacji europejskich przywódców w Dublinie, przedstawiono propozycję wspólnego zespołu mającego koordynować europejski udział w dalszym procesie dyplomatycznym. Obok Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii i Włoch znalazła się w nim również Polska, a także przedstawiciele instytucji unijnych. Nie oznacza to jednak, że Rosjanie zaakceptowali taki format, ani że polski przedstawiciel został dopuszczony do głównych negocjacji.

Jeżeli nawet powstanie jakaś amerykańska baza w Polsce, to czy nie może stać się ona częścią szerszego porozumienia amerykańsko-rosyjskiego

Najważniejsze więc, co wynika z zakończonych negocjacji, to fakt, że Stany Zjednoczone i Rosja podejmują rozmowy o kwestiach dotyczących równowagi sił w Europie, a Polska nie uczestniczyła bezpośrednio w ich pierwszym etapie. Jej późniejsze włączenie do proponowanego europejskiego zespołu konsultacyjnego nie rozstrzyga jeszcze, jaki będzie rzeczywisty wpływ Warszawy na ostateczne ustalenia. Biorąc pod uwagę, że podstawowym imperatywem polityki zagranicznej PO-PiS, a wcześniej postsolidarnościowego oraz postkomunistycznego obozu III RP, było wypychanie Rosji z Europy na rachunek sił USA, można mówić co najmniej o poważnym kryzysie dotychczasowych założeń strategicznych. W Polsce całkowicie ignorujemy taką możliwość, pozostając pod urokiem negocjacji w sprawie stałej bazy wojskowej USA w zachodniej części naszego państwa. Wiceminister obrony Magdalena Sobkowiak-Czarnecka poinformowała, że decyzja Donalda Trumpa w tej sprawie może zapaść już 3 lub 4 grudnia. Lokalizacja bazy nie została jeszcze oficjalnie ogłoszona, chociaż wiadomo, że rozpatrywana jest zachodnia część naszego kraju. Sprawa stałej bazy amerykańskiej w Polsce może być również argumentem, lewarem Waszyngtonu w negocjacjach z Rosjanami. Bowiem istnieje ryzyko, że Polska stanie się w nich amerykańskim żetonem rzucanym do gry.

Oddajmy się spekulacji… Jeżeli nawet powstanie jakaś amerykańska baza w Polsce, to czy nie może stać się ona częścią szerszego porozumienia amerykańsko-rosyjskiego, obejmującego nie tylko Ukrainę, lecz także Europę Środkowo-Wschodnią albo nawet kwestię chińską – dotyczącą globalnej równowagi sił? Nieduża amerykańska baza w zachodniej Polsce w zamian za ograniczenie aktywności wojskowej państw NATO w innych częściach naszego regionu. Nie ma obecnie dowodów, że taki wariant jest negocjowany, lecz sam powrót Rosji do żądań z 2021 r. każe rozważać również mniej oczywiste scenariusze.

Koncepcje szerszych kompromisów dotyczących bezpieczeństwa europejskiego pojawiały się już w amerykańskiej debacie, jak chociażby w dokumencie przygotowanym przez ekspertów skupionych wokół RAND Corporation i Fundacji Friedricha Eberta z października 2019 r. („A Consensus Proposal for a Revised Regional Order in Post-Soviet Europe and Eurasia"). Opracowanie dotyczyło przede wszystkim państw leżących między Rosją a NATO i nie proponowało konkretnego podziału Polski na strefy aktywności wojskowej. Pokazuje jednak, że w amerykańskim środowisku eksperckim rozważano rozwiązania regionalne oparte na uzgadnianiu interesów bezpieczeństwa Rosji i Zachodu. Do tego można wyobrazić sobie powrót rosyjskich surowców na polski rynek, tym razem za pośrednictwem amerykańskich firm i z amerykańską marżą.

Takie wielopłaszczyznowe porozumienie wydaje się obecnie mało prawdopodobne, lecz przecież całkowicie wyobrażalne w ramach filozofii polityki Donalda Trumpa i podejścia strategicznego reprezentowanego przez Elbridge'a Colby'ego, kładącego nacisk na priorytet rywalizacji z Chinami oraz przegląd amerykańskiego zaangażowania wojskowego w Europie. Już sama możliwość rozważania takiej perspektywy – przy ograniczonym bezpośrednim wpływie Polski na przebieg negocjacji – świadczy o skali wyzwań, przed którymi stoją obecni sternicy naszej nawy państwowej. Niepokojące jest w szczególności to, jak niewiele w polskiej debacie politycznej miejsca zajmuje pytanie, czy interesy amerykańskie i polskie muszą pozostać zbieżne w każdej możliwej konfiguracji geopolitycznej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c1e5dafed4

Supremacja konstytucji



Mariusz Muszyński

Nie można odrzucić obowiązku wynikającego z prawa krajowego na rzecz tego pochodzącego z prawa międzynarodowego, jeśli tej możliwości nie daje konstytucja. A jeśli taka istnieje, to prawo krajowe można odrzucać tylko w takim zakresie, w jakim konstytucja na to pozwala

Każde państwo podlega jednocześnie swojemu porządkowi prawnemu i porządkowi prawnomiędzynarodowemu. Nawet jeśli oba są ze sobą sprzeczne i nakładają na państwo przeciwne obowiązki.

POMIESZANIE Z POPLĄTANIEM

Podważanie rangi konstytucji w wykonaniu rządzącej w Polsce koalicji przekracza wszelkie granice. Począwszy od logiki, przez interes państwa, a skończywszy na granicy racjonalności. Głównym instrumentem używanym w tych działaniach jest prawo międzynarodowe. Od polityków słuchamy, że Strasburg każe jedno, TSUE drugie. A wszystko trzeba realizować, bo to prawny obowiązek.

Prawda jest inna. Rząd uznał, że nie mając w prawie krajowym kompetencji do wielu działań, będzie je legalizował w oparciu o prawo międzynarodowe. I to bez względu na konstytucję. Dlatego postanowiłem przypomnieć, że konstytucja jest w Polsce ważniejsza od prawa międzynarodowego. I wyjaśnić dlaczego.

Po pierwszej oczywistości o podległości państwa dwóm porządkom prawnym czas na drugą. Otóż nawet jeśli skutkiem tego podwójnego podlegania są sprzeczne obowiązki, to nie jest możliwe odrzucanie obowiązku wynikającego z prawa krajowego na rzecz tego pochodzącego z prawa międzynarodowego, jeśli takiej możliwości nie daje konstytucja. A jeśli taka możliwość istnieje, to prawo krajowe można odrzucać tylko w takim zakresie, w jakim konstytucja na to pozwala.

I jako trzecia oczywistość pewne zastrzeżenie. Pisząc o prawie międzynarodowym, obejmuję tą nazwą także prawo UE. Wynika to z faktu, że z perspektywy Konstytucji RP prawo UE jest prawem międzynarodowym właśnie. Aby było ciekawiej, napomknę, że podobnie na prawo UE patrzy prawo międzynarodowe. Uważa unijny system prawny za szczególny reżim międzynarodowy o charakterze zamkniętym. Całkiem inaczej widzi to sama UE. Od wyroku w sprawie Internationale Handelsgesellschaft GmbH (1970) TSUE uznaje, że prawo krajowe i unijne to jeden spójny porządek ukształtowany w sposób monistyczny. A prawo UE jest na szczycie tej piramidy przepisów. Jego najmarniejszy akt ma pierwszeństwo nawet nad krajową konstytucją. Tylko że w ujęciu Konstytucji RP to nieprawda.

Traktuje ona unijny porządek jako prawo międzynarodowe z perspektywy źródeł prawa i każdemu z nich przypisuje różną pozycję. I różną moc w zderzeniu z prawem krajowym. Opiera to zarówno na koncepcji dualizmu, jak i monizmu, gwarantując jedno – własną supremację. Jej podejście jest tu mocno zindywidualizowane. Pomieszanie z poplątaniem.

A teraz wracam do wywodu głównego. Skoro oczywistością jest, że odstąpić od prawa krajowego na rzecz międzynarodowego można tylko na zasadach konstytucyjnych, to trzeba wskazać, jakie reguły mają w Polsce zastosowanie w tej sytuacji. Otóż pozycję prawa międzynarodowego definiują art. 9 i art. 91 konstytucji.

I tu mamy kolejny problem, bo prawo międzynarodowe i prawo UE mają swoje standardy, według których porządkują relacje z prawem krajowym. Są to odpowiednio: zasada pierwszeństwa prawa międzynarodowego i zasada pierwszeństwa prawa UE, pacta sunt servanda i bonae fidei. I jak to zwykle bywa, te reguły grają na korzyść swych systemów.

Tego wątku nie będę rozwijał, bo ramy artykułu na to nie pozwalają. Ale spuentuję. To nie standardy prawa międzynarodowego czy prawa UE decydują ostatecznie o tym, kiedy odrzucać prawo krajowe. Organy państwa muszą w pierwszym rzędzie trzymać się reguł konstytucyjnych.

JEDNOŚĆ TWÓRCY I ADRESATA

Uzasadnienie tego stanowiska jest proste. Organy państwa są częścią porządku konstytucyjnego, który je stworzył. I prymarnie na jego podstawie funkcjonują. Prawem międzynarodowym państwo jest związane, tylko jeśli konstytucja na to pozwala i dopiero po przeprowadzeniu konstytucyjnych procedur. Wtedy zobowiązanie międzynarodowe staje się „wiążącym państwo prawem międzynarodowym".

Nie jest to jednak związanie nieograniczone. W tym wielosystemowym porządku prawo międzynarodowe, a dokładniej każde z jego źródeł czy – szerzej – zobowiązań, zyskuje wyłącznie rangę i pozycję przypisaną mu indywidualnie przez konstytucję. A zobowiązania międzynarodowe powstające poza trybem konstytucyjnym, czyli poza tak postrzeganą wolą państwa, wcale państwa nie wiążą. W końcu prawo międzynarodowe to system, który opiera się na jedności twórcy i adresata norm.

eprasa.pl c1e5dafed4



FOT. ADOBE STOCK

W efekcie jeśli Konstytucja RP upoważnia jakiś organ państwa do działania na podstawie prawa międzynarodowego, to może on działać tylko w granicach tego upoważnienia, czyli w zakresie wynikającym z przepisu konstytucyjnego. Inaczej mówiąc, konstytucyjne upoważnienie tworzy zgodę i ramy dla zakresu wykonania międzynarodowego zobowiązania.

I tu pojawia się kolejny problem. Dotyczy on dwóch rodzajów norm. Pierwsza grupa to normy wykreowane przez organy międzynarodowe. Chodzi o aktywność prawotwórczą tych organów, opartą na generalnej zgodzie państwa na takie działania, wyrażonej w traktatach. Przykładem są akty prawa pochodnego UE (rozporządzenia, dyrektywy). Te akty i ich normy dla swej skuteczności nie potrzebują następczej zgody państwa.

Druga grupa to normy wywodzone w drodze interpretacji przepisów zawartych w aktach prawa międzynarodowego. Chodzi zatem o kreację norm poprzez wykładnię dokonywaną przez uprawnione do tego podmioty pozapaństwowe. Czyli de facto chodzi o normy powstałe jednak poza państwem, nawet jeśli państwo wyposażyło te instytucje w tego rodzaju uprawnienie do kreacji norm. Naturalnym przykładem są tu wyroki prejudycjalne TSUE (art. 267 TFUE). Ale zaliczamy tu również interpretacje dokonywane w klasycznych wyrokach trybunałów międzynarodowych o charakterze rozstrzygającym konkretną sprawę (TSUE czy ETPC). Przywołać tu można normy wywiedzione w serii wyroków TSUE wobec Polski w latach 2018–2024, tworzące sprzeczne z Konstytucją RP obowiązki w kwestiach dotyczących wymiaru sprawiedliwości. Wywiedzione zresztą z trzech słów: „skuteczna ochrona sądowa" (art. 19 TUE).

Oba powyższe przypadki generują pytanie o granice swobody działania takich podmiotów i prawo Polski do kontrolowania tego działania. W końcu to działanie tworzy zobowiązania.

W świetle konstytucji odpowiedź jest jedna. To państwo określa granice takiej działalności, a służy temu mechanizm tzw. konstytucyjnej kontroli ultra vires. Bo to państwo wykreowało te podmioty i ich uprawnienia, także wobec siebie. Wymaganie automatycznego podporządkowania się takim normom godzi w państwową suwerenność.

A problem jest poważny. Oczekiwania TSUE i ETPC są już jednoznacznie artykułowane. Samodzielność, którą z upływem czasu wypracowały sobie te trybunały, pozwoliła im na zajęcie stanowiska, zgodnie z którym to one same orzekają o zakresie swoich kompetencji, a więc nie muszą liczyć się z wolą swoich twórców. A przecież wywodzą sobie to wszystko z traktatów dających im życie, czyli aktów wiążących Polskę wyłącznie na podstawie i w granicach konstytucji.

„EUROPEJSKI WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI"

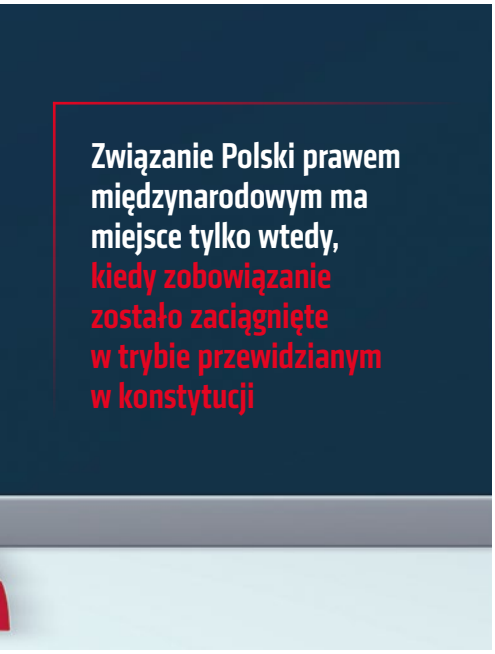
Co im pomaga? Absurdalna propaganda i parcie rządu na wykonywanie wszelkich wymysłów. Przykładem pierwszego jest strona internetowa Sądu Okręgowego Warszawa-Praga. Znajdziemy tam zakładkę „Europejski Wymiar Sprawiedliwości". A coś takiego nie istnieje. Owszem, mamy w UE politykę nazwaną „Przestrzeń bezpieczeństwa, wolności i sprawiedliwości". Jest i „współpraca sądowa w sprawach cywilnych" czy „współpraca wymiarów sprawiedliwości w sprawach karnych". Ale te dwie to tylko kooperacja transgraniczna państw. Skąd „Europejski Wymiar Sprawiedliwości"? Prezesowi sądu pogratulować fantazji.

Podobną bzdurą jest też pojęcie tzw. sędziów europejskich. Każdy sędzia, nawet ten zadający pytanie prejudycjalne, jest sędzią krajowym, nie europejskim. Sąd orzeka w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej (art. 174). Nawet gdyby sędzia wyrokował na podstawie prawa chilijskiego, ciągle byłby sędzią polskim, a nie chilijskim.

Wreszcie wspomnijmy tu działania podejmowane w sprawach sądownictwa. Kolejny już minister sprawiedliwości zapiera się, by zburzyć konstytucyjny ład, bo kilku facetów z TSUE coś sobie wymyśliło. A rząd twierdzi, że jest do tego zobowiązany, bo pacta sunt servanda. Niezłe brednie. Owszem, rząd powinien wykonywać zobowiązania międzynarodowe, ale może to robić tylko w taki sposób, w jaki pozwala mu konstytucja.

Rząd forsuje złe rozumienie zasady pacta sunt servanda. To antypaństwowa manipulacja czy zwykły brak wiedzy? Przecież to wyłącznie konstytucja spaja normy powstałe w drodze prawno-międzynarodowej z tymi utworzonymi w krajowej procedurze legislacyjnej i ożywia obowiązek przestrzegania prawa międzynarodowego. Bez konstytucyjnego umocowania, zasada pacta sunt servanda nie miałaby mocy prawnej. W przeciwnym razie oznaczałaby, że jest ważniejsza od suwerenności państwa. Owszem, obowiązek wykonania zobowiązania ogranicza suwerenność, bo ukierunkowuje jej wykonywanie, ale takie ograniczenie jest legalne, tylko kiedy czerpie swą siłę z konstytucji. Czyli jest z nią zgodne. Bez konstytucji pacta sunt servanda nie istnieje. W Polsce prawu międzynarodowemu taką siłę dają art. 9 i art. 91 konstytucji.

eprasa.pl c1e5dafed4



Związanie Polski prawem międzynarodowym ma miejsce tylko wtedy, kiedy zobowiązanie zostało zaciągnięte w trybie przewidzianym w konstytucji

Prawnomiędzynarodową słabość zasady pacta sunt servanda pokazuje nawet samo prawo międzynarodowe. Przecież jego częścią jest instytucja odpowiedzialności za złamanie przez państwo zobowiązania międzynarodowego. To znaczy, że pacta sunt servanda nie ma bezwzględnego charakteru, bo samo istnienie odpowiedzialności ujawnia, że prawo międzynarodowe dopuszcza nie tylko jednostronne odstąpienie od zobowiązania, lecz także jego proste odrzucenie. I przypomnę, że zasady międzynarodowej odpowiedzialności państwa ciągle są jednak słabe. Ta seria kar, które dostaliśmy od UE w latach 2018–2023 za brak wykonywania wyroków TSUE, to wcale nie efekt siły UE, ale bezradności rządu Morawieckiego.

WOLA WARUNKOWA

Wreszcie wszystkie przepisy konstytucji, także te otwierające polski porządek prawny na prawo międzynarodowe, muszą funkcjonować w ramach całości konstytucyjnej. A więc także w granicach jej art. 8 i art. 188.

Pierwszy z tej dwójki to tzw. zasada nadrzędności konstytucji. Oznacza ona m.in., że żaden przepis konstytucji nie może utracić mocy lub ulec zmianie przez sam fakt powstania sprzeczności z przepisem prawa międzynarodowego lub prawa UE. Wskazuje też, że to konstytucja tworzy ramy dla stosowania obcego prawa.

Z kolei art. 188 konstytucji określa właściwość TK. Tam w pkt 1 znajduje się możliwość kontroli przez TK zgodności umów międzynarodowych z Konstytucją RP. A to bardzo ważne. Uprawnienie kontrolne pokazuje, że konstytucyjna wola państwa do przestrzegania prawa międzynarodowego jest wolą warunkową. Podkreślę: nie bezwzględną, a warunkową. Możliwość badania zgodności z Konstytucją RP wymienionych tam expresis verbis umów międzynarodowych eksponuje różnicę rang między konstytucją a tymi umowami. I wzmacnia literalną nadrzędność konstytucji z art. 8. Pokazuje też, czego ma bronić TK – konstytucji, a nie prawa międzynarodowego czy UE. I dotyczy to wszystkich umów. Nie tylko tych, którym konstytucja przyznaje pozycje źródeł prawa powszechnie obowiązującego w Polsce. I włącza do krajowego porządku prawnego, a nawet wyposaża w atrybut pierwszeństwa przed ustawami.

Na marginesie wspomnę też, że to literalne ograniczenie kontroli konstytucyjności do umów międzynarodowych, nie oznacza wcale, że inne źródła (inne rodzaje zobowiązań międzynarodowych) mają pierwszeństwo przed Konstytucją RP. Albo że nie podlegają konstytucyjnej kontroli. Nic z tego. Przede wszystkim nie wchodzą one do krajowego obrotu prawnego. Te inne zobowiązania Polska po prostu wykonuje. Wykonywanie oznacza, że państwo realizuje w krajowym porządku prawnym cel wskazany przez takie zobowiązanie, np. wyrok trybunalski. Ale realizując cel, państwo ma swobodę wyboru sposobu działania. I robi to w ramach oraz na podstawie prawa krajowego, w tym konstytucji. A efekt tego działania (np. ustawę) zawsze można skontrolować w TK. I jeśli celu zobowiązania nie da się osiągnąć w zgodzie z konstytucją, to trzeba ją najpierw zmienić. Inaczej pozostaje odrzucenie zobowiązania. Nawet jeśli powstałaby odpowiedzialność międzynarodowa.

PRAWO NIEDEMOKRATYCZNE

Jedynym przypadkiem wymykającym się moim wywodom o innych zobowiązaniach niż umowy międzynarodowe są rozporządzenia UE, którym Konstytucja RP przypisuje atrybut „stosowania bezpośredniego" z pierwszeństwem przed ustawą (art. 91 ust. 3).

Nie są one źródłem powszechnie obowiązującego prawa w Polsce, jak ratyfikowane umowy, ale klasycznym prawem obcego systemu, jedynie dopuszczonym do stosowania z mocy i na warunkach konstytucji. Także tu TK ma możliwość konstytucyjnej kontroli poprzez interpretację art. 188.

TK powinien móc kontrolować całość prawa międzynarodowego, bo w zgodzie z kontekstem norm konstytucyjnych musi pozostawać każde zobowiązanie. Nawet jeśli służy „tylko" do ukierunkowania rozumienie przepisów krajowych (tzw. przyjazna wykładnia krajowa).

Prawo międzynarodowe trzeba zawsze dopasowywać do konstytucji, a nie odwrotnie. Powodem są cechy procesu tworzenia tego prawa. Po prostu prawo międzynarodowe nie spełnia wymagań konstytucjonalizmu. I niech nas tu nie myli nawet słowo „ratyfikacja". Także ta za zgodą wyrażoną w ustawie. Nawet tak ratyfikowana umowa międzynarodowa jest prawem niedemokratycznym. Obowiązuje w Polsce, choć powstaje w drodze międzyrządowych negocjacji, a nie procesu demokratycznej legislacji. A ratyfikacja to tylko przereklamowana procedura wiązania się umową. Sejm, dając zgodę na ratyfikację, nie legitymizuje umowy. Przecież nie wpływa w żaden sposób na jej materialną treść. Może tylko dać zgodę lub odmówić. A po ratyfikacji wpływ na jej treść traci nawet negocjujący ją rząd. Inaczej jest z ustawą. Sejm zawsze może ją sobie poprawić. Stąd szczególnie treść prawa międzynarodowego musi być czytana w ramach standardów konstytucyjnych, które w demokracji odgrywają rolę gwarancyjną.

Puenta jest taka: związanie Polski prawem międzynarodowym ma miejsce tylko wtedy, kiedy zobowiązanie zostało zaciągnięte w trybie przewidzianym w konstytucji. I musi być z nią zgodne dopóty, dopóki trwa. Także kiedy ewoluuje w wyniku interpretacji dokonanej przez podmioty pozapaństwowe. A kontrolę tej zgodności, czyli potencjalną korektę państwowej woli związania prawem międzynarodowym, może przeprowadzić TK. To dlatego TK jest taki ważny. W końcu w ten sposób chroni państwową suwerenność. Także tę traconą po cichu, w drodze różnych prawnomiędzynarodowych zobowiązań.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c1e5dafed4

Leon XIV i Kościół uprzejmego milczenia



Leon XIV w Argentynie akcentował kwestie pomocy ubogim i znaczenia ludzkiej kreatywności w dobie AI FOT. ABACA/ABACA PRESS/FORUM



Paweł Chmielewski

Podróż Leona XIV do Ameryki Łacińskiej może zostać uznana za kwintesencję jego pontyfikatu. Pobożna, w duchu kontynuacji z Franciszkiem, i pełna zadziwiającej nudy. Ten ostatni aspekt ma zresztą nieoczekiwane konsekwencje

Wyprawa aktualnego następcy św. Piotra do krajów latynoskich stała przez pewien czas pod znakiem zapytania, a to za sprawą nagle zdiagnozowanego raka płuc. Papież został jednak błyskawicznie zoperowany i szybko wrócił do zdrowia. Dlatego w piątek 6 listopada zgodnie z planem wsiadł do samolotu, by wylądować w stolicy Urugwaju, Montevideo. Już 8 listopada poleciał do Argentyny, a 11 listopada – do Peru, gdzie spędził czas aż do 16 listopada.

Można byłoby pomyśleć, że musiała to być podróż pełna ciekawych chwil. W końcu Urugwaj to najbardziej zsekularyzowany kraj Ameryki Południowej, rządzony podług wzorców francuskiego laicyzmu, niewolny od silnych akcentów masońskich. Argentyna to z kolei ojczyzna Franciszka, do której tamten papież nigdy się nie wybrał; dziś jest w dodatku rządzona przez Javiera Mileia, polityka kontrowersyjnego w kręgach kościelnych nie tylko ze względu na liberalną politykę ekonomiczną, lecz także z powodu dziwacznych poglądów religijnych, związanych z judaizującym ruchem noachickim. Wreszcie Peru, druga ojczyzna Leona XIV, dająca okazję do wygłoszenia bardziej osobistych przemówień i nakreślenia wyrazistych linii pontyfikatu.

Leon XIV nie wykorzystał tego potencjału. Laicystycznym władzom Urugwaju powiedział po prostu, że wolność wyznania jest ważna, a neutralność religijna nie oznacza spychania religii do sfery prywatnej. W Argentynie akcentował kwestie pomocy ubogim, godności pracy i znaczenia ludzkiej kreatywności w dobie AI. Prezydentowi Mileiowi zwrócił uwagę na prymat człowieka nad ekonomią, ale z drugiej strony pochwalił wolną przedsiębiorczość, tak że zadowoleni mogli być zarówno jego krytycy, jak i zwolennicy. W Peru papież mówił dużo na temat ochrony środowiska naturalnego. Wygłosił tam również krótką pochwałę synodalności, określając ją franciszkowym terminem „konstytutywnego wymiaru" Kościoła. Kiedy chciał skonkretyzować, co tak właściwie to znaczy, ograniczył się do rzucenia hasła o aktywizacji rad duszpasterskich w parafiach i diecezjach – rady te mają ściśle doradczy charakter i istnieją w Kościele od dawna, więc to żadna rewolucja. We wszystkich trzech krajach papież bardzo wiele mówił też o duchowości. Odwoływał się do lokalnych świętych, komentował Słowo Boże, wzywał do skupienia się na Jezusie Chrystusie i Matce Bożej. Słowem, był pobożny, był lokalny, był uśmiechnięty – ale nie bardzo wiadomo, co z tego wszystkiego miałoby właściwie wynikać dla Kościoła powszechnego.

WIELKIE PODRÓŻE PAPIEŻY

Wielkie podróże papieży po świecie są wynalazkiem doby posoborowej. Jeździć po świecie zaczął Paweł VI, ale ten obyczaj znacząco rozwinął dopiero Jan Paweł II. Benedykt XVI i Franciszek kontynuowali podróżowanie, choć nieco mniej inten-

eprasa.pl c1e5dafed4

sywnie niż papież Polak. Nie nadawali im zresztą aż tak wielkiego znaczenia: było jasne, że centrum działalności Ratzingera i Bergoglia znajduje się w Rzymie; że tam toczy się prawdziwe życie kościelne. Jak będzie to w przypadku Leona XIV, czas pokaże, bo wiele zależy od zdrowia. Na razie tempo podróżowania jest wysokie i bliskie raczej pontyfikatowi Wojtyły. Zupełnie inny jest jednak styl. Z dotychczasowych podróży Leona większe emocje na świecie wywołała wyłącznie pielgrzymka do Francji, ze względu na wyjątkowo napiętą sytuację społeczną w tym kraju. Ostatecznie była jednak interesująca bardziej jako wydarzenie kulturowe niż w samej swojej treści, bo papież bardzo pilnował, żeby nie powiedzieć nic zaskakującego. Podobnie było w Ameryce Łacińskiej. To miło, że Leon XIV odwiedził ten kontynent; wątpliwe jednak, by poza samymi odwiedzonymi ktokolwiek pamiętał o tym dłużej niż tydzień.

Ta beznamiętność papieża z Ameryki urasta już do rangi programu. Staje się czymś więcej niż tylko wyrazem cech charakteru tego człowieka – bardzo powściągliwego i spokojnego. Ktoś mógłby powiedzieć, że poprzez tak nudne działania papież osłabia swój własny autorytet: Po co przejmować się człowiekiem, który prawie nigdy nie ma do powiedzenia nic godnego zapamiętania? Można jednak argumentować odwrotnie, to znaczy, że właśnie to jest dziś koniecznością. Kościół katolicki potrzebuje pewnego rodzaju „depapizacji". Nie w tym sensie, żeby papież był zbędny – wprost przeciwnie. Wydaje się jednak, że w obiegu publicznym powinno być go jednak nieco mniej niż w ostatnim czasie. Nie chodzi tylko o pontyfikat Franciszka, lecz także o jego poprzedników – aż do czasów Soboru Watykańskiego I. W końcu to błogosławiony Pius IX miał wypowiedzieć słynne słowa: „La tradizione sono io", czyli „tradycja to ja", co dobrze ujmuje maksymalistyczne rozumienie sprawowania urzędu papieskiego.

Jest oczywiste, że po burzliwych latach rządów Jorge Maria Bergoglia wszyscy katolicy oddychają z ulgą, kiedy nie muszą już niemal każdego dnia głowić się, co tak właściwie chciał powiedzieć papież – czy obalił jakąś tradycyjną doktrynę, czy jednak nie; czy znowu obraził prawicowców albo tradycyjnych katolików; czy głosi Ewangelię, czy raczej lewicującą myśl socjalną, tylko inspirowaną teologią… Leon XIV nie jest krytykiem Franciszka. Kontynuuje jego dzieło: trzyma wokół siebie jego ludzi i zachowuje jego dokumenty. Niemniej jednak w szerokim odbiorze społecznym istotą pontyfikatu poprzedniego papieża była burzycielska wywrotowość, którą ujawniał niemal na każdym kroku. Długa i kompletnie bezbarwna pielgrzymka Leona XIV do Ameryki Łacińskiej ostatecznie pokazuje, że już z tym koniec. Rzecz jednak w tym, że emocjonalne szaleństwa epoki bergogliańskiej nie byłyby nigdy możliwe, gdyby nie nazbyt silne skupienie uwagi katolików na papieżu wyrosłe już we wcześniejszych dekadach. Teologiczne korzenie tego problemu opisał szeroko Tomasz Rowiński w książce „Turbopapiestwo", pokazując, jak na przestrzeni lat władza w Kościele koncentrowała się w Kurii Rzymskiej, co w połączeniu z nowymi mediami pozwoliło na stworzenie figury papieża-nadczłowieka, który góruje nad Kościołem do tego stopnia, że rzuca cień na wszystko inne.

WYGŁADZONA WERSJA EWANGELII

Kościół katolicki jest tymczasem oparty na następcach św. Piotra i od nich zależy, ale nie jest z nimi tożsamy. Można powiedzieć, że papieże powinni być w Kościele jak fundament – nieusuwalni, gwarantujący jedność i stabilność, ale zarazem nierzucający się w oczy. Kościół katolicki ma 38 wielkich nauczycieli wiary, zwanych doktorami – ale papieże to tylko dwaj z nich. Historycznie katolicyzm jaśniał raczej blaskiem niezliczonych świętych – męczenników, zakonników, biskupów, księży, świeckich – a nie splendorem i mocą papieskiej władzy. Papież Grzegorz rządzący Kościołem na przełomie wieków VI i VII chętnie posługiwał się tytułem „sługa sług Bożych", który wyraża bardzo ważną prawdę teologiczną o papiestwie. Papież jako figura, która dominuje nad całym światem katolickim, to nie jest norma; to rewolucja. Nuda towarzysząca działaniom Leona XIV jest przywróceniem utraconej miary. Usuwając się w cień, papież pozwala zajaśnieć innym; to naprawdę dobrze.

Problem w tym, że wszystko ma swoją cenę. Ten brak kontrowersji wiąże się nie tylko z decyzją Leona o wycofaniu swojej osobowości z centrum uwagi, zresztą prawdopodobnie oczekiwaną przez wymęczonych przez Franciszka kardynałów na konklawe w 2025 r. Wystąpienia i podróże papieża Prevosta nie wzbudzają emocji także dlatego, że… nie mówi nic, co w wyrazisty sposób sprzeciwiałoby się dominującej kulturze naszych czasów. Przecież papież Józef Ratzinger również nie był szczególnie przebojowy; posiadał maniery akademickiego intelektualisty. Nie potrafił zdobyć się na teatralne gesty i pozy Jana Pawła II, nie chciał szokować jak Franciszek. Przepowiadał jednak Ewangelię w sposób, który prowadził do ostrych konfrontacji. Niekoniecznie dlatego, że tego chciał jako celu samego w sobie. Raczej dlatego, że taki był „efekt uboczny" mówienia prawdy. Kiedy poleciał do Afryki i przypomniał o nauczaniu na temat antykoncepcji, mówił o rzeczach oczywistych – ale wywołało to niesamowite oburzenie lewicowych mediów. Gdy nauczał o istocie islamu, wzbudził furię mahometan – nie dlatego, że ich obraził, ale dlatego, że samo uczciwe zestawienie tej religii z chrześcijaństwem wykazało jej braki.

Jeżeli papież Leon XIV postawił sobie za cel, by nie wzbudzać kontrowersji, to trzeba postawić pytanie o rolę Kościoła jako znaku sprzeciwu. Strategia Leona może wiązać się z głoszeniem dość wygładzonej wersji Ewangelii. Może być nawet poprawna teologicznie, ale przecież często ważniejsze jest nie to, co się mówi, ale to, jak to się robi i co się pomija. Papież mógł powiedzieć władzom Urugwaju, że ich projekt polityczny zmierza ostatecznie do antyhumanizmu; Mileiowi, że nurza się w bełkotliwych ideologiach; Peruwiańczykom, że cała ta synodalność to w gruncie rzeczy jakiś absurd. Nie zrobił tego, bo wybrał uniknięcie konfrontacji. Czy to dobrze czy źle, nie chcę osądzać; wyciągam z tego jednak jedną lekcję. Skoro papież nie zajmuje aż tak centralnego miejsca w budowaniu świadomości tego, czym jest Kościół, to tę rolę muszą przejąć inni. Nie tylko biskupi, obdarzeni urzędową odpowiedzialnością, lecz także świeccy – a może przede wszystkim oni, gotowi do ostrej konfrontacji ze zgniłą współczesną kulturą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl c1e5dafed4



Piotr Semka z Eisleben

Od rywala Lutra do beneficjenta „Ostalgii”



FOT. PIOTR SEMKA

Tomasz Müntzer uważał, że wola Boga objawia się poprzez tych, którzy otrzymali od niego moc. Dostrzegał wybrany lud boży w zwykłych ludziach, chłopach, górnikach, pospólstwie miejskim. Nie kwestionował fundamentalnie struktur władzy, ale wymagał od nich sprawiedliwości. Inaczej dawał ludowi prawo do przeciwstawienia się swoim władcom

Republika Federalna Niemiec nie żałowała sił i środków dla uczczenia 500. rocznicy wojny chłopskiej z lat 1524–1526. Na realizację cyklu pięciu wystaw landowych „Gerechtigkeyt 1525” („Sprawiedliwość 1525”) rząd federalny oraz kraj związkowy Saksonia-Anhalt przeznaczyły ok. 7,1 mln euro.

Czołowej postaci tego zrywu, ideologowi ówczesnej rewolucji Tomaszowi Müntzerowi, poświęcono specjalną ekspozycję w Luthers Sterbehaus, czyli w Muzeum Domu Śmierci Marcina Lutra w Eisleben.

To swoisty symbol dość instrumentalnych prób pogodzenia pamięci o dwóch teologach reformacji, których drogi rozeszły się bardzo szeroko. Za życia obaj religijni przywódcy szczerze się nienawidzili. Pod koniec życia Marcin Luter wyklinał Müntzera jako niebezpiecznego awanturnika, a ten z kolei przedstawiał twórcę reformacji jako wygodnickiego sługusa potężnych książąt. To, że muzeum poświęcone Lutrowi przygotowało wystawę o jego płomiennym adwersarzu, pokazuje ciekawe zjawisko.

Jak bardzo żywa jest tradycja ludowego buntu. I jak mozolnie dzisiejsze Niemcy próbują załagodzić ten spór sprzed pięciu stuleci według zasady filozofa Johanna Gottlieba Fichtego „teza – antyteza – synteza”. I wreszcie jak usilnie dla obu tych postaci próbuje się znaleźć jakieś komplementarne miejsca w niemieckiej historii. Dla polskiego widza to bardzo ciekawe zjawisko.

WZOREM PROROKA DANIELA

W niedzielę 13 lipca 1524 r. na zamku w Allstedt zebrali się znamienici goście, aby wysłuchać kazania kaznodziei, który zaczął przyciągać na swoje nabożeństwa w Saksonii ogromne tłumy. W loży zamkowej kaplicy zasiedli: książę elektor Saksonii Jan o przydomku Stały (Johann der Beständige) oraz Jan Fryderyk – jego syn i następca tronu. Szacowni goście postanowili sami wyrobić sobie zdanie na temat nauk zdobywającego sławę Tomasza Müntzera. W tym celu przybyli na kazanie wraz z trzema doradcami z dziedziny teologii i polityki. W tamtych czasach zresztą między jednym a drugim istniały bezpośrednie powiązania. Wszyscy liderzy reformacji uzasadniali postulowane przez siebie zmiany, powołując się na Ewangelię. Tak jak ją rozumieli. Ale i ich słuchacze, którzy żyli wówczas Słowem Bożym w nieporównanie większym stopniu niż dziś, tego oczekiwali. Potwierdzenia swoich dążeń i przeczuć w nawiązaniu do kazań Chrystusa i tego, co przed nim głosili starotestamentowi prorocy.

I właśnie do tego ostatniego typu odniesień nawiązał Tomasz Müntzer

eprasa.pl c1e5dafed4

w swoim kazaniu, które nazwał „Wyjaśnienie innego wyróżnienia Daniela". Opierając się na opowieści o śnie Nabuchodonozora z drugiego rozdziału Księgi Daniela, kaznodzieja odniósł się do problemów Kościoła i postawił tezę, że „biednemu, nędznemu, upadającemu chrześcijaństwu" nie może już pomóc istniejąca aktualnie hierarchia kościelna. Według duchownego jej błędy zamieniły postać Chrystusa w nauczaniu Kościoła na coś w rodzaju straha na wróble. Potrzebna jest fundamentalna odnowa, nowe zwrócenie się ku Bogu. A ten zwrot wymaga nie kolejnych kazań uczonych w Piśmie, lecz uznania, że Bóg objawia się również poprzez wizje i sny. W ten sposób retorycznie Müntzer zaatakował Marcina Lutra, który dowodził, że oprzeć się należy wyłącznie na lekturze Pisma Świętego w myśl zasady „sola scriptura".

Müntzer uważał, że wola Boga objawia się poprzez tych, którzy otrzymali od niego moc. Dostrzegał wybrany lud boży w zwykłych ludziach, chłopach, górnikach, pospólstwie miejskim. Nie kwestionował fundamentalnie struktur władzy, ale wymagał od nich sprawiedliwości. Inaczej dawał ludowi prawo do przeciwstawienia się swoim władcom.

Współczesny niemiecki historyk Thomas T. Müller uznał to przemówienie za jedno z pierwszych na terenie Niemiec wczesnonowożytne uzasadnienie fundamentalnego prawa ludu do sprzeciwu wobec władzy. Jeżeli sascy książęta mieli jeszcze jakieś wątpliwości, czy Müntzer jest dla nich zagrożeniem, to po tym kazaniu nie mieli już złudzeń. Szczególnie zirytować członków rodu panującego musiała przestroga Müntzera, że jeżeli nie będą opiekować się swoim ludem, to będą jak „miecz, który zardzewieje w pochwie". Kaznodzieja przepowiadał swoim władcom, że jeśli nie posłuchają jego rady i w domyśle nie spełnią postulatów ludowych buntowników, to ich „miecz", czyli w metaforycznej formie władza, stanie się bezużyteczny. A tym samym zostanie im odebrane moralne prawo do władania poddanymi.

Müntzer musiał wyczuć, że jego kazanie nie zachwyciło wielmożów. Wolał nie czekać na ich reakcje. Po cichu opuścił Allstedt i udał się do pobliskiej miejscowości Mühlhausen w Turyngii. I tam niedługo później wydrukował swój tekst kazania, które – jak każdy obrazoburczy i rewolucyjny manifest – szybko zdobyło sobie popularność na terenach środkowych Niemiec.



Sztuka NRD często sięgała do postaci Müntzera. Obraz z 1975 r.

FOT. PIOTR SEMKA

CHARYZMATYCZNY TRYBUN?

Kim był śmiałek, który tak mocno wyprowadził z równowagi księcia Jana i jego syna Jana Fryderyka?

To bardzo ciekawe, że zarówno Marcin Luter, jak i Tomasz Müntzer wychowali się w miasteczkach, w Górach Harzu, w których znajdowały się wielkie książęce zamki. W poszczególnych ich częściach powstawały miniksięstewka, w których symbolem władzy był wyniosły zamek otoczony wieżami obronnymi i murami najeżonymi armatami.

Luter, rocznik 1483, dorastał w miasteczku Mansfeld u stóp ogromnej twierdzy hrabiów w miasteczku noszącym ich imię. Tomasz Müntzer urodził się w 1489 r. w Stolbergu, stolicy innego harceńskiego hrabstwa, w którym także najwyższe wzgórze wieńczyło solidne zamczysko tamtejszych władców. Ale z tego życia w cieniu pańskich murów obaj wyciągnęli zupełnie inne wnioski. Luter zawsze uważa władzę książąt za element ładu Bożego i upominał swoich wyznawców, by podporządkowali się tej władzy idącej od Boga. A Müntzer zupełnie na odwrót. Uznawał, że obowiązkiem władców jest zapewnienie swoim poddanym sprawiedliwego ładu społecznego. A jeśli nie są w stanie tego ładu zapewnić, lud ma prawo do buntu.

Skąd ta różnica? Może z faktu, że Müntzer był o sześć lat młodszy od Lutra. Jak to często bywa, uznał, że musi rozwinąć naukę swojego mistrza. Bo buntownik ze Stolbergu był początkowo oddanym zwolennikiem i wielbicielem Marcina Lutra. Gdy przyjął reformatorskie idee „reformatora z Wirtembergii", miał już za sobą studia w Lipsku i we Frankfurcie nad Odrą. W 1513 r. Müntzer przyjął święcenia kapłańskie w diecezji Halberstadt. Ale jego charyzma kaznodziejska i kapłańska rozwinęła się najpełniej od maja 1520 r., kiedy zaczął wygłaszać kazania w Kościele Mariackim w Zwickau. I tam zaczął przyciągać tłumy.

Saksońskie miasteczko Zwickau było dobrym miejscem do zdobycia rozgłosu. To jedna z najbogatszych miejscowości elektoratu Saksonii, wzbogaciła się na przemyśle tkackim i była lokalnym centrum handlu produktami żywnościowymi. Szczyciła się też szkołą, w której nauczano łaciny i greki na najwyższym poziomie. Ale po pewnym czasie kazania Müntzera zaczęły budzić podejrzliwość radców miejskich. I jak to często będzie w jego życiu, Müntzer sam wyczuje, że trzeba brać nogi za pas.

Kolejny etap jego tułaczki to Czechy. W Pradze w czerwcu 1521 r. głosi kazania w słynnej Kaplicy Betlejemskiej, w której kiedyś głosił kazania Jan Hus. Ale znów dochodzi do jakiegoś konfliktu i Müntzer opuszcza po pewnym czasie miasto nad Wełtawą. Owocem pobytu w Pradze był tzw. manifest praski, w którym Müntzer przedstawił swoją teologię przesiąkniętą mistycyzmem i oczekiwaniem końca czasów. Jest to oskarżenie Kościoła rzymskokatolickiego, że stał

eprasa.pl c1e5dafed4

się „nierządnicą poprzez duchowe cudzołóstwo". Teolog ze Stolbergu wzywa do stworzenia nowego Kościoła, który „broniłby słowa Bożego". W swoim dziele rozwija tezę, że głównym przesłaniem Pisma Świętego jest to, że wybrani mogą doświadczyć oświecenia jedynie przez Ducha Świętego, niezależnie od słów Biblii. Wypowiada się też przeciw chrztom niemowląt.

Na tym etapie poglądy Müntzera jeszcze nie budzą zastrzeżeń książąt, bo oni też uważają, że Niemcy powinny zerwać z Rzymem. Ale co bardziej bystrzy z nich zauważają, że głoszona przez kaznodzieję wiara w indywidualne oświecenie „wybranych przez Ducha Świętego" brzmi buntowniczo. Może wywołać rebelianckie interpretacje Pisma Świętego przez ludzi z nizin społecznych. Dać nową ideologię trybunom ludowym i prowodyrom buntu.

A Müntzer w tym czasie znów prowadził swoją kaznodziejską podróż, której przystankami były kolejno środkowoniemieckie miasteczka – Jena, Erfurt, Weimar, Glaucha (obecnie część Halle) – by wreszcie objąć Kościół św. Jana w Allstedt, mieście, w którym wygłosi swoje słynne potem kazanie o proroku Danielu i mieczu rdzewiejącym w pochwie.

POD ZNAKIEM TĘCZY

Allstedt stanowi też istotny punkt na jego drodze życiowej z przyczyn osobistych. To tam krótko przed Wielkanocą w 1523 r. poślubia byłą zakonnicę, Otylię von Gersen, a rok później, w marcu 1524 r., przychodzi na świat ich syn. Po wspomnianym już słynnym kazaniu książęcym w Allstedt i ucieczce do Mühlhausen przychodzi czas na bezpośredni kontakt z rebelianckimi ruchami chłopskimi. Zimę 1524/1525 wykorzystuje na pobyt w Griesen, gdzie jest gościem przywódcy chłopskiego Klausa Wagnera. Stąd wraca do Mühlhausen i zostaje wybrany na proboszcza tamtejszego Kościoła Mariackiego. W kwietniu 1524 r. to turyńskie miasto staje się centrum powstania chłopskiego. Müntzer stworzył symbol dla ruchu chłopskiego – tęczowy sztandar, który ma być symbolem „wiecznego przymierza z Bogiem". Wszyscy, którzy chcą przystąpić do rebelii, muszą przysięgać na tęczowy sztandar przed amboną Kościoła Mariackiego w Mühlhausen. Kaznodzieja jest wtedy w swoim



Protonaziści też lubili Müntzera. Plakat z 1931 r.
FOT. PIOTR SEMKA

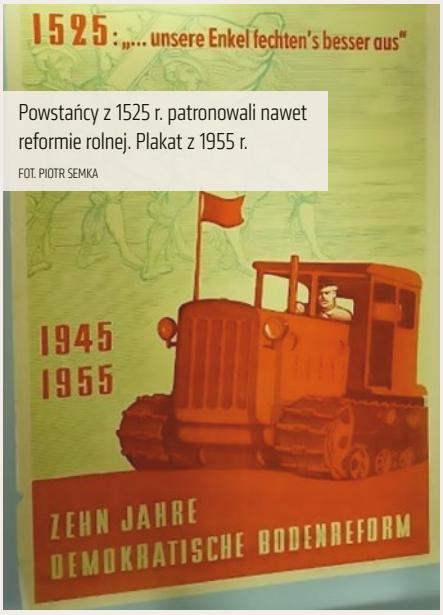
żywiole. Wygłasza setki kazań, które wprawiają wiejskich buntowników w religijną ekstazę. Jest archetypem późniejszych wyznawców ideologii „Chrystusa z karabinem na ramieniu", którzy w XX w. będą w Ameryce Południowej zagrzewać do boju marksizujące partyzantki.

W tym czasie Luter już otwarcie sypie gromy na ideologa antyksiążęcych buntów.

Oczywiście trzeba brać pod uwagę, że Lutr nie cierpiał Müntzera i przedstawiał go w jak najgorszym świetle.

Już w sierpniu 1524 r. chwycił za pióro w Weimarze, aby przesłać ostrzeżenie „czcigodnym i mądrym panom, burmistrzom, członkom rady i całej społeczności miasta Mühlhausen", by strzegli się „fałszywego ducha i proroka, który przychodzi w owczej skórze, ale w głębi duszy jest drapieżnym wilkiem". Jak zaznaczał Müntzer, „zdolny jest jedynie do morderstwa, buntu i rozlewu krwi".

List Lutra dotarł do Mühlhausen za późno, bo Müntzer zdążył zdobyć tam już sporą popularność, a później miasto stało się stolicą chłopskiego buntu. I to właśnie z Mühlhausen religijny przywódca ruszył na czele chłopskiej armii, by zmierzyć się z armią elektora Saksonii.



Powstańcy z 1525 r. patronowali nawet reformie rolnej. Plakat z 1955 r.
FOT. PIOTR SEMKA

ARMAGEDON NAD RZECZKĄ KLEINE WIPPER

Miejscem rozstrzygnięcia bitewnego dla obu stron było wzgórze w okolicach miejscowości Frankenhausen (dziś Bad Frankenhausen) w Turyngii 15 maja 1525 r. Amia chłopska była ogarnięta religijnym zapałem, ale jej umiejętności militarne były słabe. Znacznie ustępowała pod względem uzbrojenia i wyszkolenia bojowego oddziałom najemników służących księciu Janowi w Weimarze. Poza tym poszczególne grupy chłopskie były ze sobą skłócone oraz miały bardzo często różne cele. Na tym tle Tomasz Müntzer próbował wszystkich ich połączyć górnolotnymi religijnymi hasłami i przekonać ich do współdziałania w imię wyższych przyszłościowych celów. Razem było to ok. 6 tys. ludzi.

Imponująco prezentowała się ich tęczowa flaga z napisem: „Verbum domini manet in aeternum" („Słowo Pana trwa na wieki"). Powstańcy liczyli, że dołączą do nich inne grupy rebelianckie z pobliskich terenów, ale nie wiedzieli, iż powstanie w większości przylegających terenów zostało już zdławione lub zakończone wskutek lokalnych negocjacji.

Po drugiej stronie na przyszłe pole bitwy przybyły dwie armie. Pierwsza albertyńskiego księcia Jerzego Saskiego i druga – landgrafa Hesji Filipa, który uznał, że lepiej zmiażdżyć rebeliancką armię na terenach Turyngii, zanim pożoga powstańcza ogarnie jego heskie władztwo.

Wielka bitwa pod Frankenhausen zaczęła się rankiem 14 maja 1525 r. Początek nie był dla rebeliantów zły. Powstańcy odparli trzy ataki armii heskiej na zachód od miasta. Ale już pod wieczór zaczęły się pierwsze oznaki rozpadu armii, której

eprasa.pl c1e5dafed4

duchowym ojcem był Müntzer. Rebelianci z Frankenhausen za plecami Müntzera rozpoczęli negocjacje z książętami i po ustaleniu rozejmu opuścili obóz powstańców. Na dodatek następnego dnia, 15 maja, armia heska połączyła siły z armią albertyńską. Obie armie objął pod swoją komendę utalentowany i doświadczony dowódca, płk Aschwin von Cramm. Ostatecznie siły powstańcze wzrosły do 8 tys. pieszych uzbrojonych głównie w kosy, sierpy, cepy i widły. Jedynie mniejszościowy kontyngent górników uzbrojony był w piki, halabardy i krótkie szable.

Książęta dali powstańcom ostatnią szansę, żądając, aby wydali im Tomasza Müntzera i jego zwolenników. Chłopi odrzucili żądanie. Tuż przed rozpoczęciem bitwy na niebie pojawiła się tęcza, którą powstańcy uznali za znak zesłany przez niebiosa. Wykorzystując okazję, Müntzer wygłosił kazanie do powstańców, przekonując, że na własne oczy zobaczyli zapowiedź swojego zwycięstwa.

I właśnie gdy wszyscy jeszcze znajdowali się w religijnym uniesieniu, na zastępy chłopskie spadły zagony kawalerii książęcej wspomaganej przez jednoczesny atak piechoty książęcej i kanonadę artylerii elektora. Armię chłopską udało się całkowicie zaskoczyć.

Wręcz religijne uniesienie zamieniło się w totalną panikę. Masowo porzucano broń. Przerażona i tratująca się nawzajem masa powstańców zaczęła uciekać ze wzgórza w kierunku rzeczki Kleine Wipper i dalej do miasteczka Frankenhausen.

Wojska książęce bez trudu dopadały rebeliantów i w większości mordowały ich na miejscu. Wyjątkowo wiele ofiar padło w miejscu znanym obecnie jako Blutrinne (krwawa przepaść). Na polu bitwy zatłuczono co najmniej 6 tys. chłopów.

Z 600 pojmanych powstańców 300 natychmiast zakłuto lub ścięto. Wyłapywanych w ciągu kolejnych dni w lasach wieszano setkami.

Na tym tle straty po stronie książęcej były wręcz symboliczne. Jeśli wierzyć kronikom, to w bitwie padło jedynie sześciu najemników.

Tomasz Müntzer został schwytany w mieście Frankenhausen 27 maja 1525 r. W obozie książąt koło Mühlhausen był długo przesłuchiwany, torturowany i skazany w końcu na śmierć. Po ścięciu mieczem jego odcięta głowa została nabita na pikę i wystawiona na widok publiczny.

Taki był ziemski koniec ideologa wiejskiego buntu z lat 1524–1525.

ŻYCIE PO ŻYCIU

Na początku silnie działała anatema Lutra. Jeszcze osiem lat po śmierci Müntzera twórca reformacji uznawał wciąż pamięć o nim za groźną. Z wyraźną osobistą niechęcią poświęcił mu spory fragment swojego „Traktatu o mszy narożnej i konsekracji kapłańskiej".

Luter pisał: „Co ten nieszczęsny Tomasz Müntzer robił, wędrując po kraju i szukając schronienia dla swoich wad? Opowiadał dobrym ludziom w Allstedt, jak będąc kapelanem w klasztorze w Halle, musiał odprawiać mszę dla zakonnic, ale nie miał na to specjalnej ochoty. I regularnie pomijał niektóre czynności liturgiczne". Według Lutra wypowiadał się on lekceważąco o rozdawanych wówczas hostiach, mówiąc: „Tak. Zjadłem około dwustu takich nieuświęconych bogów".

Autorytet Marcina Lutra był wśród Niemców tak silny, że jego krytyka pastora rebelianta zdominowała wizerunek buntownika na kolejne trzy stulecia.

Jego pierwszy wizerunek – dzieło Christoffela van Sichema starszego – powstał dopiero na potrzeby wydanej w Amsterdamie w 1616 r. książki na temat „arcyheretyków" w obozie reformacji.

Moda na chłopskiego ideologa zaczyna się dopiero wraz z wrzeniem poprzedzającym Wiosnę Ludów lat 1840–1848. Zaczyna ją Theodor Mundt, pisarz rewolucjonista z grupy Młode Niemcy.

Po nim postać chłopskiego trybuna spopularyzował Wilhelm Zimmermann w swoim dziele „Powszechna historia wojen chłopskich w Niemczech". To on zainspirował ideologa komunizmu Fryderyka Engelsa do przedstawienia Müntzera jako bohatera walki klasowej.

Nacjonaliści z nurtu Blut und Boden i zwolennicy socjalizującego nurtu NSDAP w epoce Republiki Weimarskiej chętnie sięgali po postać XVI-wiecznego rebelianta. W 1931 r. na polach bitwy pod Frankenhausen wystawiono masowe widowisko plenerowe o Müntzerze o wyraźnie „volkistowskim" stylu.



Banknot pięciomarkowy NRD z 1975 r.

Później, już po zdobyciu władzy, naziści zadecydowali: pochodzący ze szlachty dowódcy wojsk wojny chłopskiej, tacy jak Götz von Berlichingen, Florian Geyer i Georg von Frundsberg, mogą być patronami jednostek SS, ale samego Müntzera na sztandary nie bierzemy.

Taka polityka ułatwiła po wojnie niemieckim komunistom z NRD triumfalne wprowadzenie ludowego trybuna na czerwone ołtarze. Jego głęboką wiarę w Boga pomijano milczeniem. Powojenną reformę rolną uznano za spełnienie testamentu chłopskich powstańców z lat 1524–1526.

W 1956 r., nie szczędząc kosztów, wyprodukowano w Niemczech Wschodnich historyczny epos filmowy w kolorze „Tomasz Müntzer". W 1975 r. ideolog rewolt chłopskich trafił nawet na NRD-owski banknot pięciomarkowy.

Ostatnim najdroższym i najbardziej okazałym hołdem dla wojen chłopskich i Müntzera było wybudowanie i uroczyste otwarcie w lutym 1989 r., na jednym ze wzgórz terenów bitwy pod Frankenhausen, wielkiej rotundy mieszczącej malarską panoramę batalii – dzieło malarza Wernera Tübkego i jego zespołu.

Po 1990 r. müntzeromania na krótko osłabła. Rodzinne miasto ideologa wojny chłopskiej – Stolberg – porzuciło dumne miano „Müntzer-stadt". Ale wraz z rosnącą „Ostalgią", czyli nasilającym się sentymentem za państwem Ericha Honeckera, chadeckie władze landów Saksonii-Anhaltu postanowiły wykorzystać w 1525 r. 500. rocznicę wojen chłopskich do wykonania gestu wobec sierot po NRD. Cykl wystaw pod hasłem „Gerechtigkeyt 1525", czyli „Sprawiedliwość 1525", stał się okazją do odświeżenia kultu buntowniczego kaznodziei.

Marcin Luter pewnie niespokojnie przewraca się w grobie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

„Thomas Müntzer" – wystawa w Domu Śmierci Marcina Lutra w Eisleben. Szczegóły na stronie: www.luthermuseen.de.

eprasa.pl c1e5dafed4



KOMUCHOŻERCA

Horror horrorów

LESZEK ŻEBROWSKI

Czy można kaleczyć, przeinaczać historię, przewracać wszystko do góry nogami? Skoro tak się dzieje, to znaczy, że można. Cywilizowane społeczeństwa stawiają jednak tamę takim praktykom i wyciągają odpowiednie konsekwencje. My widocznie już cywilizowani nie jesteśmy, bo żadnych konsekwencji nie wyciągamy, a łgarstwa na nasz temat płyną coraz szybciej i coraz bardziej wartkim nurtem. Celem jest odebranie nam wiedzy o przeszłości, czyli historii.

Powszechną praktyką jest, że zniewolone, podbite narody, społeczeństwa poddawane są takim zabiegom. To prosty i skuteczny sposób na odbieranie dumy i tożsamości. Ale tak robią okupanci, bo jest to dla nich sposób na osiągnięcie celu. Jeśli natomiast tak samo dzieje się wewnątrz danej społeczności, jeśli tak działają siły odśrodkowe (zwane „piątą kolumną"), to jest oznaka, że zniewolenie przychodzi również od środka, nie tylko z zewnątrz.

Wielki polski strateg, polityk, hetman i kanclerz w I RP, Jan Zamoyski, napisał setki lat temu, że „człowiek bez historii jest jak zwierzę polne". Zwierzę łatwo jest zniewolić, pozbawić środowiska, wyizolować. Jeśli ludzi się zezwierzęci, to będzie z nimi podobnie. Dlatego historia ludzkości to nieustanne, mniej lub bardziej skuteczne dbanie o pamięć w celu pielęgnowania tożsamości. Nazywamy to historyzmem, ale musi on być oparty na prawdzie. Stąd nieustanne próby, aby było inaczej.

Oto w 1995 r. Adam Michnik, autorytet środowisk uznających się samozwańczo za „postępowe", dokonał niezwykłej wolty umysłowej. Uznał bowiem, że tzw. Marzec 1968 r. był „drugim Katyniem"! To, co znamy jako rozgrywkę między różnymi frakcjami w partii komunistycznej, rządzącej Polską z nadania Sowietów, ma być czymś zupełnie innym! Zbrodnia katyńska jest bowiem synonimem eksterminacji polskich elit, dokonanej przez sowieckich okupantów na początku drugiej wojny światowej. Wtedy to sowieccy okupanci zamordowali (głównie strzałami w tył głowy) ok. 22 tys. oficerów, policjantów, funkcjonariuszy KOP, działaczy politycznych. Należy pamiętać, że korpus oficerski WP składał się w dwóch trzecich z oficerów rezerwy, którzy w cywilu byli lekarzami, prawnikami, nauczycielami, inżynierami, naukowcami, czyli elitą narodową. Ich wymordowanie pozwalało na łatwiejsze zniewolenie reszty. Pozbawieni ówczesnej elity, przez dziesięciolecia nie byliśmy w stanie tej masakry nadrobić.

W Marcu 1968 r. nie było ofiar śmiertelnych i porównywanie słusznych demonstracji studenckich do wcześniejszej eksterminacji elity jest podłością. Jeśli sami o pamięć nie dbamy, to odbierają nam ją inni, realizując swe interesy. Nie nasze. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Tymczasowy Naczelnik Państwa

SŁAWOMIR KOPER

Internowanie w Magdeburgu przyniosło Piłsudskiemu ogromny kapitał polityczny. Cztery lata wcześniej przed jego strzelcami zamykano drzwi i okna, teraz stał się najważniejszą postacią w kraju, politykiem, z którym wiązano ogromne nadzieje. Internowanie usunęło zarzut współpracy z Niemcami; stał się ofiarą prześladowań i symbolem walki z okupantem. Umiejętna akcja propagandowa kreowała go na wodza narodu w odpowiedniej chwili. Ani wcześniej ani później Piłsudski nie był tak popularny, a w obliczu klęsk na frontach ponoszonych przez państwa centralne Komendant wydawał się jedynym człowiekiem mogącym przejąć władzę w Polsce. Nie był to wyłącznie głos opinii publicznej – podobne zdanie wygłaszali politycy, od skrajnej prawicy po socjalistów.

Po powrocie z Magdeburga Rada Regencyjna przekazała mu swoje uprawnienia i dokonała samorozwiązania. Rząd lubelski Ignacego Daszyńskiego oddał się do dyspozycji Komendanta – Piłsudski wydawał się jedynym człowiekiem zdolnym do opanowania sytuacji. W krótkim czasie w jego rękach znalazła się władza, jakiej nikt w Polsce nie posiadał od czasów Jagiellonów.

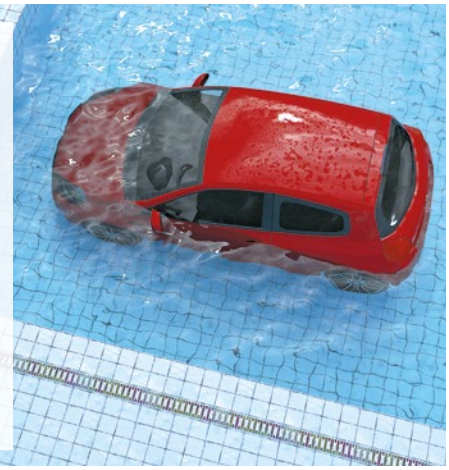
Na wstępie unormował sprawę rządu Daszyńskiego. Uznał gabinet za zbyt lewicowy i radykalny jak na potrzeby chwili, wobec czego nowym premierem został socjalista Jędrzej Moraczewski. 22 listopada 1918 r. ukazał się podpisany przez Piłsudskiego i Moraczewskiego Dekret o najwyższej władzy reprezentacyjnej Republiki Polskiej. Piłsudskiemu (do czasu zwołania Sejmu Ustawodawczego) powierzono władzę w kraju jako Tymczasowemu Naczelnikowi Państwa. Jego dekrety wymagały wprawdzie kontrasygnaty odpowiedniego ministra, ale w sytuacji, gdy członkowie gabinetu byli przez niego powoływani i przed nim odpowiedzialni, miało to znaczenie wyłącznie formalne.

Naczelnik ostudził też ambicje polityczne podwładnych z Polskiej Organizacji Wojskowej. Najbardziej ucierpiał Edward Śmigły-Rydz, minister spraw wojskowych w rządzie lubelskim. Komendant podobno powiedział do niego, że powinien „kury szczać prowadzać, a nie politykę robić". Nie uznał również jego generalskiego awansu (z nominacji rządu lubelskiego) i nadal tytułował go pułkownikiem. Zdezorientowany Śmigły przez kilka tygodni nie posługiwał się żadnym stopniem, czekając na aprobatę przełożonego. Piłsudski miał trzeźwe spojrzenie na zdolności podwładnego, którego uważał za świetnego wojskowego, ale przez następne 17 lat (aż do swojej śmierci) trzymał z dala od polityki. I jak zwykle w sprawach personalnych miał rację… ©℗

eprasa.pl c1e5dafed4

SAMOCHÓD W BASENIE

Leopoldo Oblitas, emerytowany urzędnik bankowy z Limy, został pozbawiony prawa jazdy. Przyczyną decyzji było zaparkowanie auta w... basenie. Otóż zatrzymał swego wysłużonego Chryslera na jednej z ulic peruwiańskiej stolicy, lecz zapomniał zaciągnąć ręczny hamulec. W rezultacie pojazd, tocząc się z pochyłej jezdni, nabrał rozpędu, staranował płot okalający prywatną rezydencję, po czym wylądował w ogrodowym basenie. Ponieważ 81-letni właściciel wozu był w ostatnim czasie wielokroć karany mandatami za stłuczki, jazdę pod prąd oraz parkowanie w miejscach niedozwolonych, tym razem definitywnie odebrano mu dokument uprawniający do siadania za kierownicą.



FOT. ADOBE STOCK

ROZTARGNIONY

Kanadyjczyk Jimmy O'Donnel gubił już nakrycia głowy, rękawiczki, parasole, portfele, teczki, klucze... Mylił adresy, pociągi i autobusy. Ostatnio wychodząc z biura w Vancouver, gdzie pracuje, zamienił płaszcze. Zamiast swego brązowego prochowca założył granatowy trencz kolegi, wiszący w szafie po sąsiedzku. Jego właściciel, zorientowawszy się po kilku godzinach w sytuacji, zatelefonował do O'Donnela, informując o odzieżowej roszadzie. Ten wyraził zdziwienie, następnie podziękował za wiadomość, lecz na pytanie, kiedy mogą ponownie zamienić się okryciami, po chwili wahania odrzekł, że nie wie, ponieważ gdzieś płaszcz zostawił, lecz nie może sobie przypomnieć miejsca. Z uwagi na niską szkodliwość społeczną czynu miejscowa policja odmówiła wszczęcia poszukiwań zaginionej garderoby.

PODIUM PSYCHOLOGICZNE

Ogłoszono wyróżniające się oryginalnością zagadnieniową prace studentów psychologii z uczelni Stanów Zjednoczonych, powstałe w minionym roku akademickim. Spośród 76 dysertacji wskazanych przez kadry pedagogiczne 24 amerykańskich placówek edukacyjnych największą popularność w głosowaniu internetowym zyskały: „Wybrane aspekty kulturowe dziejów melancholii", „Trema u jąkających się" oraz – miejsce pierwsze – „Analiza przypadków nieszkodliwości hazardu w automatach do gry".

KLIPS ZAMIAST KEKSA

Gospodyni domowa z Lucerny, Marie-Therese Wegehaupt, lubi domowe wypieki. Rodzina kobiety systematycznie z apetytem zajada jej babki, torty czy pierniki... Przygotowując niedawno keks, Szwajcarka otworzyła torebkę z mąką, aby przesypać ją do swego pojemnika kuchennego. W trakcie czynności zauważyła w papierowym opakowaniu lśniący przedmiot. Okazał się nim klips. Producent mąki usiłuje ustalić jego pochodzenie. ©℗ ***(TO-RT)***



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

GTA VI rozbił bank

Ubiegły tydzień przyniósł trzy bardzo ważne wydarzenia. Historyczny szczyt przywódców USA, Chin i Rosji w Shenzhen (nazywany przez część ekspertów Jałtą 2.0), wart miliardy dolarów debiut spółki Anthropic na Wall Street oraz premierę gry Grand Theft Auto VI.

Tylko jedno z powyższych wydarzeń było wyczekiwane od wielu lat przez mieszkańców niemal całego globu. Poseł Konfederacji Witold Tumanowicz już w listopadzie zeszłego roku półżartem, półserio krytykował z sejmowej mównicy decyzję studia Rockstar Games o przesunięciu premiery. Wreszcie gdy 19 listopada 2026 r. miliony na świecie mogły zobaczyć, jak wygląda najnowsza wersja ich wymarzonego wirtualnego świata w stanie Leonida, przedstawiciele realnego biznesu i medycyny zaobserwowali zjawisko określane „grypą GTA". Otóż tylko w USA aż jedna trzecia pracowników z pokolenia Z zamierzała wziąć w dniu premiery wolne (a jeśli nie mieli już urlopu, to planowali „niespodziewanie" zachorować). Podobne zjawisko obserwowano również w Wielkiej Brytanii, Izraelu oraz wielu innych krajach.

Nad fenomenem serii Grand Theft Auto, której pierwsza odsłona debiutowała w roku 1997, pochylają się socjolodzy i publicyści. Tymczasem twórcy gry – która do historii przejdzie obok takich tytułów jak Tetris, Minecraft czy Mario – przychody w miliardach dolarów liczyli jeszcze przed premierą. Do 16 listopada gracze złożyli bowiem kilkanaście milionów zamówień, a według PlayStation GTA VI stało się najlepiej sprzedającą się grą w przedsprzedaży w historii. To ważny rekord, bo ustanowiony głównie przez ludzi. A nie przez AI. ©℗

eprasa.pl c1e5dafed4



FOT. ACTION PRESS/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

eprasa.pl c1e5dafed4



Z Alice Weidel, współprzewodniczącą partii Alternatywa dla Niemiec (AfD)
rozmawia Ryszard Czarnecki

Podwójne standardy Brukseli są aż nadto widoczne

RYSZARD CZARNECKI: Byłem na pani publicznym wystąpieniu w Parlamencie Europejskim w Strasburgu. Sala była pełna, ludzie stali wzdłuż ścian. Obecni byli przedstawiciele całej podzielonej prawicy, ze wszystkich trzech grup politycznych, nie tylko z pani frakcji „suwerenistów". Czy postrzega to pani jako ciekawość ze strony polityków innych partii, czy raczej jako gotowość do ewentualnej współpracy?

ALICE WEIDEL: Ciekawość jest pierwszym krokiem do odkrycia wspólnych celów i nawiązania współpracy. Nadchodzące wybory do Parlamentu Europejskiego w 2029 r. stanowią wielką szansę na uzyskanie większości przez siły konserwatywne i prawicowe, aby gruntownie zreformować Unię Europejską i przekształcić ją w związek niezależnych państw, które zachowują pełną suwerenność w sprawach wewnętrznych i współpracują tam, gdzie ich interesy narodowe są zbieżne, a współpraca jest korzystna dla wszystkich stron. Na przykład w zakresie bezpieczeństwa, handlu, badań naukowych i ochrony wspólnych zasobów naturalnych. Do tego dążymy i w tym celu szukamy wspólnej płaszczyzny porozumienia ze wszystkimi siłami, które podzielają tę wizję i chcą w jej realizacji współpracować.

Wasze hasło „Germany First" jest kopią hasła „America First". Czy warto brać przykład z prezydenta Trumpa, skoro ci, którzy uważali go za wzór do naśladowania, przegrali wybory w Kanadzie, Australii, Danii, na Węgrzech, a ostatnio także w Brazylii, Serbii i Izraelu? Czy nie jest to ostrzeżenie, że prawica na Zachodzie, a zwłaszcza w Europie, zbyt mocno „skleja się" z republikańskim prezydentem?

To, że wybrani przedstawiciele powinni na pierwszym miejscu stawiać interesy narodu, który ich wybrał, jest podstawowym przekonaniem polityki demokratycznej i patriotycznej. Donald Trump nie wymyślił tego przekonania, choć bez wątpienia zasługuje na uznanie za to, że uwrażliwił społeczeństwo na tę kwestię. Proste kopiowanie nie jest receptą na sukces i nie o to nam chodzi. Donald Trump postąpił słusznie w wielu kwestiach, zwłaszcza w polityce migracyjnej; jego wielkim błędem było złamanie kluczowej obietnicy wyborczej, a mianowicie, że nie rozpocznie nowych wojen. Za to oraz za wynikające z tego wysokie koszty utrzymania wyborcy go ukarali. Wszyscy możemy wyciągnąć z tego wniosek, że nie należy łamać obietnic złożonych narodowi.

Unia Europejska ma największy deficyt budżetowy w swojej historii i znajduje się w niezwykle trudnej sytuacji finansowej. Wiele krajów opowiada się za zmniejszeniem budżetu UE na lata 2028–2034 nawet o 10 proc. Jakie jest stanowisko pani partii w tej sprawie? I co można zrobić, aby Unia nie popadła w coraz większą budżetową „czarną dziurę"?

Unia w beznadziejny sposób utknęła w ślepym zaułku biurokracji, centralizmu, ideologicznego paternalizmu i nadmiernych obciążeń finansowych. Nienasycony apetyt Komisji Europejskiej na pieniądze, mający na celu zaspokojenie jej centralistycznego aparatu i ambicji o światowej potędze, dzieli narody europejskie. Cięcia w budżecie UE byłyby ważnym pierwszym krokiem w kierunku odwrócenia tej sytuacji. Nie wystarczy jednak od czasu do czasu dokręcić tę czy inną śrubę. Strukturalne nieprawidłowości Unii Europejskiej i eurolandu są zbyt duże. Naszym celem jest renegocjowanie traktatów europejskich, aby gruntownie przeorganizować współpracę europejską i ponownie przekształcić coraz bardziej scentralizowaną UE w Europę suwerennych narodów.

Jak ocenia pani przewodnicząca obecny stan stosunków polsko-niemieckich? Czy AfD postrzega Polskę przede wszystkim jako partnera w obronie suwerenności państw narodowych, czy raczej jako konkurenta gospodarczego i politycznego?

Polska jest pod względem gospodarczym i geograficznym kluczowym krajem europejskim, a także naszym wschodnim sąsiadem, z którym Niemcy łączą historyczne i kulturowe więzi. Polska jest nieodzowna, aby ponownie oprzeć europejską wspólnotę państw na solidnych fundamentach sojuszu suwerennych narodów. A jeśli chodzi o konkurencję gospodarczą, to jest ona motorem dobrobytu i rozwoju w Europie, pod warunkiem że nie zostanie zniekształcona i zdławiona przez brukselski centralizm, biurokrację i ideologiczną gospodarkę planową.

W Polsce wielu z nas podnosi kwestię reparacji wojennych od Berlina i nierozliczonych wciąż historycznych niesprawiedliwości z waszej strony. Czy uważa pani, że Niemcy powinny zamknąć ten temat poprzez podjęcie konkretnych decyzji, czy też dla pani partii sprawa ta jest już zamknięta?

Również w Niemczech wiele osób pamięta historyczne cierpienia i nierówności, z którymi nie uporała się jeszcze historia. Zamiast rozdzierać stare rany

eprasa.pl c1e5dafed4

po obu stronach, w obliczu ogromnych wyzwań naszych czasów powinniśmy raczej szukać tego, co nas łączy, oraz identyfikować i realizować wspólne interesy.

Tu nie ma symetrii i tu nie będzie zgody. Kontynuujmy jednak temat naszych relacji: w ostatnich dwóch latach doszło do napięć na granicy niemiecko-polskiej. Dotyczyły one m.in. kwestii migracyjnych i skutecznej kontroli granicznej. Jak AfD zamierza kształtować współpracę z Polską w zakresie ochrony zewnętrznych granic UE?

Niemcy rządzone przez AfD dokonałyby rzeczywistego zwrotu w polityce migracyjnej, aby konsekwentnie zapobiegać nielegalnej imigracji, nie wpuszczać nielegalnych imigrantów do kraju już na samym początku, a także nie przyciągać ich nieuzasadnionymi, wysokimi świadczeniami socjalnymi oraz nadmiernie hojną polityką w zakresie pobytu i naturalizacji. Te „magnesy migracyjne" związane z państwem opiekuńczym, które dotychczasowe rządy niemieckie uruchomiły i stale wzmacniały, zwłaszcza od czasu otwarcia granic przez Angelę Merkel w 2015 r., stanowią nie tylko ogromną szkodę dla naszego własnego kraju, lecz także poważne obciążenie dla wszystkich krajów europejskich, które cierpią z powodu nasilonej w ten sposób fali migracyjnej. Rząd AfD zlikwiduje te czynniki przyciągające migrantów, zmniejszając tym samym presję migracyjną na inne państwa UE. Będzie również dążył do współpracy z innymi krajami Unii, a zwłaszcza z naszym sąsiadem – Polską, aby we wspólnym interesie skutecznie chronić zewnętrzne granice UE oraz umożliwić i zabezpieczyć pod względem prawnym konsekwentne odsyłanie wszystkich osób nielegalnie przekraczających granicę.

AfD krytykuje federalizację UE i mówi o „Europie ojczyzn". Co to konkretnie oznacza? Czy opowiadają się państwo np. za prawem weta państw członkowskich w kluczowych kwestiach? A może dostrzegają państwo możliwość pogłębionej współpracy w wybranych obszarach, takich jak bezpieczeństwo czy energia?

W wielu dziedzinach współpraca europejska jest korzystna i konieczna. Obejmuje to rynek wewnętrzny wolny od ograniczeń i regulacji hamujących rozwój gospodarczy, nieustanną ochronę zewnętrznych granic UE, zachowanie europejskiego dziedzictwa przyrodniczego, strategiczną autonomię poprzez współpracę w zakresie rozwoju europejskiego przemysłu zbrojeniowego i technologii obronnych bez jednostronnej zależności od mocarstw pozaeuropejskich, a także współpracę w dziedzinie badań naukowych i technologii oraz, co nie mniej ważne, zachowanie chrześcijańsko-zachodniego dziedzictwa, na którym opiera się tożsamość naszego kontynentu w jego niepowtarzalnej różnorodności duchowej i kulturowej. Natomiast podatki i polityka społeczna, ostateczne decyzje w sprawie obrony własnych granic, wojsko i finanse publiczne muszą pozostać pod demokratyczną kontrolą państw narodowych. Aby jasno wyznaczyć granice, za odpowiedni środek uważamy instrument nieuczestniczenia, suwerenne „opt-out": tam, gdzie Unia Europejska wykracza poza swoje podstawowe zadania i bez uzasadnienia ingeruje w kompetencje krajów członkowskich, nie tworząc przy tym wymiernej wspólnej wartości dodanej, państwa muszą mieć prawo do nieuczestniczenia.

Bez Polski nie uda się zreformować Unii Europejskiej tak, aby z biurokratycznego i nadmiernie ingerującego potwora ponownie stała się ona związkiem wolnych, suwerennych narodów, opartym na zasadach demokracji i konkurencji rynkowej

Jak ocenia pani politykę Komisji Europejskiej wobec Polski w latach 2016–2023, zwłaszcza w kontekście „praworządności" i funduszy unijnych? Czy dostrzega pani w działaniach Brukseli podwójne standardy?

Podwójne standardy Brukseli są aż nadto widoczne: kto podporządkowuje się ideologicznej agendzie brukselskiej biurokracji, ten jest nagradzany politycznie i finansowo kosztem wszystkich i może bezkarnie dopuszczać się rażących naruszeń prawa oraz autorytarnych nadużyć; kto natomiast stawia opór i broni suwerenności narodowej, ten pod fałszywymi pretekstami jest karany i poddawany sankcjom nawet za błahostki. Fakt, że Bruksela ingeruje nawet w demokratyczne wybory w państwach członkowskich, aby wymusić pożądane ideologicznie wyniki, jest głównym powodem, dla którego uważamy, że pilnie potrzebna jest gruntowna reforma UE.

Czy AfD jest gotowa do współpracy z polskimi partiami konserwatywnymi – zarówno w Parlamencie Europejskim, jak i poza nim – w celu ograniczenia kompetencji Brukseli? Czy też nadrzędny priorytet „Germany First" wyklucza taką potencjalną współpracę lub ją ogranicza?

Jesteśmy nie tylko gotowi do tego, lecz także na to liczymy, ponieważ bez Polski jako kluczowego kraju europejskiego nie uda się zreformować UE w taki sposób, aby z biurokratycznego i nadmiernie ingerującego potwora ponownie stała się ona związkiem wolnych, suwerennych narodów, opartym na zasadach demokracji i konkurencji rynkowej. Każdy niemiecki polityk i patriota, który nadaje najwyższy priorytet interesom własnego narodu, jako demokrata oczywiście akceptuje również to, że polski polityk i patriota postępuje tak samo. Decydujące znaczenie ma dążenie do wspólnych interesów jako równorzędnych partnerów oraz godzenie rozbieżnych interesów na równych zasadach, bez paternalistycznego traktowania ze strony pozbawionej demokratycznej legitymacji wyborczej i ideologicznie jednostronnej stronniczej biurokratycznej władzy centralnej UE.

Polska przez lata była krajem, który konsekwentnie odmawiał przyjmowania „gości" z Afryki lub Azji w ramach tzw. redystrybucji migrantów. Czy uważa pani, że model ten powinien stać się standardem w całej UE, czy też Niemcy, ze względu na swoją sytuację demograficzną i gospodarczą, potrzebują innego podejścia?

To musi być wyłącznie suwerenna decyzja każdego demokratycznego państwa narodowego w Europie: czy, jakich i ilu migrantów dane państwo może i powinno przyjąć. Polska bez wątpienia postąpiła słusznie, sprzeciwiając się wszelkim narzuconym z góry programom redys-

eprasa.pl c1e5dafed4

trybucji i przymusowemu przyjmowaniu imigrantów spoza Europy. Masowa migracja nie rozwiązuje ani problemów demograficznych, ani problemów na rynku pracy. Dlatego też sprzeciwiamy się nielegalnej migracji oraz ogólnoeuropejskiej redystrybucji migrantów w Niemczech. System, w którym scentralizowana brukselska biurokracja wymusza przyjmowanie migrantów zgodnie z kwotami, a nieprzyjmowanie ich podlega sankcjom, odrzucamy z zasady jako antydemokratyczną ingerencję w podstawowe prawa suwerenności narodowej.

Jakie stanowisko zajmuje AfD w sprawie współpracy państw Europy Środkowej i Wschodniej w zakresie ochrony granic i zwalczania nielegalnej migracji? Czy postrzegają państwo kraje takie jak Polska, Węgry, Słowacja i Czechy jako naturalnych sojuszników?

Z naszego punktu widzenia to, że kraje Grupy Wyszehradzkiej zasadniczo opowiadają się za jasną i restrykcyjną linią postępowania w zakresie skutecznej ochrony swoich granic, przyjmowania migrantów spoza Europy oraz zwalczania nielegalnej migracji, jest godne pochwały i leży w interesie Europy. Dalsze umacnianie tej linii polityki migracyjnej przyniosłoby korzyści całej Europie. Rząd AfD będzie dążył do ścisłej współpracy z Polską, Węgrami, Czechami i Słowacją, aby wspólnie doprowadzić do zwrotu w europejskiej polityce migracyjnej.

Jakie jest obecnie, w kontekście wojny w Europie Wschodniej, oficjalne stanowisko AfD w sprawie pomocy wojskowej dla kraju tak pogrążonego w korupcji jak Ukraina?

Od momentu objęcia urzędu przez Donalda Trumpa USA najwyraźniej straciły zainteresowanie kontynuowaniem wojny zastępczej przeciwko Rosji na Ukrainie. Od tego czasu UE, a zwłaszcza Niemcy, praktycznie samotnie odgrywają rolę darczyńców Ukrainy. Osiągnięto granicę wytrzymałości. Pomoc finansowa i wojskowa nie może płynąć bez ograniczeń i bez określonego terminu. Znaczna część tych środków najwyraźniej przepadła w niejasny sposób. Zanim do Kijowa trafi choćby jedno kolejne euro, prezydent Ukrainy musi ujawnić, gdzie trafiła dotychczasowa pomoc finansowa i wojskowa. Niekończące się finansowanie wojny, której wynik najwyraźniej nie może zostać rozstrzygnięty na polu bitwy przez żadną ze stron i w której rok po roku giną setki tysięcy ludzi po obu stronach, nie leży ani w interesie Niemiec, ani Europy – i nie może również leżeć w interesie narodu ukraińskiego. Nadszedł czas, aby zakończyć wojnę drogą dyplomatyczną i wesprzeć wysiłki rządu USA zmierzające w tym kierunku, zamiast udaremniać je coraz to nowymi czekami in blanco dla Kijowa.

Ekosocjalistyczna gospodarka planowa Green Deal brukselskich ideologów, poświęcająca dobrobyt Europejczyków, aby przeznaczyć miliardy na absurdalne projekty, jest główną przyczyną tego, że nasza gospodarka traci swoją międzynarodową konkurencyjność

Czy dostrzega pani niebezpieczeństwo, że zbyt duża zależność Niemiec od Stanów Zjednoczonych i NATO ogranicza niemiecką suwerenność?

W odniesieniu do stosunków transatlantyckich kierujemy się tą samą zasadą, co w przypadku reformy Unii Europejskiej: współpraca wszędzie tam, gdzie przynosi to obopólne korzyści, oraz suwerenne podążanie własną drogą tam, gdzie interesy krajowe i europejskie wymagają innych decyzji. Realistycznie rzecz biorąc, narody Europy w dającej się przewidzieć przyszłości nie będą w stanie w ogóle zrezygnować ze współpracy z USA w zakresie polityki bezpieczeństwa w ramach NATO. Aby współpraca ta funkcjonowała jako partnerstwo na równych prawach, Europejczycy muszą, dzięki swojej strategicznej współpracy, stać się na tyle silni, by móc w ramach tego partnerstwa skutecznie bronić swoich interesów.

Wróćmy do hasła „Germany First". Czy pani zdaniem europejska prawica powinna opracować własną narrację, niezależną od amerykańskich republikanów, czy też współpraca z administracją Trumpa nie daje możliwości odrębnego głosu?

Kto bezkrytycznie naśladuje innych, sam nie jest suwerenny. Oczywiście narody europejskie mają swoje własne wartości, tradycje i interesy, które my, jako siły patriotyczne, musimy samodzielnie formułować i eksponować. Jednocześnie z administracją USA i amerykańskimi republikanami łączy nas wiele wspólnych przekonań i celów np. w zakresie restrykcyjnej polityki migracyjnej, ochrony swobód obywatelskich oraz obrony wolności słowa przed cenzurą i nadużyciami ze strony centralistycznej biurokracji. Powinniśmy zdecydowanie i z pewnością siebie wykorzystać sprzyjającą koniunkturę oraz pole manewru wynikające z tych podobieństw.

Co pani zdaniem stanowi największe zagrożenie dla Europy w nadchodzącej dekadzie: migracja, kryzys demograficzny, Zielony Ład czy utrata konkurencyjności wobec innych kontynentów?

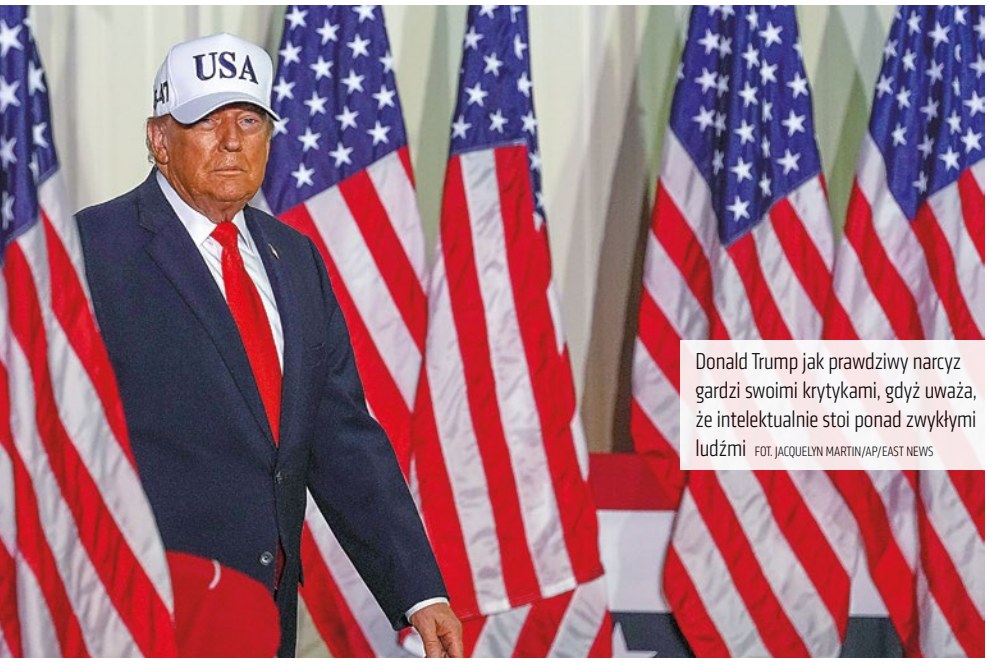
Te problemy są ze sobą ściśle powiązane. Masowa migracja pogłębia kryzys demograficzny, zamiast go rozwiązywać, a ekosocjalistyczna gospodarka planowa Green Deal brukselskich ideologów, która poświęca dobrobyt Europejczyków i wydajność ich przemysłu, aby przeznaczyć miliardy na absurdalne projekty, takie jak „transformacja energetyczna", „neutralność klimatyczna" czy „zakaz silników spalinowych", jest główną przyczyną tego, że nasza gospodarka dusi się w gąszczu regulacji i traci swoją międzynarodową konkurencyjność. Właśnie te zagrożenia pokazują, że pilnie potrzebna jest gruntowna reforma Unii Europejskiej.

Gdyby AfD miała rzeczywisty wpływ na niemiecką politykę zagraniczną, jakie trzy konkretne zmiany w stosunkach z Polską wprowadziłaby pani jako kanclerz w pierwszej kolejności?

Zamiast rozpowszechniać unijne frazesy, moralne banały i aroganckie pouczenia, rząd kierowany przez AfD podjąłby dialog z rządem polskim, aby wspólnie szukać rozwiązań dla pilnych kwestii dotyczących obu naszych krajów: kryzysu migracyjnego, zakończenia wojny na Ukrainie oraz reformy UE w oparciu o suwerenność narodową, samostanowienie i współpracę partnerską.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c1e5dafed4



Donald Trump jak prawdziwy narcyz gardzi swoimi krytykami, gdyż uważa, że intelektualnie stoi ponad zwykłymi ludźmi FOT. JACQUELYN MARTIN/AP/EAST NEWS

Trump, ślepy zaułek narcyzmu wielkościowego



Adam Wielomski

Nie jestem psychologiem, ale sam od dawna dostrzegałem u Donalda Trumpa cechy kojarzące mi się z tzw. narcyzmem wielkościowym. Teraz widzę, że to nie jest tylko moja odosobniona opinia. Dlatego zadając sobie pytanie, co teraz zrobi ten polityk, nie mogąc tego przewidzieć na podstawie samej tylko analizy racjonalnej, trzeba sięgnąć po model zachowania charakterystyczny dla narcyza wielkościowego

Po druzgocącej porażce wyborczej republikanów w wyborach do Kongresu wszyscy pytają, co zrobi teraz Donald Trump. I oczywiście nikt tego nie wie, być może także amerykański prezydent. Tak jak już o tym mówiłem i pisałem bezpośrednio po wyborach do Kongresu, teoretycznie ma trzy możliwości: po pierwsze, uznać swoją klęskę, podać się do dymisji i pozwolić wykazać się J.D. Vance'owi, aby dać mu szansę na wygraną w kolejnych wyborach prezydenckich; po drugie, pogodzić się z klęską swoją i republikanów, aby poświęcić się załatwianiu spraw biznesowych swojej całkiem licznej familii, kontynuując swoją linię polityczną; po trzecie, zrzucić winę na współpracowników, wymienić ich i powrócić do „ustawień fabrycznych" ruchu MAGA. Pośród rozmaitych snutych scenariuszy i przypuszczeń postaram się zarysować własny, biorąc pod uwagę kilka czynników: elektorat, osobowość Trumpa i potencjał USA.

STRUKTURA TRUMPISTYCZNEGO ELEKTORATU

Obserwacje zachowań wyborczych wskazują, że klęska republikanów w ostatnich wyborach wynikła z niezadowolenia wyborców polityką Trumpa. Część wyborców pozostała w domach, a najbardziej zirytowani – mocno wbrew sobie – oddali głos na demokratów, aby „ukarać" prezydenta za jego politykę. Zadajmy sobie zatem pytanie: Co to za elektorat i co go tak rozczarowało?

W polityce wewnętrznej trumpiści oczekiwali „osuszenia bagna" i walki z „głębokim państwem". Tutaj Trump wiele nie zdziałał i osobiście nie jestem tym zdziwiony. Reprezentuje tę samą elitą co ci jej członkowie, którzy bawili się na wyspie Epsteina. Jest skłócony z większością tej elity, lecz stanowi jej część. Stąd jego działania skończyły się na werbalnej krytyce elity waszyngtońskiej, podobnie jak walka Jarosława Kaczyńskiego z „układem", którego sam był częścią. Nie przesadzałbym z twierdzeniami, że styl Trumpa był przyczyną jego porażki. Jego zachowania są często kontrowersyjne i niepasujące do poważnego polityka, lecz jego antyestablishmentowym wyborcom to właśnie najbardziej się podobało. Szukając analogii do polskiej sytuacji, podobnie było z zarzutami wobec Lecha Kaczyńskiego, że komuś niegrzecznemu powiedział „S....., dziadu!". Nie podoba się to „warszawce" czy „waszyngtonówce" i liberalnym mediom, lecz podoba się zwykłym ludziom. Nawet wypowiedzi Trumpa zawierające podteksty seksualne traktowane są przez Amerykanów jako element łamania standardów politycz-

eprasa.pl c1e5dafed4

nej poprawności. Wypowiedzi te, dla liberalnej elitki skandaliczne, dla ludzi są sygnałem, że rządzi nimi „zdrowy facet", mający normalne myśli i skojarzenia.

Decydująca była polityka zagraniczna, gdzie trumpiści do pewnego momentu tworzyli zwarty blok. Ruch MAGA charakteryzuje silny izolacjonizm, czyli niechęć do odgrywania przez Stany Zjednoczone roli „światowego żandarma". Przeciętny Amerykanin ma po dziurki w nosie kolejnych amerykańskich wojen, interwencji zbrojnych, „misji pokojowych" i „stref zakazu lotów" przekształcających się w ustawiczne bombardowania połowy świata. Straty ludzkie w tych kampaniach może nie są duże, ale media chętnie je eksponują. Są jednak koszty. Na te wszystkie wojny ustawicznie musi łożyć przeciętny amerykański podatnik i zadaje sobie pytanie, co ma z wygranej wojny w Libii, w Iraku czy ewentualnego odparcia przez Ukrainę rosyjskiego ataku za amerykańskie pieniądze. Odpowiedź jest prosta i udzieli jej każdy marksista, akurat w tym przypadku mając rację: wojny finansuje przeciętny Amerykanin, ginie w nich przeciętny Amerykanin, a krociowe zyski zbierają międzynarodowe korporacje, wielkie banki i wielcy inwestorzy na Wall Street. Dlatego Amerykanie mają tych imperialnych i neokolonialnych wojen dosyć! Dosyć i już!

Do pewnego momentu Trump realizował tę izolacjonistyczną linię, o czym świadczy jego szczere zaangażowanie w osiągnięcie pokoju na Ukrainie. Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że był jedynym światowym przywódcą zaangażowanym w tę sprawę, podczas gdy Rosja, Ukraina i wspierająca tę ostatnią Europa Zachodnia domagają się zdecydowanego rozstrzygnięcia na polu bitwy i załamania się jednej ze stron, będąc przekonane, że najpierw załamanie się ta druga. W konflikcie izraelsko-palestyńskim Trump, popierając Państwo Izrael, ograniczał się do wysyłania broni i udzielania poparcia politycznego, nie angażując amerykańskich żołnierzy. Polityka ta cieszyła się olbrzymim poparciem pośród tzw. chrześcijańskich syjonistów, czyli radykalnej prawicy protestanckiej o charakterze apokaliptycznym, która zawsze i wszędzie popierała Państwo Izrael. Jest to gigantyczna grupa wyborców, prowadzona przez radykalnych pastorów, której liczebność ocenia się na 60–70 mln osób, czyli nawet jedną piątą ogółu Amerykanów. Druga część elektoratu Trumpa, skupiona wokół ruchu MAGA, sceptycznie patrzyła na poparcie dla Państwa Izrael, lecz jakoś to tolerowała, obawiając się chyba zarzutów o antysemityzm.

PYRRUSOWE ZWYCIĘSTWO

Pierwszym ostrzeżeniem był styczeń 2026 r. i widowiskowy atak na Wenezuelę, zakończony porwaniem Nicolása Maduro, uzasadniany słabymi zarzutami amerykańskiej prokuratury, z których ta potem w większości się wycofała. Trump był najprawdopodobniej przekonany, że taka quasipolicyjna i chirurgiczna akcja wyniesie jego popularność na szczyty. Zawiódł się. Większość Amerykanów była zdegustowana, pomimo ogłoszonego triumfu. Dla wyborców Trumpa było to skojarzenie z najgorszymi czasami rządów neokonserwatystów za George'a Busha, gdy amerykańscy komandosi ciągle kogoś atakowali z powodów całkowicie obcych Amerykanom. Trump nie zrozumiał tej reakcji, gdyż w tym momencie odezwały się u niego zachowania charakterystyczne dla psychiki narcyza wielkościowego, który już raz doznał wojennej chwały, ogrzał się w jej blasku i zapragnął jeszcze większej. Cechy narcystyczne pchnęły go do awantury w postaci zaangażowania się w klasyczną wojnę napastniczą przeciwko Iranowi, pomimo ostrzeżeń amerykańskich generałów. Ci wiedzieli, że za pomocą rakiet precyzyjnych w pierwszych dniach konfliktu zbrojnego będzie można wyeliminować wielu prominentnych przedstawicieli irańskiej elity władzy i zadać przeciwnikowi duże straty w ludziach i infrastrukturze. Jednak generałowie wiedzieli, że jeśli nie spowoduje to upadku irańskiego systemu władzy, to nie mają planu „B". To znaczy plan „B" istnieje: operacja lądowa w górzystym terenie Wyżyny Irańskiej, gdzie z samego ukształtowania powierzchni wynika trudność wykorzystania przewagi pancernej. Inna sprawa, że przebieg wojny ukraińsko-rosyjskiej wskazywał, że przy dzisiejszym masowym zastosowaniu dronów tych kolumn pancernych i tak nie sposób użyć na polu bitwy, co oznacza długie, może nawet wieloletnie zmagania na piechotę w niedostępnych górach z milionową armią Persów.

Cechy narcystyczne Trumpa pchnęły go do zaangażowania się w klasyczną wojnę napastniczą przeciwko Iranowi

Nie mając planu „B" Trump uparł się, aby tę wojnę zacząć, wspomagany w tej decyzji przez Beniamina Netanjahu, który uciekał w wojnę przed trzema procesami o korupcję, przez środowiska syjonistyczne i swoją własną rodzinę i krąg towarzyski, wyjątkowo blisko personalnie i biznesowo w te środowiska zaangażowane. Plan „A" w postaci zdziesiątkowania elity irańskiej i wywołania spontanicznej rewolucji się nie udał, a planu „B" nie było. Wojna z Iranem w imię interesów Państwa Izrael wywołała entuzjazm pośród chrześcijańskich syjonistów, lecz dla patriotycznych i izolacjonistycznych wyborców MAGA była nie do przyjęcia. To oni w ostatnich wyborach do Kongresu pozostali w domach i z powodu ich absencji demokraci odnieśli miażdżące zwycięstwo. W Internecie można znaleźć filmiki, na których ekszwolennicy Trumpa przerabiają na czapeczkach i koszulkach napis MAGA (Make America Great Again) na MIGA (Make Israel Great Again). Odejście Tuckera Carlsona czy Candace Owens to koszty wejścia na imperialne tory neokonserwatywnego interwencjonizmu wojskowego.

CECHY CHARAKTEROLOGICZNE

Gdy porażka Stanów Zjednoczonych z Iranem zaczęła rysować się przed światową opinią publiczną, Trump początkowo próbował tchórzliwie zrzucić odpowiedzialność za wywołanie tej wojny a to na Beniamina Netanjahu, a to na swojego zięcia Jareda Kushnera i jego współpracownika Steve'a Witkoffa. Potem jednak przyznał, że ostatecznie była to jego osobista decyzja, wynikła z podpowiedzi jego własnej intuicji, która nigdy dotąd go nie zawiodła. W tę odpowiedź wierzę, skoro rozpoczął tę wojnę wbrew własnej generalicji, która nie ukrywała, że nie

eprasa.pl c1e5dafed4

ma planu „B". Błędna decyzja i brak planu doprowadziły republikanów do klęski wyborczej w wyborach do Kongresu, a Trumpa na szczyt niepopularności, na co wskazują wszystkie sondaże i badania amerykańskiej opinii publicznej.

Osobiście na miejscu Donalda Trumpa ogłosiłbym, że biorąc na siebie odpowiedzialność za klęskę, podałbym się do dymisji i zacząłbym pisać pamiętniki, przekazując na podstawie konstytucji dokończenie kadencji J.D. Vance'owi. Ten mógłby odciąć się łatwo od „błędów i wypaczeń" poprzednika oraz zapowiedzieć powrót do pierwotnych ideałów ruchu MAGA. Dałoby to Vance'owi szansę na elekcję w następnych wyborach prezydenckich dzięki powrotowi wyborców MAGA, a także odzyskaniu poparcia Tuckera Carlsona i Candace Owens. Wiceprezydent słusznie zaczął się już odcinać od irańskiej awantury Trumpa w mediach społecznościowych, a właściwie czynił to już wcześniej. W odpowiedzi Trump zirytował się i ogłosił jego odsunięcie od spraw związanych z Zatoką Perską. Czyli dymisji prezydenta nie będzie. Co będzie dalej?

MANIA WIELKOŚCI

W tym miejscu analiza politologiczna miesza się z psychologiczną. W popularną wyszukiwarkę artykułów naukowych Google Scholar wpisuję dwa słowa kluczowe: „Trump" i „narcissism" (narcyzm). Wyskakuje mi nieprawdopodobna liczba 29 tys. wyników, czyli tekstów, w których algorytm znalazł równocześnie obydwa słowa. Wiele publikacji zawiera obydwa słowa bezpośrednio w tytule, czyli są poświęcone narcyzmowi tego polityka. Niestety, część z nich to typowo lewicowo-liberalne quasinaukowe ideologiczne połajanki, których autorzy chcieli powiedzieć, jak bardzo Trumpa nie lubią jako „populisty", tylko nie wiedzieć dlaczego zawarli swoje oceny w tekście naukowym zamiast w publicystycznym. Są jednak i analizy poważne, zamieszczone w znaczących czasopismach psychologicznych. Nie jestem psychologiem, ale sam od dawna dostrzegałem u Donalda Trumpa cechy kojarzące mi się z tzw. narcyzmem wielkościowym. Teraz widzę, że to nie jest tylko moja odosobniona opinia. Dlatego zadając sobie pytanie, co teraz zrobi ten polityk, nie mogąc tego przewidzieć na podstawie samej tylko analizy racjonalnej, trzeba sięgnąć po model zachowania charakterystyczny dla narcyza wielkościowego.

Narcyza wielkościowego po pierwsze cechuje wyolbrzymione poczucie własnej ważności i wyższości, co powoduje, że osoba taka przecenia swoje osiągnięcia, talenty i możliwości. Po drugie, charakteryzuje go ciągła potrzeba podziwu i uwagi, czyli szuka ustawicznego poklasku i zachwytu. Po trzecie, narcyz wielkościowy stawia się ponad zasadami powszechnymi ze względu na swoją rzekomą wielkość, co powoduje, że oczekuje specjalnego traktowania, przywilejów i automatycznego spełniania swoich oczekiwań, często bez uwzględniania potrzeb innych. Po czwarte, charakteryzują go brak empatii i instrumentalne traktowanie innych, gdyż wszyscy są dlań gorsi, co powoduje, że są postrzegani jako narzędzia do osiągania własnych celów, dominacji i podtrzymania statusu. Po piąte, narcyza cechują ciągle manifestowane arogancja, szorstkość, umniejszanie innych, skłonność do otwartych sporów, konfrontacji i agresji w wypadku napotkania krytyki, przy jednoczesnej charyzmie, gdy osiąga sukces. Nie wiem, czy Trump ma stwierdzony narcyzm i diagnozę medyczną, ale ja w tych pięciu punktach widzę go znakomicie scharakteryzowanego.

Co zatem czyni narcyz wielkościowy, gdy przegrywa, gdy jego zwolennicy negatywnie oceniają jego politykę? Psycholodzy twierdzą, że narcyz sprawujący władzę polityczną gardzi swoimi krytykami i kontynuuje dotychczasową politykę, gdyż uważa, że intelektualnie stoi ponad zwykłymi ludźmi. Ich niezadowolenie odbiera jako niezrozumienie własnego geniuszu, a krytyki nie toleruje. Krytyków i niezadowolonych postrzega jako osoby niekompetentne, zazdrosne o jego sukcesy i niewdzięczne. Utwierdza się zatem w swojej linii, zamiast dokonać jej korekty. Własne błędy i niepowodzenia obciążać mają opozycję, wrogie media, zagranicę lub głupotę jego własnych wyborców. Często towarzyszy temu prawdziwa narcystyczna furia, agresja werbalna, propaganda własnego sukcesu i otaczanie się miernymi potakiwaczami, którzy potwierdzają wyidealizowany obraz własnej wielkości. Stąd też, pomimo odrzucenia przez wyborców, trwa festiwal Trumpa odsłaniania własnych pomników, nazywania różnych obiektów własnym nazwiskiem i deklarowania, że jeśli tylko uda się jakoś ominąć konstytucyjne ograniczenie sprawowania władzy do dwóch kadencji, to bez wątpienia wygra następne wybory prezydenckie. W języku potocznym nazywa się to „odklejką" od rzeczywistości.

PROGNOZA

Obawiam się, że z przedstawionej powyżej prognozy wynika, że interwencjonistyczna polityka zagraniczna – która doprowadziła republikanów do klęski wyborczej – będzie kontynuowana, aby narcyz wielkościowy mógł udowodnić samemu sobie, że to on ma rację, a nie jego wyborcy. Będzie to jednak polityka trudniejsza, gdyż prezydent USA może bez zgody Kongresu prowadzić działania typu wojennego tylko przez 60 dni. Trump omijał ten zapis wobec Iranu, argumentując, że nie są to działania ciągłe, lecz mają przerwy. Kontynuowanie tej polityki grozi mu teraz wszczęciem impeachmentu w Kongresie zdominowanym przez demokratów, którzy domagają się zakończenia wojny, nie przedstawiając jednak, jak do tego doprowadzić. Nie ma wątpliwości, że Kongres nie zgodzi się na rozpoczęcie operacji lądowej, a przez 60 dni nie sposób na lądzie tej wojny rozstrzygnąć. Dlatego należy przypuszczać, że Trump będzie szukał łatwych sukcesów w polityce międzynarodowej w innych miejscach.

Gdzie? Po pierwsze, na Ukrainie, którą będzie w tej chwili próbował zmusić do przyjęcia rosyjskich warunków, aby móc ogłosić wielki sukces w postaci zakończenia wojny. Po drugie, nie wyciągnąwszy żadnych wniosków z przyczyn swojej porażki, amerykański prezydent może szukać łatwego militarnego sukcesu, takiego blitzkriegu 2.0 w rodzaju porwania Maduro. Osobiście typuję Kubę, której zdobycie nie powinno zająć 60 dni, a w jego efekcie będzie można przywódców kubańskich obwozić w klatkach po amerykańskich ulicach, jak uczyniono z Maduro. Tyle że kolejny raz nie spotka się to z poklaskiem dawnych zwolenników MAGA i nie przybliży Vance'a do prezydentury. Oto ślepy zaułek narcyzmu wielkościowego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c1e5dafed4



Maciej Pieczyński

Laboratorium pokoju

Wspólna rosyjsko-ukraińska akcja humanitarna w Ołeszkach pokazuje, że Moskwa i Kijów potrafią ze sobą rozmawiać. Współpraca rzeczników praw człowieka z obu stron frontu dała więcej niż jałowe dyskusje dyplomatów. A przy okazji na Ukrainie może wyrosnąć nieoczekiwany lider „partii pokoju"

W Abu Zabi przez dwa dni rozmawiali ze sobą przedstawiciele Rosji, Ukrainy i USA. Negocjowali pokój. Rezultat? Pokoju nie ma. Nie ma nawet zawieszenia broni. Jest zapowiedź dużej wymiany jeńców. Tymczasem w niewielkich Ołeszkach, okupowanym przez Rosjan mieście pod Chersoniem, osiągnięto coś, czego zawodowym negocjatorom nie udało się dokonać: uzgodniono rozejm, wcielono go w życie, dostarczono pomoc i ewakuowano cywilów.

Co więcej, 17 listopada Wołodymyr Zełenski zapowiedział, że Ukraina chce przeprowadzić podobne operacje w 10 kolejnych miejscowościach okupowanych obwodów chersońskiego i zaporoskiego. Pięć dni wcześniej Władimir Putin zaproponował powtórzenie eksperymentu w Konstantynówce. Obaj prezydenci, którzy nie potrafią uzgodnić warunków pokoju, uznali więc, że model Ołeszek warto zastosować ponownie. To chyba ciekawsze od kolejnego komunikatu, że rozmowy były „konstruktywne".

Ołeszki leżą na lewym brzegu Dniepru, naprzeciw Chersonia. Od 2022 r. miejscowość okupują Rosjanie. Mieszkańcy tkwili w humanitarnym piekle: bez żywności, lekarstw, prądu i wody. Drogi zaminowano, drony zamieniały zwykły wyjazd z domu w próbę samobójczą. Ludzie żyli w piwnicach, bez łączności. Sprawą zainteresował się papież Leon XIV, a następnie Melania Trump. Pierwsza dama USA pośredniczyła w porozumieniu podpisanym 23 października przez obie strony.

Od 27 października do późnego wieczora 1 listopada obowiązywał lokalny rozejm. Przywieziono żywność i leki, przygotowano autobusy i karetki, rozminowano drogi. A dokładniej rzecz ujmując: Rosjanie rozminowali drogi, które wcześniej sami zaminowali. Mieszkańcy mogli sami wybrać, dokąd chcą wyjechać: na Ukrainę czy do Rosji. Ukraińców, którzy wybrali powrót do ojczyzny, wieziono przez okupowany Krym do Rosji, potem wojskowymi samolotami do białoruskiego Homla, a stamtąd autobusami przez granicę.

Biały Dom mówi o blisko 800 ewakuowanych. Ile osób pojechało na Ukrainę, a ile do Rosji – nie wiadomo. Obie strony uzgodniły, że nie ujawnią dokładnego podziału. Część mieszkańców została. Nie usłyszeli o ewakuacji, nie zdążyli do autobusów. Względnie: bali się filtracji. W mieście nadal mogą przebywać setki mieszkańców. Nikt rozsądny nie ogłosi więc końca katastrofy humanitarnej. Jednak skoro przed akcją trudno było sobie wyobrazić bezpieczny wyjazd z Ołeszek, już samo jej przeprowadzenie stanowi ewenement.

Ewenementem okazał się też sposób działania organizatorów. Nie generałów czy ministrów spraw zagranicznych. Rzeczników praw człowieka: Ukrainca Dmytra Łubinca i Rosjanki Jany Łantratowej. Oboje przyjechali do Ołeszek, rozmawiali z mieszkańcami, wspólnie występowali przed kamerami. Rosyjscy i ukraińscy dziennikarze znaleźli się w tej samej miejscowości, rozmawiali ze sobą. Nawet wspólnie żartowali, choć nie bez złośliwości. Wojna się nie skończyła.

NIĆ POROZUMIENIA

Naiwnością byłoby sądzić, że akcja w Ołeszkach jest początkiem końca wojny. Najprawdopodobniej Rosjanie wykorzystali ten krótkotrwały rozejm do przegrupowania wojsk. Nie zamierzają przecież odpuszczać Ukrainy, co zresztą pokazały wspomniane już jałowe rozmowy w Abu Zabi, których konkluzja ze strony kremlowskich negocjatorów była taka, że i tak „osiągniemy nasze cele". Ale też inna sprawa, że już od dawna nie wiadomo, co dokładnie Putin uznałby za zwycięstwo. A skoro nie wiadomo, co jest ostatecznym celem „specoperacji", to wszystko może nim być. Zajęcie każdej niewielkiej miejscowości. I każde takie rozwiązanie można sprzedać jako „zwycięstwo". A Ołeszki mogą się okazać poligonem doświadczalnym przyszłego porozumienia…

Propagandowo ta osobliwa akcja humanitarna wygląda źle dla „partii wojny", a dobrze dla „partii pokoju". Rzecznicy praw człowieka, których uczyniono twarzami Ołeszek, wyraźnie się polubili. Nagrania ich serdecznych powitań wywołały spore poruszenie. Po raz pierwszy od wybuchu wojny urzędnicy z obu stron frontu nie tylko spotykają się, żeby w oficjalnej, napiętej atmosferze negocjować realną wymianę jeńców lub nierealne porozumienie pokojowe, lecz

eprasa.pl c1e5dafed4



Rzeczniczka praw człowieka w Rosji Jana Łantratowa (po lewej) oraz ukraiński rzecznik praw człowieka Dmytro Łubiniec (w środku) podczas wspólnej konferencji prasowej FOT. OFFICE OF THE OMBUDSMAN OF UKRAINE/AP/EAST NEWS

także po to, by wspólnie zorganizować pomoc dla ludności cywilnej. Niezależnie od intencji i propagandowej otoczki jest to przełom. Niedawno w jednym z wywiadów Łubinec ujawnił, że spędził z Łantratową 15 godzin w jednym autobusie. Rozmawiali o wymianie jeńców, cywilach i zaginionych. Przynajmniej według jego relacji.

Na Ukrainie nie wszyscy byli zachwyceni. „Detektor Media" pytał, gdzie kończy się dyplomatyczna uprzejmość, a zaczyna niestosowna serdeczność wobec przedstawicielki agresora. Łantratowa, wcześniej deputowana do Dumy, jest objęta sankcjami, a SBU podejrzewa ją o udział w wywiezieniu dwojga dzieci z okupowanego Chersonia do Rosji. Rosjanka zaprzecza. Trudno robić z niej anioła pokoju. Podczas jednego z wystąpień Łubinec przyznał, że naczytał się pod swoim adresem w Internecie komentarzy, w których pouczano go, jak powinien przeprowadzić całą akcję. A mianowicie, powinien pojechać do Ołeszek, zwyzywać Łantratową, a następnie i tak sprawić, aby możliwie największa grupa, a najlepiej wszyscy mieszkańcy miejscowości, wrócili na stronę ukraińską. Łubinec uznał takie oczekiwania za nierealne. Można albo unosić się patriotyczną dumą i deklarować, że się nie odda ani jednego guzika, albo zagryźć zęby i próbować z uśmiechem na ustach załatwić tyle, ile się da, przy stole rozmów z wrogiem.

W Rosji operację przyjęto z satysfakcją. „Wiedomosti" pisały o precedensie, a Pieskow chwalił współpracę rzeczników, którzy podobno stopniowo zaczynają sobie ufać. Interfax i „Kommersant" regularnie informują o ich kontaktach. W reportażach telewizji Rossija 1 cierpienia mieszkańców przypisywano jednak głównie ukraińskim ostrzałom, jakby rosyjska inwazja i okupacja były niegodnym wzmianki szczegółem. Rosjanie przywieźli do Ołeszek kilkudziesięciu dziennikarzy, Ukraińcy zaledwie kilku. Nawet podczas ratowania cywilów wojna propagandowa trwa.

PŁOMIEŃ POKOJU?

5 listopada Łubinec i Łantratowa spotkali się w Białym Domu z Melanią Trump. Towarzyszyli im przewodniczący frakcji Sługa Narodu Dawyd Arachamija oraz przedstawiciel Kremla Kirił Dmitrijew. Pierwsza dama nazwała Ołeszki iskrą, z której może wyrosnąć płomień pokoju. Ukraińcy wręczyli jej Order Księżnej Olgi I klasy, ona zaś przekazała delegatom listy do Zełenskiego i Putina. Pokazała też pamiątki związane z dawnymi wojnami i późniejszym pojednaniem. Jak widać, nie zamierzała traktować tej wizyty jak zwykłego spotkania przy herbacie. Amerykańska kurtuazja okazała się jednak nierówno rozdzielona. Głos zabrali Dmitrijew, Arachamija i Łubinec. Łantratowa jako jedyna z czworga delegatów nie dostała możliwości publicznego wystąpienia. Melania na dodatek pomyliła jej imię, dziękując nie Janie, lecz „Annie Łantratowej". Powodów nie wyjaśniono. Może gospodarze nie chcieli eksponować objętej sankcjami Rosjanki, znanej wcześniej z antyamerykańskich tyrad? To tylko przypuszczenie. Współorganizatorka misji została jednak usunięta w cień podczas ceremonii poświęconej jej sukcesowi. Dyplomacja humanitarna dyplomacją, ale polityczny protokół ma swoje prawa.

W dniach 10–11 listopada w Abu Zabi rozmawiano o terytoriach, bezpieczeństwie i zakończeniu wojny. Nie uzgodniono nawet przerwania ognia. Jedynym konkretnym, choć niezrealizowanym rezultatem stało się porozumienie co do przygotowania wymiany jeńców. Mówi się o tysiącu, a nawet półtora tysiąca osób po każdej stronie. Rzecz bezcenna dla ich rodzin. Niemniej w Emiratach zapowiedziano coś, co dopiero ma się wydarzyć. W Ołeszkach zawieszenie broni wydarzyło się naprawdę. W sprawach wielkiej polityki impas, w sprawach życia zwykłych ludzi – sprawdzony mechanizm współpracy.

I mechanizm ten działa. 16 listopada Łantratowa powiedziała Interfaxowi, że regularnie kontaktuje się z Łubincem, a przygotowania do wymiany trwają. Ukraiński rzecznik zabiega także o uwolnienie cywilów przetrzymywanych przez Rosję. Daty ich kolejnego osobistego spotkania ani następnej ewakuacji nie ogłoszono. Ale oboje nie przestali rozmawiać po zgaszeniu kamer w Ołeszkach. Nie wszystko jest jednak tak piękne, jak chciałaby to widzieć Melania Trump. Ukraiński Sztab Generalny oskarżył Rosjan o wykorzystanie pauzy do rotacji żołnierzy, dowożenia amunicji i umacniania pozycji. Sky News pokazał ruchy

eprasa.pl c1e5dafed4

rosyjskiej techniki. Co ciekawe, sam Łubinec studził część zarzutów. Twierdził, że pojazdy z niektórych nagrań uczestniczyły w uzgodnionym rozminowywaniu dróg pod ukraińską kontrolą. Spór pozostaje nierozstrzygnięty. To ostrzeżenie: nawet przy skutecznej misji humanitarnej wojskowa nieufność nie znika. Pokój wymaga nie tylko deklaracji, lecz także kontroli. Tym ostrożniej należy traktować pomysł Putina dotyczący Konstantynówki. Rosyjski prezydent twierdzi, że kontroluje miasto, i chce tam wspólnej misji z udziałem rzeczników oraz dziennikarzy. Na rozminowanie potrzebuje rzekomo pięciu dni. Ukraina kwestionuje rosyjską wersję sytuacji wojskowej i nie zaakceptowała propozycji. Kijów obawia się, że Moskwa zechce pod humanitarnym pretekstem legitymizować swoje zdobycze i zyskać czas na przegrupowanie. Ołeszki mogą być poligonem pokoju. Ale Kreml może też spróbować zrobić z nich poligon manipulacji.

Pozostaje polityczny bohater tej historii: Łubinec. Żaden lider partii ani kandydat na prezydenta. Rzecznik praw człowieka, który nie obiecuje podboju Moskwy ani nie poucza rodaków, by pogodzili się z utratą ziemi. Po prostu potrafi rozmawiać z Rosjanami i sprowadzać Ukraińców do domu. Był deputowanym, pochodzi z okupowanej Wołnowachy, zna realia wojny i nie boi się krytykować nadużyć władz, także przy mobilizacji. Czy mógłby kiedyś stanąć na czele ukraińskiej „partii pokoju"? Na razie to hipoteza. Ukraińcy są zmęczeni wojną. Nie znaczy to, że chcą kapitulacji. Polityk czy komentator, nawołujący do ustępstw wobec Rosji, na razie raczej nie zyskuje w oczach Ukraińców. Co innego Łubinec, który może powiedzieć: „Nie oddałem Rosji ani metra ziemi, nie miałem takiego zamiaru, za to uratowałem naszych ludzi".

Pokoju nie buduje się wyłącznie podpisami prezydentów

Jeśli dzięki jego staraniom będą ratowani kolejni Ukraińcy, Łubinec tylko zyska. Turbopatrioci nie mogą go przecież atakować za akcje humanitarne, które ratują życie rodakom. Ukrainiec, który ma dość wojny, ale nie ufa „ugodowcom", chętnie poprze kogoś pokroju Łubinca. Widać to już w sondażach. Według sondażu Active Group 61,3 proc. Ukraińców pozytywnie ocenia osobisty udział tego urzędnika w operacji, 93,6 proc. popiera samą ideę tego rodzaju akcji, a 86,8 proc. badanych dopuszcza kontakty ukraińskich władz z Rosją w celach humanitarnych. Jak na razie Łubinec nie jest klasyfikowany w sondażach prezydenckich. To zapewne jednak tylko kwestia czasu. Na etapie zmęczenia wojną rzecznik praw człowieka staje się potencjalnie bardziej interesującym wyborem niż generał czy urzędujący polityk.

Pokoju nie buduje się wyłącznie podpisami prezydentów. Trzeba sprawdzić, czy żołnierze potrafią nie strzelać, urzędnicy współpracować, a zwykli ludzie uwierzyć, że droga przez linię frontu nie jest drogą na śmierć. W Ołeszkach odbyła się taka próba. Trwała niecałe sześć dni. I była raczej udana.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl c1e5dafed4

Pierwszy milion w NFZ, kolejne prywatnie



FOT. ADOBE STOCK



Jakub Wozinski

W obecnym systemie lekarze są tak naprawdę państwowymi urzędnikami, którym z niezrozumiałych względów przyznano prawo świadczenia części zawodowych obowiązków poza miejscem pracy i pobierania z tego tytułu wynagrodzeń kilkakrotnie przewyższających średnią krajową

Przyjęta przez Sejm ustawa ograniczająca zarobki lekarzy (tzw. lex Kacprzyk) ma bardzo znikome szanse na ograniczenie patologii w wynagradzaniu pracy personelu medycznego, ponieważ całkowicie ignoruje aktywność lekarzy w placówkach prywatnych.

Zgodnie z zapowiedziami rządząca koalicja przyjęła ustawę, która czeka obecnie na podpis prezydenta. Do jej najważniejszych założeń należy m.in. wprowadzenie maksymalnej stawki godzinowej wynoszącej 240 zł brutto za godzinę, co przy maksymalnym dopuszczalnym wymiarze pracy (określonym jako równowartość dwóch etatów) przekłada się na maksymalne zarobki ok. 76,9 tys. zł miesięcznie i 923 tys. zł rocznie.

Pod tym względem proponowana ustawa osiągnęła swój najważniejszy cel w postaci ustanowienia limitu wynagrodzeń w wysokości 1 mln zł rocznie. Nikt odtąd nie będzie mógł się już przyczepić do tego, że tak wielu lekarzy otrzymuje rocznie z państwowego systemu pobory na poziomie przekraczającym symboliczną „bańkę". Po wybuchu afery Szpitala Południowego premier Donald Tusk zapowiedział wyjaśnienie sprawy „do spodu", co oczywiście nie nastąpiło (i nie nastąpi), ale za sprawą ustawy ograniczającej zarobki lekarzy wymusił na środowisku lekarskim przynajmniej pewne samoograniczenia.

PŁYNNE GRANICE

W praktyce może się jednak okazać, że „lex Kacprzyk" zmieni bardzo niewiele lub przyczyni się przede wszystkim do tego, że zarobki lekarzy będą księgowane w nieco inny sposób. Wynika to wprost z zapisów ustawy, która nie obejmuje przecież zatrudnienia w placówkach prywatnych. Opinia publiczna bardzo domagała się ograniczeń w wynagradzaniu personelu medycznego w jednostkach finansowanych przez Narodowy Fundusz Zdrowia, ale ścisłe rozróżnienie między „kontraktem" a „świadczeniami komercyjnymi" ma znaczenie przede wszystkim dla podatników; dla lekarzy granice między obu sferami są bardzo płynne i nierzadko podporządkowane osobistym decyzjom.

Wedle projektu budżetu na 2027 r. polscy podatnicy przeznaczą na państwową służbę zdrowia ponad 274 mld zł. Oprócz tego Polacy wydają także znaczne środki na prywatne usługi medyczne – w 2025 r. osiągnęły one łącznie poziom 76,2 mld zł, choć jeszcze rok wcześniej były o 10 mld zł niższe. Oznacza to, że wydatki Polaków na prywatną medycynę rosną znacznie szybciej niż na medycynę publiczną.

Sam termin „medycyna prywatna" jest przy tym dość nieadekwatny, ponieważ mieści się w nim bardzo wiele różnych od siebie zjawisk. W sektorze prywatnym mamy więc do czynienia przede wszystkim z rozbudowanymi sieciami medycznymi oferującymi

eprasa.pl c1e5dafed4

opiekę w ramach abonamentów czy ubezpieczeń. Oprócz tego funkcjonuje także dopiero budujący swoją pozycję sektor medycyny estetycznej i chirurgii plastycznej, osobny świat stomatologii prywatnej, nieliczne kliniki oraz szpitale prywatne i oczywiście rozproszona sieć małych i średnich gabinetów specjalistycznych.

To właśnie ów ostatni segment rynku zasługuje na szczególną uwagę w kontekście rozważań na temat zarobków personelu medycznego, ponieważ granice dzielące go od medycyny finansowanej przez Narodowy Fundusz Zdrowia są bardzo często dość rozmyte. Tajemnicą poliszynela jest przecież fakt, że lekarze pracujący w szpitalach i przychodniach państwowych potrafią bez większych skrupułów wyprowadzać klientów NFZ do swoich własnych placówek.

LEKARZ NA SWOIM

Stosunkowo słabo znanym zjawiskiem jest to, że w ostatnich latach ma miejsce prawdziwy boom na świadczenie usług poza NFZ. W 2024 r. z usług tego rodzaju przychodni skorzystało 64,1 proc. Polaków, co stanowi dotychczasowy rekord. Podczas gdy z abonamentów finansowanych lub współfinansowanych przez pracodawcę korzysta jedynie ok. 25 proc. Polaków, odwiedziny w prywatnych gabinetach i przychodniach stały się zjawiskiem jednoczącym cały naród bez względu na dochody czy miejsce zamieszkania.

Kasta lekarska przy pomocy środków politycznych wywindowała stawki wynagrodzeń w swojej branży do niebotycznych rozmiarów

Przyczyny tego zjawiska są dość łatwe do rozszyfrowania. Polacy mają oczywiście w ostatnich latach bardziej zasobne portfele niż kiedykolwiek wcześniej, ale do odwiedzania prywatnych placówek lekarskich skłaniają ich najbardziej niewydolność i niska jakość opieki świadczonej przez podmioty finansowane poprzez NFZ.

Prywatne gabinety lekarskie istniały w Polsce praktycznie zawsze, lecz w ostatnich latach znacząco wzrosła liczba przychodni założonych przez grupy lekarzy nastawionych wyłącznie na rynek komercyjny, gabinetów wielospecjalistycznych oraz placówek diagnostycznych. Ich dokładna liczba jest trudna do oszacowania ze względu na brak odpowiednich statystyk, lecz z pewnością jest ich już w Polsce co najmniej kilka tysięcy. Formalnie przedstawiają się jako przejaw przedsiębiorczego zmysłu polskich lekarzy, lecz więcej prawdy jest w stwierdzeniu, że ich funkcjonowanie to w znacznej mierze pochodna problemu milionowych zarobków w publicznej służbie zdrowia.

Posiadanie prywatnej praktyki lekarskiej czy przychodni nie jest oczywiście grzechem, lecz kasta lekarska ma na sumieniu to, że przy pomocy środków politycznych wywindowała stawki wynagrodzeń w swojej branży do niebotycznych poziomów. Prywatne placówki pełnią dziś tak naprawdę rolę

REKLAMA



eprasa.pl c1e5dafed4

straszaka w negocjacjach z publicznym pracodawcą, który szukając obsady dla państwowych przychodni lub szpitali, musi stale dostosować się do wymogów płacowych specjalistów. Lekarze wiedzą, że pracując wyłącznie prywatnie lub umiejętnie łącząc pracę w sektorze prywatnym z pracą w sektorze publicznym, mogą zarobić znacznie więcej, ponieważ stawki godzinowe są w sektorze prywatnym nawet dwukrotnie wyższe. Głównym punktem odniesienia stają się w ten sposób wysokie zarobki w prywatnych placówkach, a winę zrzuca się na bezduszny „rynek”.

LEKARSKI BLEF

Lekarski blef polega jednak na tym, że wbrew wszelkim pozorom to właśnie publiczna służba zdrowia jest dla lekarskiej kasty absolutnie niezbędna i to ona umożliwia jej stałe windowanie zarobków. To publiczne szpitale i naznaczone stale wydłużającymi się kolejkami przychodnie realizujące kontrakt NFZ generują główną część zapotrzebowania na medycynę prywatną.

Statystycznie lekarze zarabiają na państwowym mniej niż prywatnie, co pozwala im rozpowszechniać fałszywy obraz własnego poświęcania się dla dobra pacjenta. W praktyce podział na to, co prywatne, i to, co publiczne, w pracy lekarza jest bardzo arbitralny, a na obie sfery trzeba patrzeć jako na jedną całość. To bowiem nie rynek decyduje o tym, gdzie zaczyna się medycyna komercyjna, lecz sami lekarze zarówno poprzez swoje indywidualne decyzje, jak i przepisy, które najczęściej sami tworzą. Środowisko lekarskie jest bardzo zaborcze, jeśli chodzi o kontrolę branżowych regulacji, i jeszcze nigdy dotąd nie dopuściło, aby ktokolwiek z zewnątrz narzucał mu jakiekolwiek ograniczenia.

Bodaj najbardziej jaskrawym przykładem patologicznego funkcjonowania środowiska lekarskiego był okres pandemii, kiedy to (poza nielicznymi, chlubnymi wyjątkami) zadecydowało ono wspólnie z rządem o zaprzestaniu leczenia Polaków w imię walki z koronawirusem, przyczyniając się tym samym do śmierci przynajmniej 200 tys. osób. Jeśli kasta lekarska była w stanie bez żadnych reperkusji anulować na wiele tygodni znaczną część lecznictwa, to tym bardziej nie powinno nikogo dziwić to, że na co dzień swobodnie przesuwa granice między medycyną publiczną a medycyną prywatną.

Uchwaleniu tzw. lex Kacprzyk towarzyszył medialny teatr mający stworzyć wrażenie, że środowisko lekarskie wreszcie zrozumiało swoje błędy i zamierza ukrócić patologie, a rząd Donalda Tuska nie zawahał się ograniczyć marnotrawstwo publicznych pieniędzy. Naczelna Izba Lekarska ogłosiła nawet, że na listopadowym zjeździe zajmie się w szczególności kwestiami dyscyplinarnymi (proponowane zmiany umożliwiają przyspieszony tryb wyrzucenia danej osoby z zawodu). W praktyce całokształt zmian ustawy ograniczającej zarobki personelu medycznego zmieni jednak niewiele, ponieważ kasta lekarska ma wystarczająco wiele środków do tego, aby przeksięgować swoje zarobki gdzie indziej.

Jeszcze w czerwcu uchwalono specjalną ustawę, która umożliwia rządowej Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji sprawdzanie po numerze PESEL, ile zarabiają lekarze zatrudnieni w kilku miejscach jednocześnie. Wcześniej nawet premier polskiego rządu nie był w stanie skontrolować tego, czy poszczególni specjaliści nie pobierają z publicznego systemu zbyt wielkich wynagrodzeń. Podstawowy problem polega jednak na tym, że dane dostępne AOTMiT w ogóle nie uwzględniają zarobków w podmiotach nierealizujących kontraktu z NFZ. Oznacza to, że nawet jeśli „lex Kacprzyk” wymusi ograniczenie wynagrodzeń w publicznej służbie zdrowia, to i tak lekarze wyjdą ostatecznie finansowo na swoje. Problemy zdrowotne Polaków nie znikną niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, więc ich leczeniem przy wprowadzonych w publicznej medycynie limitach płacowych będą zajmowali się ci sami lekarze co dotąd, lecz w jeszcze większym zakresie niż dotąd w ramach medycyny komercyjnej.

TŁUMY NA MEDYCYNĘ

Jedną z najbardziej wymownych miar tego, jak bardzo patologiczny stał się system wynagradzania personelu medycznego, jest to, że polscy lekarze przestali w ostatnich latach tłumnie wyjeżdżać za granicę. Minister zdrowia Jolanta Sobierańska-Grenda wielokrotnie chwaliła się w mediach, że zauważalny jest nawet trend powrotów. Co więcej, kierunki lekarskie przeżywają prawdziwe oblężenie, a poszczególne uczelnie medyczne odnotowują historyczne rekordy aplikacji na studia (na Uniwersytecie Kaliskim nawet 49 kandydatów na jedno miejsce). Biorąc pod uwagę to, jak bardzo bajeczne finansowe perspektywy otwierają się przed medykami w Polsce, nie powinno to niestety dziwić. Środowisko lekarskie (traktowane jako całość, a nie wszyscy bez wyjątku) wywalczyło sobie w naszym kraju tak silną pozycję, że trudno dziś sobie nawet wyobrazić, jaki układ sił politycznych byłby zdolny podważyć jego samodzierżawie.

Pomimo tych praktycznych trudności z ewentualną gruntowną reformą służby zdrowia warto mimo wszystko przypominać, że niewiele albo zgoła nic nie zmieni się dopóty, dopóki nie zostanie zlikwidowany monopol NFZ. Polscy lekarze powinni być dobrze wynagradzani, ponieważ ich zawód wymaga wysokich kwalifikacji i wiąże się z wielką odpowiedzialnością, lecz oni sami powinni wreszcie zrozumieć, że dalsze funkcjonowanie obecnego systemu na obecnych zasadach może w dłuższym okresie skupić na nich wielki wybuch społecznego gniewu.

W obecnym systemie lekarze są tak naprawdę państwowymi urzędnikami, którym z niezrozumiałych względów przyznano prawo świadczenia części zawodowych obowiązków poza miejscem pracy i pobierania z tego tytułu wynagrodzeń kilkakrotnie przewyższających średnią krajową. Gdyby te same uprawnienia nadano pracownikom Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, podniosłoby się larum, choć przecież ZUS jest w kluczowych obszarach dokładnie takim samym monopolistą jak NFZ. O ile jednak dla ZUS istnieje wiele alternatyw, które poprzez rozmaite dodatkowe plany i konta emerytalne stara się także wspierać samo państwo, o tyle NFZ praktycznie całe środowisko medyczne broni niczym niepodległości. I dopóki ta instytucja będzie trwać na niezmienionych zasadach, dopóty na nic zdadzą się jakiekolwiek ustawy ograniczające zarobki personelu medycznego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c1e5dafed4



PROSTO ZYGZAKIEM

Rosja – Ukraina: wojna 30-letnia?

PIOTR GABRYEL

Czy koszty wojny Ukrainy, odpierającej napaść Rosji – w tym finansowanie jej dziury budżetowej – zostaną wpisane do budżetu Unii Europejskiej już na stałe? W każdym razie właśnie takie wrażenie można odnieść, analizując żądanie kanclerza Niemiec Friedricha Merza, który w liście skierowanym do szefa Rady Europejskiej Antónia Costy uzależnił poparcie Niemiec dla budżetu UE na lata 2028–2034 od zgody wszystkich państw UE na finansowanie Ukrainy, wskazując, że w 2027 r. dziura w jej budżecie wyniesie 70 mld euro, a państwa UE powinny ją pokryć do wysokości 45 mld euro.

Może się zatem okazać – jeśli w UE nadal obowiązuje zasada „Berolinum locutum, causa finita", a nie słyszałem, by ją unieważniono – że od tej pory do wielu „polityk" finansowanych przez państwa UE, takich jak Wspólna Polityka Rolna, dołączy finansowanie Ukrainy. A nie będą to kwoty nieznaczące w budżecie UE, na który – jak wiadomo – składają się podatnicy z państw członkowskich UE, w tym wszyscy polscy podatnicy.

Budżet UE, który w latach 2021–2027 (wraz z funduszem odbudowy NextGenerationEU) wynosi ok. 2 bln euro, dzieli się na razie na siedem „kategorii" (cytuję za stroną internetową UE): 1) jednolity rynek, innowacje i gospodarka cyfrowa; 2) spójność, odporność i wartości; 3) zasoby naturalne i środowisko; 4) migracja i zarządzanie granicami; 5) bezpieczeństwo i obrona; 6) sąsiedztwo i świat oraz 7) europejska administracja publiczna.

Czyżby w budżecie UE na lata 2028–2034, który planowany jest na ok. 2 bln euro, do tych siedmiu „kategorii" miała zostać dołączona „kategoria" ósma – „dziura budżetowa Ukrainy walczącej z Rosją" w wysokości, powiedzmy, 45 mld euro rocznie, czyli 315 mld euro w latach 2028–2034, a więc grubo ponad jedną siódmą budżetu UE i niewiele mniej, niż kosztuje cała Wspólna Polityka Rolna?

A przecież wiadomo, że 45 mld euro rocznie dla regularnie niszczonej przez Rosję Ukrainy już wkrótce może się okazać dalece niewystarczające. Czyli w latach 2028–2034 UE będzie zapewne musiała wydać na ten cel do pół biliona euro, czyli jedną czwartą całego swego budżetu. Kosztem kogo? – nasuwa się pytanie. I ile to wypadnie na każdego Polaka?

A, jak wiadomo, toczona – z założenia „aż do zwycięstwa Ukrainy" – wojna z Rosją, która już trwa 12 lat (bo zaczęła się w 2014 r.), a od niemal pięciu lat toczy się w formie pełnoskalowej, pochłaniając mnóstwo istnień ludzkich, może w takiej sytuacji, czyli finansowania jej z zewnątrz, trwać równie dobrze 20 lat. A może nawet 30 lat – kto wie? W końcu historia ludzkości zna i takie wojny.

Czy na pewno tego chcą Polacy? Bo Ukraińcy – jak rozumiem – chcą? ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Wielka trójka i dzieciaczki

ŁUKASZ WARZECHA

Reakcje znacznej części polskiej elity politycznej i komentatorskiej na spotkanie wielkiej trójki w Kylin Villa w Shenzhen są – i nie jest to przesadzone określenie – przerażające. Można je podzielić z grubsza na dwa rodzaje.

Rodzaj pierwszy: udawanie, że nic ważnego się nie wydarzyło. W tej kategorii mieszczą się ci, którzy nie umieją sklecić żadnego gładkiego przekazu, więc wolą nic nie mówić, oraz ci – tu głównie politycy PiS – którzy zainwestowali dużo w wysławianie Donalda Trumpa, ale równie dużo w obsesyjną antyrosyjskość i teraz mają zwarcie przewodów w mózgach.

Bezradność intelektualna znacznej części polskich elit wobec brutalnych faktów staje się przerażająca

Rodzaj drugi: tupanie nóżką i pokrzykiwanie, że „Putler jest zły, a kto z nim rozmawia, też jest zły" oraz „Trump to w ogóle gupi jest i ma wszy" (sic!). Myślą państwo, że przesadzam? To niemal dosłowne cytaty z dwóch renomowanych komentatorów, z których jeden, o zgrozo, był dyplomatą na najważniejszych polskich placówkach. Nie trzeba zresztą daleko szukać. Jedynym komentarzem polskiego premiera, gdy w Shenzen doszło już do spotkania przywódców USA, Rosji i Chin, był wpis treści następującej: „God, protect us from such friends" – „Boże, chroń nas od takich przyjaciół". Zaiste – głębokie, przenikliwe i ważkie. Paulo Coelho normalnie.

Bezradność intelektualna znacznej części polskich elit wobec brutalnych faktów – wobec rzeczywistości po prostu – staje się nie tylko kompromitująca. Ona jest właśnie przerażająca. W momencie, gdy powinniśmy jak najszybciej odejść od bezmyślnie powtarzanych dogmatów, przyjąć do wiadomości, że w wielkiej rozgrywce możemy być potraktowani jak przedmiot i starać się natychmiast opracować jak najlepsze warianty działania, aby minimalizować straty, my toczymy wojenkę o Trybunał Konstytucyjny jak wziętą z „Pana Tadeusza", a w wolnych chwilach pokrzykujemy, że na takie spotkania jak to w Schenzen „Nie ma naszej zgody!".

Stajemy się pośmiewiskiem – na własne życzenie. Ze wszelkimi tego konsekwencjami. ©℗

eprasa.pl c1e5dafed4



Pałacowy przewrót w imperium AI

Jensen Huang chciałby wrócić do kierowania Nvidią, ale zarząd spółki nie chce nawet o tym słyszeć FOT. PHILIP FONG/AFP/EAST NEWS



Jacek Przybylski

Jensen Huang, współtwórca amerykańskiego technologicznego giganta Nvidia, stracił karierę i dobre imię przez romans z kobietą, która mogła być agentką Chin. Nvidia z nowym szefem zamierza ustanawiać nowe rekordy przychodów i zysków. Na sztucznej inteligencji fortunę zarabiać chce też Anthropic – spółka, która w ramach pierwszej oferty publicznej pierwszy raz w historii uzyskała ponad 100 mld dol.

Romanse zmysłowych agentek z kluczowymi postaciami świata biznesu, polityki lub wojskowości są w arsenale służb od tysięcy lat. Przekupiona przez filistyńskich władców biblijna Dalila już w XI w. p.n.e. uwiodła Samsona i wyciągnęła z niego sekret jego nadludzkiej siły. Samson został ostrzyżony, oślepiony i pojmany, a prosty romans całkowicie zmienił układ sił w regionie. Uwodzicielskie damy miały też istotny wpływ na losy starożytnej Grecji, Persji, Egiptu czy Azji. Władca starożytnego chińskiego królestwa Yue zlecił doradcy znalezienie najpiękniejszych kobiet w kraju i wyszkolenie ich w sztuce uwodzenia i szpiegostwie. W 490 r. p.n.e. jedna z takich pań – Xi Shi – została podarowana Fuchaiowi, władcy państwa Wu. Efekt? Wu zostało osłabione i łatwo podbite przez Yue.

CHIŃSKA KOCHANKA, AMERYKAŃSKIE SEKRETY

Czy w XXI w. chińscy przywódcy znów sięgnęli po wielokrotnie sprawdzoną w dziejach technikę operacyjną, aby wydobyć sekrety szefa potężnej amerykańskiej spółki technologicznej i zagwarantować sobie dostawy zaawansowanych układów scalonych, których wykorzystanie może teoretycznie zagrozić nawet bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych? Władze w Pekinie zaprzeczają, aby Alice Huang (na szczęście to tylko zbieżność nazwisk) była ich „słodką pułapką" na szefa Nvidii. Amerykańskie służby publicznie ogłosiły jednak, że podejrzewają, iż kobieta miała powiązania z chińskim Ministerstwem Bezpieczeństwa Państwowego i mogła zostać zwerbowana jako współpracowniczka

eprasa.pl c1e5dafed4

wywiadu. FBI prowadzi w tej sprawie formalne śledztwo. Własne dochodzenie w tej sprawie rozpoczęły również Nvidia oraz singapurska firma Megaspeed, czyli partner biznesowy amerykańskiej spółki w regionie Azji i Pacyfiku, prowadzący duże centra danych. To właśnie dla tej firmy do 30 sierpnia ubiegłego roku pracowała Alice Huang (dawniej dziennikarka chińskich mediów państwowych oraz pracownica HSBC Hong Kong czy Hexi Capital).

Władze Singapuru ogłosiły z kolei, że co prawda wobec biznesmenki prowadzono postępowanie w sprawie możliwego naruszenia przepisów związanych z zakupem i eksportem serwerów, to nie była w tym kraju podejrzewana o szpiegostwo. Spółka Megaspeed jest jednak podejrzewana o to, że dostarczała do Chin wysokiej klasy układy scalone do baz danych AI poprzez specjalnie stworzoną sieć firm wydmuszek. Według medialnych doniesień Alice Huang miała być też odpowiedzialna za zacieśnianie współpracy pomiędzy Nvidią a Alibabą, czyli chińskim gigantem e-commerce.

Gdy na światło dzienne wyszedł fakt, że Jensen Huang nie tylko zdradzał żonę z chińską kochanką, lecz także chińską kochankę z drugą kochanką, będącą jego podwładną wewnątrz koncernu, a tę z kolei z trzecią kochanką, miarka się przebrała. Menedżer zrezygnował z funkcji prezesa, dyrektora generalnego i członka zarządu, a zarząd błyskawicznie jego dymisję przyjął.

ZYSKI W GÓRĘ

Zaledwie kilka dni po rezygnacji Huang zapomniał o skrusze i ogłosił publicznie, że „byłby zaszczycony", gdyby mógł znów objąć stery Nvidii. Petycję w sprawie przywrócenia go na dawne stanowisko podpisało ok. 200 tys. osób, w tym najbogatszy człowiek świata Elon Musk (szef takich spółek jak Tesla czy SpaceX).

Władze technologicznego giganta podkreślały w ubiegłym tygodniu, że ani myślą ponownie mianować Jensena Huanga na stanowisko dyrektora generalnego. Aby nie dopuścić do odpływu najzdolniejszych inżynierów i podnieść morale pracowników spółki, tymczasowa dyrektor Colette Kress podjęła decyzję o przyspieszeniu podwyżki wynagrodzeń.

Jednocześnie Nvidia pochwaliła się, że spółka odnotowała w trzecim kwartale aż 115,8 mld dol. przychodów i 65,3 mld zysku netto, po raz kolejny przebijając nawet najśmielsze oczekiwania rynkowych analityków. Przychody ze sprzedaży okazały się dwukrotnie wyższe niż rok wcześniej i o 20 proc. wyższe kwartał do kwartału.

Świetne wyniki za trzeci kwartał potwierdzają jedynie niesamowicie dobrą passę spółki: Nvidia rekordy sprzedaży bije już bowiem od 14 kwartałów z rzędu. Jednocześnie technologiczna spółka podniosła prognozę wzrostu sprzedaży nie tylko na kolejny kwartał, lecz także na cały następny rok fiskalny. „Z punktu widzenia firmy działamy w trybie... business as usual… mamy to opanowane" – zapewniała oficjalnie tymczasowa dyrektor generalna Nvidii Colette Kress, podkreślając, że spółka może świetnie prosperować bez kochliwego dyrektora. Ani to oświadczenie, ani znakomite wyniki spółki nie zdołały jednak na dłużej poprawić nastrojów inwestorów obawiających się o losy Nvidii bez Huanga i po krótkotrwałym odbiciu o kilka procent akcje spółki powróciły do spadków.

CHINY NA CZARNEJ LIŚCIE

Kolejny rekord wysokości przychodów ma zostać pobity mimo wstrzymania eksportu chipów do Chin. To ważna wiadomość, bo jak Colette Kress poinformowała w ubiegłym tygodniu, Nvidia tylko w trzecim kwartale obecnego roku sprzedała do Chin układy z rodziny Hopper o wartości aż 2,4 mld dol. Mogła to legalnie zrobić, ponieważ mimo potencjalnego ryzyka dla bezpieczeństwa narodowego USA zgodę na eksport wyraziła administracja Donalda Trumpa.

Nvidia kierowana jeszcze przez Huanga zabiegała również o zgodę na eksport do Chin nowszych układów Blackwell. Na to jednak nawet Jensen Huang nie zdołał uzyskać zgody urzędującego prezydenta. Po pałacowym przewrocie nowe władze spółki zdecydowały, że nie tylko nie będą naciskać na Biały Dom w sprawie zgody na sprzedaż nowszych układów, lecz także wstrzymały wysyłkę do Chin produktów z rodziny Hopper. Wiele wskazuje na to, że nie jest to tylko deklaracja na użytek medialny. W prognozach spółki na kolejne kwartały nie uwzględniono już bowiem w ogóle przychodów z eksportu tych chipów do Chin.

Anthropic ustanowił rekord wszech czasów pod względem kapitału pozyskanego od inwestorów w IPO

Decyzje zarządu spółki wyprzedzają działania władz w Waszyngtonie, które pracują już nad zaostrzeniem kontroli eksportu procesorów nie tylko do Chin, lecz także do innych państw. Restrykcje mają obejmować nie tylko Państwo Środka, lecz także te instytucje, które w innych krajach tworzą zaawansowane technologicznie centra danych, a następnie zapewniają do nich zdalny dostęp chińskim firmom. Konieczność ograniczenia dostępu chińskich firm do najnowszych układów scalonych to jedna z nielicznych kwestii, w których zgadzają się zarówno przedstawiciele administracji Donalda Trumpa, jak i reprezentanci Partii Demokratycznej. Bo chociaż Nvidia pozbyła się wreszcie Huanga, to jego romans rzucił istotny cień na ubiegłotygodniowe spotkanie przywódców Chin i Stanów Zjednoczonych.

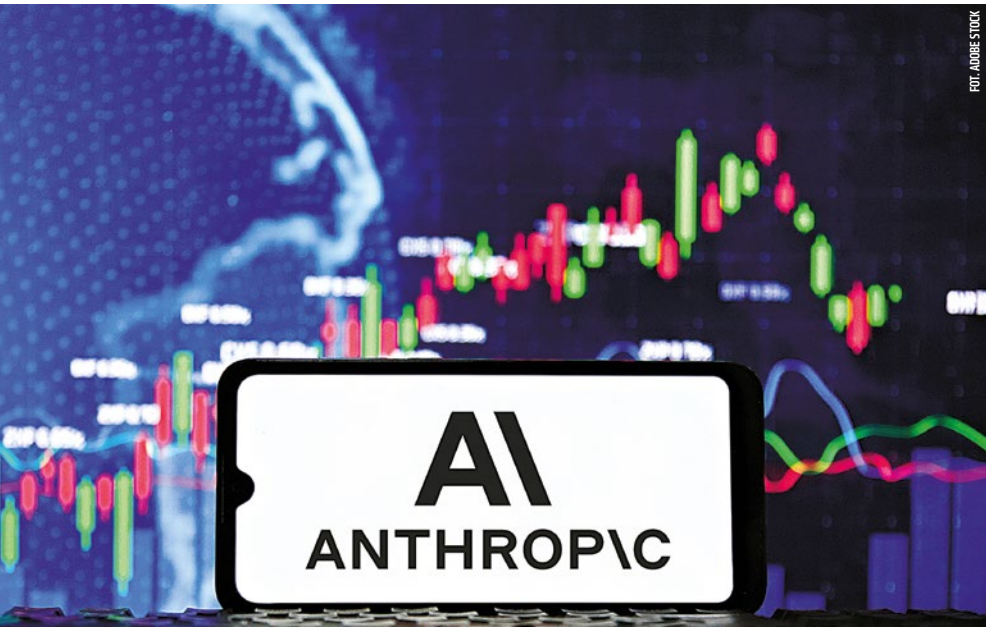
Długoletni przewodniczący rady dyrektorów Nvidii, Harvey C. Jones, zauważył, że przyszły dyrektor generalny tej spółki będzie musiał dostosowywać swoje działania nie tylko do realiów biznesowych, lecz także do szybko zmieniających się uwarunkowań geopolitycznych i technologicznych.

ANTHROPIC WART FORTUNĘ

O sztucznej inteligencji głośno było w ubiegłym tygodniu nie tylko w kontekście romansu szefa Nvidii. Na giełdzie zadebiutowała wreszcie spółka Anthropic, która trwale zapisała się na kartach historii rynków finansowych. I to nie tylko dlatego, że to pierwsza tak potężna spółka zajmująca się wyłącznie sztuczną inteligencją, która zdecydowała się na wejście na giełdę.

Anthropic zapisze się również w historii rynków ze względu na absolutny rekord wszech czasów pozyskanego od inwestorów kapitału podczas oferty publicznej (IPO). Popyt na jej akcje na różnych kontynentach wielokrotnie przewyższył bowiem liczbę dostępnych papierów. Dzięki temu w górę poszybowała cena, a firma będąca twórcą rodziny dużych modeli językowych Claude, wykorzystywanych m.in. do programowania i automatyzacji pracy, z pierwszej emisji akcji pozyskała aż 81,3 mld dol.

eprasa.pl c1e5dafed4



FOT. ADOBE STOCK

(przewyższając czerwcowy debiut spółki Elona Muska SpaceX, który przyniósł 75 mld dol.) oraz dodatkowe 26 mld dol. w w emisji prywatnej (w tej transzy akcje kupowały m.in. Google, Microsoft czy AMD). Łącznie spółka Anthropic zebrała z rynku 107,3 mld dol.

Gdy 19 listopada spółka zadebiutowała na giełdzie Nasdaq, jej akcje kosztowały 111,5 dol. (34 proc. powyżej ceny emisyjnej). W kolejnych godzinach kurs osuwał się jednak w dół. Mimo to przybliżona wycena rynkowa spółki wahała się między 1,5 a 2 bln dol. Tym samym znalazła się wśród najlepiej wycenianych publicznych spółek. Co prawda, daleko Anthropicowi było do Nvidii - nawet po spadkach o ok. 30 proc. technologiczne imperium wyceniane jest na 3,64 bln dol. – ale wycena twórcy modeli AI była już zbliżona do takich gigantów jak Meta Platforms (1,58 bln dol.), Tesla (1,52 bln dol.) czy Eli Lilly (1,3 bln dol.). Znacząco przewyższała zaś wartość wehikułu inwestycyjnego Berkshire Hathaway (1,22 bln dol.) czy koncernu Samsung Electronics (928,8 mld dol.).

Udana oferta publiczna to ogromny sukces. Zwłaszcza że debiut odbył się w okresie korekty na rynku spółek technologicznych. Inwestorzy coraz bardziej obawiają się bowiem o możliwe zyski i rentowność spółek zajmujących się sztuczną inteligencją, biorąc pod uwagę już mocno wyśrubowane wyceny, a także wysokość niezbędnych inwestycji do realizacji kolejnych projektów związanych z AI. Zachowanie kursu akcji spółki Anthropic będzie papierkiem lakmusowym pokazującym nie tylko skalę zainteresowania inwestorów sztuczną inteligencją, lecz także wskazującym, jak globalni inwestorzy wyceniają przyszłą rentowność spółek z tej coraz bardziej konkurencyjnej branży.

W 2027 r. spodziewane jest wejście na giełdę największego rywala Anthropic, spółki OpenAI – twórcy modelu ChatGPT – która konsekwentnie zwiększa udział w rynku korporacyjnym. Na razie inwestorom wciąż imponuje m.in. tempo wzrostu przychodów. W pierwszym półroczu 2026 r. Anthropic pochwalił się przychodami na poziomie 16,3 mld dol., które w tym samym okresie roku 2025 wynosiły 1,1 mld dol. Z kolei w trzecim kwartale przychody spółki wzrosły o 47 proc. w porównaniu z drugim kwartałem, do 16,956 mld dol. Jednocześnie spółka odnotowała jednak 567 mln dol. straty operacyjnej wobec 974 mln dol. zysku w drugim kwartale.

ANALITYCY EBC I MFW OSTRZEGAJĄ PRZED BAŃKĄ

Spółki z sektora AI, aby utrzymać konkurencyjność, muszą też inwestować w dalszy rozwój miliardy dolarów. Europejski Bank Centralny ostrzegł w ubiegłym tygodniu, że boom na sztuczną inteligencję przypomina bańkę dotcomów. Według ekspertów EBC obserwowany obecnie szał na pożyczanie pieniędzy na projekty związane z rozwojem sztucznej inteligencji niebezpiecznie przypomina historię gwałtownego wzrostu udzielania kredytów hipotecznych wysokiego ryzyka (subprime) w USA w latach 2001–2006, który doprowadził do światowego kryzysu finansowego w latach 2007–2008.

W opublikowanym w ubiegłą środę półrocznym raporcie „Financial Stability Review" analitycy Europejskiego Banku Centralnego ostrzegli, że firmy z branży sztucznej inteligencji zaciągają zobowiązania warte biliony dolarów na finansowanie rozwoju AI. Eksperci zwrócili też uwagę na umowy zawierane przez gigantów technologicznych np. z „twórcami centrów danych i właścicielami zaawansowanych układów scalonych", w ramach których prognozowane przyszłe przychody są wykorzystywane do zabezpieczenia pożyczek banków czy inwestorów kupujących obligacje korporacyjne.

Przed możliwością kolejnych dużych przecen spółek technologicznych ostrzegła też w wywiadzie dla Bloomberga Kristalina Georgiewa, dyrektor zarządzająca Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Ona także zwróciła uwagę na ryzyko związane z rosnącym zadłużeniem finansującym inwestycje w AI.

Z drugiej strony w przypadku takich spółek jak Nvidia wydaje się, że zagrożenie nie jest tak duże, jak w przypadku dotcomów czy kredytów subprime, ponieważ technologiczny gigant na finansowanie neocloudów, AI labów czy innych podmiotów z rynku AI wydaje niecałe 10 proc. operacyjnego cash flow, jednocześnie zwiększając bazę potencjalnych klientów. Większym zagrożeniem wydawać się może kwestia utrzymania wieloletniego popytu na półprzewodniki oraz usługi AI. Nie wiadomo, jak długo centra danych będą rozwijać się w tak zawrotnym tempie jak w ostatnich miesiącach i jak na to tempo będą wpływały coraz liczniejsze protesty mieszkańców oraz regulacje opracowywane przez polityków. Po zdecydowanym zwycięstwie Partii Demokratycznej w wyborach połówkowych w USA zwłaszcza ta ostatnia kwestia może mieć duże znaczenie dla finansowej przyszłości branży AI.

To niebezpieczeństwo zdają się też dostrzegać analitycy EBC, którzy ostrzegli, że fala giełdowych debiutów spółek AI może świadczyć o euforii w końcowej fazie cyklu. W połączeniu z szybko rosnącym zadłużeniem big techów może więc powstać mieszanka wybuchowa, która grozić będzie nagłą wyprzedażą na giełdach.

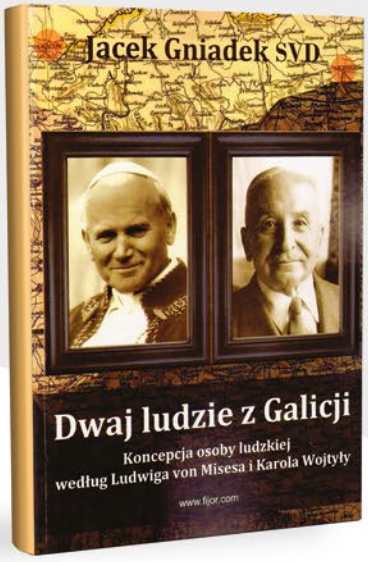
© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c1e5dafed4

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK GNIADEK SVD: „DWAJ LUDZIE Z GALICJI” ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1040~~ ZŁ

517,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 523 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki czemu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon.-pt. od 10:00 do16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl c1e5dafed4

POCZET POLSKICH WODZÓW

Struś, ostatni obrońca... Moskwy



JACEK KOMUDA

Mikołaj Struś herbu Korczak, urodzony ok. 1577 r., był jednym z największych bohaterów Rzeczypospolitej. Od młodości nie przepuścił żadnej wojny ani okazji do bitwy. Doświadczenie zdobywał najpierw u boku stryja, potem w wyprawie Jana Zamoyskiego do Mołdawii w 1595 r. i w trakcie walk Stanisława Żółkiewskiego ze zbuntowanymi Kozakami Nalewajki. Pięć lat później znów walczył w Multanach z hospodarem wołoskim Michałem Walecznym, pokonanym w bitwie pod Bukowem. Kolejne kampanie odbył w Inflantach, stając się zaprawionym w bojach żołnierzem.

Jako samodzielny dowódca pojawił się pierwszy raz pod Smoleńskiem w 1609 r., prowadząc własną chorągiew husarską, liczącą 200 koni, czyli ok. 170–180 jeźdźców, drugą kozacką i oddział piechoty 100 ludzi. Rok później wziął udział w bitwie pod Kłuszynem, która otworzyła nam drogę do Moskwy. Struś stał na czele własnego pułku, który znajdował się w centrum szyku, w największym ogniu, i uderzał na przeciwnika, przełamując linię płotów, które ograniczały manewry husarii. Ostatecznie szyki wroga udało się przełamać, rozbijając rajtarię i spychając ją na szyk jazdy moskiewskiej, która uciekła, pociągając za sobą resztę wojska, a na placu boju zostały tylko oddziały szwedzkie. W czasie bitwy Struś dowodził lewym skrzydłem armii Żółkiewskiego i po walce wyruszył do obozu króla Zygmunta, składając przed nim zdobyte chorągwie. Wkrótce na czele pułku dołączył do wojsk Jana Karola Chodkiewicza, które zajmowały się utrzymaniem Moskwy do czasu, aż przybędzie królewicz Władysław Waza, wybrany na cara na mocy układu z hetmanem Żółkiewskim.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Niestety, król Zygmunt zwlekał z wyprawieniem syna do Moskwy tak długo, aż wybuchły tam kolejne bunty i powołane zostało pierwsze oraz drugie pospolite ruszenie. Jan Karol Chodkiewicz i inni pułkownicy kilkakrotnie przedzierali się przez jego oddziały blokujące stolicę, dostarczając zaopatrzenie.

27 czerwca 1612 r. Struś został za poparciem hetmana dowódcą garnizonu w Moskwie i miał utrzymać się do czasu przybycia królewicza Władysława. Zanim król przybył z synem i wojskiem, sytuacja stała się krytyczna. We wrześniu Chodkiewiczowi nie udało się przedrzeć na Kreml oblegany przez pospolite ruszenie i dostarczyć żywności. Wojska polskie zaczęły głodować. Doszło do aktów kanibalizmu, które nie były w ówczesnych czasach niczym niezwykłym. Jeden ze świadków pisał: „Piechota nowa zaczęła z głodu mrzeć i mało nie wszyscy umarli, i nasza piechota, i towarzystwa także wszystkich zjedli; Niemcy kotki i psy wyjedli, miedzią i zielskiem, trawą i lada czym żywili się, bo wszystko Moskwa odjęła. Drożyzna wielka była, śledź po pół złotego, skóry wołowe wpierw były po pięć złotych, a potem stały po 12 zł, ser kupowali po 6 zł, chleb 10 zł, my sami kupowali kołacz 7 zł[...]. A potem już głód nieznośny zaczął trapić tak, że piechota i Niemcy zaczęli ludzi rżnąć i jeść [...], wyciągnąwszy z turmy kilkunastu moskiewskich ludzi, piechurów pomordowali, tych wszystkich zjedli. Pachołka jednego, niedawno zmarłego, z grobu wykopali i zjedli".

Budziłło pisał z kolei: „Piechota sama się między sobą wyjadała i ludzi łapiąc, pojedli. Truszkowski porucznik piechotny dwu synów swoich zjadł, hajduk jeden także syna zjadł, drugi matkę, towarzysz jeden sługę zjadł swego, owo zgoła syn ojcu, ojciec syn synowi nie przepuścił, pan sługi, sługa pana nie był bezpieczny; kto kogo zgoła zmógł, ten tego zjadł, zdrowszy gorszego się pozbył". Te przerażające sceny podkopały morale garnizonu. Kiedy padł Kitajgród, nie widząc możliwości utrzymania Kremla, Struś rozpoczął rozmowy z przywódcami pospolitego ruszenia. Był ostatnim dowódcą polskiego garnizonu w Moskwie. Złożył broń 7 listopada 1612 r. Dziś na pamiątkę tych wydarzeń Moskale obchodzą Dzień Jedności, świętowany 4 listopada, przypominając światu, że Polacy kiedyś okupowali ich stolicę.

Moskale jak zwykle nie dotrzymali warunków. Wymordowali część jeńców, a Strusia i Charlińskiego uwięzili w klasztorze czudowskim. W niewoli pozostawał aż do 1619 r., kiedy zapadł rozejm w Dywilinie. Bohater nie zagrzał długo miejsca w domu. Już w 1620 r. wziął udział w wyprawie cecorskiej Żółkiewskiego, która skończyła się klęską i rozbiciem armii pod Mohylowem nad Dniestrem. Ranny Struś dostał się do kolejnej niewoli i był przetrzymywany na Krymie. Uwolniony w 1622 r., po bitwie pod Chocimiem, wrócił po zawarciu traktatu pokojowego z Turkami. Nigdy już nie służył wojskowo, otrzymując na sam koniec życia, w 1627 r., godność kasztelana kamienieckiego. Zapisał się jako ostatni wielki Polak na Kremlu do czasów Napoleona. ©℗

eprasa.pl c1e5dafed4

CUPRA RAVAL VZ



FOT. JAP

Długo wyczekiwany miejski „hot hatch" o elektrycznym napędzie i hiszpańskim temperamencie z impetem wjechał w tym roku na globalny rynek motoryzacyjny, trafiając m.in. do finałowej siódemki konkursu Car of the Year 2027.

Ravalem rzeczywiście jeździ się dobrze. Reakcja na gaz – jak na samochód elektryczny przystało – jest natychmiastowa. Flagowa wersja – oznaczona symbolem VZ, który pochodzi od hiszpańskiego słowa „veloz", czyli „szybki" – ma moc 226 KM i na sprint od zera do 100 km/h potrzebuje 6,8 s. Nieco słabsza odmiana ma 211 KM mocy i od zera do setki rozpędza się w 7,1 s. Deklarowany przez producenta zasięg najmocniejszej wersji to 383 km, a nieco słabszego wariantu Endurance 443 km. Elektronicznie sterowana blokada mechanizmu różnicowego przedniej osi (eVAQ) w odczuwalny sposób redukuje typową dla przednionapędowych elektryków podsterowność i ułatwia dynamiczne pokonywanie serpentyn. A kubełkowe fotele w wersji VZ świetnie podtrzymują ciało na zakrętach. Dobrze spisuje się też adaptacyjne zawieszenie. Wystarczy nacisnąć jeden magiczny przycisk na kierownicy, a zawieszenie się utwardza, zachęcając do zabawy. Aby znów cieszyć się bardzo przyzwoitym tłumieniem nierówności i po prostu komfortową jazdą, wystarczy zaś przełączyć się do trybu… Comfort.

Ergonomicznie zaprojektowana kabina mierzącego 4046 mm miejskiego auta sprawia, że wnętrze wydaje się bardzo przestronne (i większe niż w miejskich modelach bezpośredniej konkurencji). Na tylnej kanapie dwie dorosłe osoby mogą podróżować naprawdę wygodnie (choć byłoby jeszcze wygodniej, gdyby jakiś hiszpański konstruktor nie zapomniał o podłokietniku z tyłu). Zaskakująco duży jak na segment B jest też bagażnik (ma 441 l pojemności). W środku jest nieco plastikowo, ale fani hiszpańskiej marki nie będą zawiedzeni. We wnętrzu roi się bowiem od akcentów stylistycznych typowych dla tej marki.

Bazowy egzemplarz ma pod podłogą ukryty akumulator o pojemności 37 kWh, a droższe 52 kWh. Elektryczny napęd potrafi być naprawdę oszczędny. Zejście do średniej wynoszącej 14 kWh/100 km w zakorkowanym mieście lub 19 kWh/100 km na trasie ekspresowej nie stanowi większego problemu. Średnie zużycie energii podczas naszego jesiennego testu wyniosło 17,7 kWh/100 km. Ładowanie do 80 proc. trwa niecałe pół godziny. Mogłoby trwać krócej, ale maksymalna moc ładowania DC wynosi 105 kW. Szkoda, bo chińscy konkurenci w tej kategorii coraz bardziej podnoszą poprzeczkę, skracając czas spędzony na publicznej ładowarce do kilkunastu, a w niektórych modelach do zaledwie kilku minut.

Najtańsza Cupra Raval Premiere Edition (o mocy 135 KM i deklarowanym przez producenta zasięgu 328 km) kosztuje 99,9 tys. zł. Wariant Plus to wydatek 113,9 tys. zł. Wersja Endurance (ma już 211 KM mocy i zasięg 443 km) to wydatek rzędu 142,9 tys. zł, a za flagową odmianę VZ trzeba zapłacić 155,2 tys. zł.

BRELOK SCROLLY

Banalnie prosta obsługa, sympatyczne wzornictwo, polski twórca, brak subskrypcji oraz duża skuteczność w odzyskiwaniu czasu traconego na przeglądanie mediów społecznościowych – to największe zalety niewielkiego gadżetu w formie uśmiechniętego stworka z wbudowanym NFC.

Scrolly to teoretycznie banalny pomysł polskiego start-upu. Urządzenie w połączeniu z aplikacją mobilną blokuje dostęp do wybranych, rozpraszających aplikacji, takich jak TikTok, Instagram, Facebook, Snapchat, WhatsApp czy YouTube Shorts. Aby zablokować lub odblokować wybrane przez użytkownika aplikacje, należy przyłożyć sympatyczną figurkę do smartfona lub tabletu. I już! Można blokować wyłącznie wybrane wcześniej aplikacje, tworzyć harmonogramy (np. rano jest czas na pracę lub naukę, więc Scrolly może zablokować jakąkolwiek możliwość oglądania mediów społecznościowych, np. od 8 do 12).



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Czy to jest skuteczne? Bardzo. Fizyczna bariera jest bowiem rzeczywiście trudna do ominięcia, a przez to algorytmom trudniej jest wodzić użytkownika na pokuszenie. Według danych producenta Scrolly sprawia, że po smartfona sięgamy o wiele rzadziej (urządzenie jest ponoć wyraźnie skuteczniejsze od zwykłych aplikacji do kontroli czasu spędzanego przed ekranem oraz blokady iOS). Trudno taki test powtórzyć w redakcyjnych warunkach. Jedno jest jednak pewne: gdy społecznościowych pokus jest mniej, a feedy nie ciągną się bez końca, to nagle mamy dużo więcej czasu na bardziej pożyteczne czynności niż bezmyślne oglądanie kolejnych mniej lub bardziej głupawych rolek. Właśnie dlatego start-up reklamuje swoje urządzenie prostym hasłem: „Przestań scrollować. Zacznij żyć". Twórcy gadżetu pomyśleli też o przypomnieniach, statystykach, a także wirtualnych nagrodach, które dodatkowo motywują do działania.

Minusy? Urządzenie nie ma wbudowanej magicznej mocy walki z nałogami, więc nadal wszystko zależy od silnej woli użytkownika. Tak czy owak jest jednak łatwiej. Drugi minus: jak na prosty i niewielki gadżet, cena Scrolly – zwłaszcza w porównaniu z darmowymi aplikacjami – wydaje się stosunkowo wysoka. Ponadto czas to pieniądz, więc wydatek ma szansę szybko się zwrócić.

Scrolly występuje w dwóch kolorach: granatowym lub różowym. Cena w promocji: 165,17 zł.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl c1e5dafed4



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Ciasto na święta

To już ostatnia chwila, by nastawić ciasto na długo dojrzewający piernik staropolski. Powinno leżakować w chłodnym miejscu, najlepiej w lodówce, od dwóch do czterech tygodni. Jest to jedno z naszych ulubionych świątecznych ciast. Jego zaletą jest to, że można zrobić je wcześniej i tuż przed Bożym Narodzeniem przynajmniej jedną potrawę mamy z głowy. Przygotowanie wymaga czasu, ale samo wykonanie jest bardzo proste. Długie leżakowanie sprawia, że ciasto jest wilgotne, mięciutkie, a przyprawy nadają wspaniały smak i cudowny zapach. To nie tylko smaczny deser, lecz także odżywczy pokarm wspierający nasze zdrowie.

Pierwsze wzmianki o cieście, które przypominało obecny piernik, sięgają antycznego Rzymu, gdzie wypiekano je z pieprzem i z dodatkiem miodu. Dopiero w średniowieczu upodobniło się do współczesnej wersji. Zakonników zalecali je jako lekarstwo na przeziębienie, a to dzięki dużej ilości rozgrzewających przypraw i odżywczego miodu. Ciekawe jest też to, że za sprawą miodu oraz przypraw korzennych ciasto nie psuje się podczas długiego leżakowania. Upływ czasu nawet potęguje jego jakość. Najstarszy zachowany piernik znajduje się w Szwecji. Pochodzi z 1615 roku!



Nie pozostaje nam zatem nic innego, jak tylko nastawić ciasto i cierpliwie czekać do Wigilii, by delektować się przepysznym smakiem wykwintnego piernika.

Przepis na piernik staropolski

• 1 kg mąki pszennej tortowej • 250 g masła, min 83 proc. tłuszczu • 500 g miodu naturalnego z dobrej pasieki • 350 g cukru brązowego lub muscovado • 4 jajka, rozmiar L • ½ szklanki mleka – 125 ml • 3 łyżeczki sody oczyszczonej • ½ łyżeczki soli • 3 słoiki konfitury śliwkowej • 3 tabliczki gorzkiej czekolady 64 proc. • 2 łyżki masła lub słodkiej śmietanki 100 ml • ozdoby do dekoracji, skórka z pomarańczy, bakalie • przyprawa do piernika lub cynamon, kardamon, goździki, imbir

W garnku rozpuszczamy masło, dodajemy cukier, delikatnie podgrzewamy i mieszamy, aż się rozpuści. Następnie dodajemy miód, wszystko razem mieszamy i trzymamy na małym gazie około 30 minut. Potem odstawiamy i studzimy. Mąkę przesiewamy, dodajemy do masy razem z mlekiem – w którym rozpuszczamy sodę – dodajemy przyprawę do piernika oraz sól. Wszystko razem mieszamy drewnianą łyżką i przekładamy do naczynia. Wkładamy do lodówki na minimum cztery tygodnie. Po tym czasie stolnicę podsypujemy mąką, wyjmujemy ciasto, chwilę wyrabiamy, formujemy kule i dzielimy na trzy części. Wałkujemy, podsypując mąką, i formujemy trzy blaty. Piekarnik nagrzewamy do 180 st. C, każdy blat pieczemy ok. 25 min góra–dół. Wyjmujemy, studzimy i przekładamy powidłami. Piernik należy złożyć najlepiej kilka dni przed spożyciem. Docisnąć deseczką, aby połączyły się warstwy. Dzień przed podaniem udekorować polewą czekoladową.

To rozpuszczona w kąpieli wodnej czekolada z masłem albo śmietanką, które nadaje polewie aksamitną strukturę. Piernik dekorujemy zgodnie z upodobaniami. Smacznego! ©℗

FOT. ADOBE STOCK

REKLAMA



eprasa.pl c1e5dafed4



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O kosztach demokracji

Włoscy edukatorzy otworzyli przed polityką bramy liceów i gimnazjów i teraz mają za swoje: co rusz strajki okupacyjne, protesty i pełna mobilizacja ideologiczna. Co więcej, chłopcy i dzierlatki (najmłodsi w wieku 12 lat) wychodzą na ulice, by walczyć o lepszy świat, plądrując domy towarowe, sklepy i atakując policję.

Zapewne, by wpoić młodzieży zasady demokracji przedstawicielskiej, w wielu liceach odbywają się co roku wybory do rady szkolnej. Młodzież najpierw zapoznaje się z programami różnych grup uczniowskich podczas kampanii wyborczej, a potem głosuje. W zespole technicznych szkół średnich im. Luigiego Cremony i Gina Zappy w Mediolanie aż 199 głosów dostał 17-latek z grupy postulującej darmowe środki higieniczne w toaletach, bluzy z logo szkoły dla wszystkich, szkoleniowe kursy pomocnicze, giełdę używanych podręczników etc.

Jednak grupa uczniów lewicowego kolektywu „Lokomotywa" złożyła zdecydowany protest, bo wybrany do Rady chłopak związany jest z postfaszystowską, legalnie działającą organizacją CasaPound – od Ezry Pounda, genialnego poety („Pieśni"), fanatycznie popierającego faszyzm i Mussoliniego. „Lokomotywa" zorganizowała demonstrację przed szkołą pod hasłem „Precz z faszystami".

Zapewne na tym by się skończyło, ale nauczyciele, zamiast wytłumaczyć młodzieży, że demokracja ma swoje prawa, których nie wolno łamać, jak choćby akceptacja wyników wyborów, wystosowali list otwarty, wyrażając „głębokie zaniepokojenie i stanowczy sprzeciw wobec obecności w najważniejszym demokratycznym organie naszej szkolnej organizacji, która w praktyce znajduje się poza granicami porządku konstytucyjnego". Wyrok godny Trybunału Konstytucyjnego, a nie grupy zideologizowanych pedagogów. A chodzi nie o organizację, a o jednego, 17-letniego chłopca. Mało tego! Do grupy nauczycieli dołączyli równie niemądrzy rodzice (ponad 250).

Choć to nie do wiary, do tych protestów dołączyli ważni politycy lewicowej opozycji. Co więcej, z oficjalnym protestem wystąpiła największa centrala włoskich związków zawodowych, lewicowa CGIL. Dzięki temu awantura rozlała się na całą Italię. Opisywały ją, oczywiście bardzo różnie, wszystkie najważniejsze włoskie telewizje i dzienniki, w tym „Corriere della Sera".

Można mieć podejrzenia graniczące z pewnością, że wszyscy ci protestujący nie mają bladego pojęcia o tym, czym jest demokracja. Jej zdobyczą są wolne wybory, ale jej kosztem, który trzeba ponieść, jest to, że nie zawsze wygrywa nasz faworyt. Inaczej umiera demokracja, robiąc miejsce dyktaturze. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Żegnaj, Solaris!

Pamiętacie aferę z zoo w Łącznej? To tam 13 października w asyście policji, pod nadzorem prokuratury, organizacje prozwierzęce dokonały najazdu i zaboru ponad 30 zwierząt. Chodzić miało o to, że zoo jakoby nie zapewniało im odpowiedniej opieki. Jednak te zastrzeżenia zmaterializowały się jedynie wobec ok. 30 zwierząt, które wywieziono z terenu zoo, pozostawiając tam ponad 700 pozostałych. Jakoś tak dziwnie się złożyło, że porwane zwierzęta to same egzotyczne gatunki, drogie w utrzymaniu i atrakcyjne handlowo.

Te „walory" nie są bez znaczenia, gdyż to od wysokich kosztów opieki, transportu i leczenia nie tylko wylicza się opłaty do zwrotu od właściciela do organizacji „porywających", lecz także zasądza się sądową nawiązkę po udowodnieniu winy na rzecz którejś z organizacji prozwierzęcych. Już w chwili najazdu na zoo widać było tę subtelność, ponieważ porwano wyłącznie zwierzęta egzotyczne, a gros pozostałych, mniej „atrakcyjnych" kosztowo – pozostawiono. Nietrudno skojarzyć, że zainteresowanie nimi ze strony organizacji „proanimalsów" spadło do zera zaraz po porwaniu najcenniejszych gatunków. Które niekiedy trafiały za granicę.

Najcenniejsze zwierzę – tygrysica Solaris – nie wróci do Polski. Mimo tego, że nie zapadł żaden wyrok w sprawie odebrania zwierzaka właścicielowi zoo. Chodzi o to, że teraz tygrysica ma podobno lepsze warunki egzystencji niż w Łącznej. Niestety, fotografie tego nie potwierdzają: w Polsce dysponowała dużym, wolnym wybiegiem, a w Holandii leży na sianie w betonowym bunkrze. Polska prokuratura podjęła tę decyzję na podstawie przysłanych jej filmików, na których Solaris liże łapę i gryzie karton.

O przyszłości swych zwierząt właściciel dowiaduje się z mediów. Czyli wszystko się udało – odbył się chwilowy zajazd z zaborem mienia, w majestacie prawa i funkcjonariuszy. Potem wszyscy uczestnicy udali się do domów, pozostawiając ponad 700 zwierząt pod opieką tych, których brak kompetencji miał uzasadniać cały zabór. Wszystko dla dobra (wybranych) zwierząt.

W ten sposób ujawniły się rzeczywiste intencje całej akcji. Ci, którzy od początku utrzymywali, że tu nie chodzi o zwierzęta, tylko o zwykły modus wyciskania kasy przez fundacje, mieli rację. Za chwilę właściciel dostanie rachunki za zajmowanie się tygrysicą Solaris. Rachunki od porywaczy…

Los pozostałych 30 zwierzaków stanowi zagadkę. Nie wiadomo, gdzie są, w jakich warunkach przebywają i u kogo. Zainteresowana publiczność dowie się o tym najwyżej wtedy, gdy właściciel otrzyma następne rachunki. ©℗

eprasa.pl c1e5dafed4



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Trybunał na przekąskę

Wtypowy dla siebie sposób skomentował doktor prawa, poseł Jarosław Kaczyński, ostatnie działania władz, wymierzone w funkcjonowanie telewizji Republika. „Teraz mamy atak na telewizję Republika. No tutaj już kłania się Putin. Bo tam, w Rosji, za jego rządów, początkowego okresu jego rządów, też jeszcze niezależne telewizje były. No i prowadzono takie działania z efektem likwidacyjnym, jakie są w tej chwili podjęte, jeszcze na szczęście bez tego efektu" – ogłosił prezes PiS. Dużo skuteczniejsze w osiągniętym „efekcie likwidacyjnym" były niewątpliwie działania Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, podjęte w roku 2022 wobec telewizji internetowej wRealu24, portalu NCzas.com oraz kilkunastu innych podmiotów. Zablokowano je bez żadnego uzasadnienia. Odpowiedź ABW na interwencję Rzecznika Praw Obywatelskich w tej sprawie została utajniona. Cenzurujący media internetowe politycy rządu PiS chełpili się skutecznością swoich działań. „Zablokowanych zostało wiele portali, które po prostu jeden do jednego przekazywały nie tyle kremlowską propagandę, co kremlowskie fejki" – ogłosił Maciej Wąsik, nie podpierając oskarżeń żadnymi faktami. „Przedsiębiorca telekomunikacyjny jest obowiązany do niezwłocznego blokowania połączeń telekomunikacyjnych lub przekazów informacji, na żądanie uprawnionych podmiotów, jeśli połączenia te mogą zagrażać obronności, bezpieczeństwu państwa oraz bezpieczeństwu i porządkowi publicznemu" – perorował Mariusz Kamiński.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie w wydawanych w roku 2023 wyrokach uznał takie działania za nielegalne i sprzeczne z konstytucją. „Przy znacznym stopniu uogólnienia zarzutów większości mediów można zarzucić wybiórcze, a przez to tendencyjne podawanie wiadomości. Niewątpliwie też jakakolwiek krytyka bieżącej polityki władz może być odbierana jako wywołująca niepokój społeczny. Nie jest to jednak wystarczające do blokowania portali informacyjnych" – stwierdził sąd w uzasadnieniu wyroku. Czy politycy PiS wykorzystujący służby specjalne do zamykania „zagrażających porządkowi publicznemu" mediów nie zauważyli przypadkiem kłaniającego się im w pas Władimira Putina?

Próbę przejęcia przez rząd, przy użyciu policji, kontroli nad Trybunałem Konstytucyjnym uznał Jarosław Kaczyński za wydarzenie globalnie unikalne: „To jest ewenement w skali światowej. To jest po prostu niebywałe wręcz złamanie konstytucji". Nie zgodziliby się z nim pewnie Ugandyjczycy. Pierwszy prezes Sądu Najwyższego Ugandy został przez poróżnionego z nim prezydenta Idiego Amina porwany, zamordowany i według wszelkiego prawdopodobieństwa zjedzony. Jak zeznał przed komisją Kongresu USA były minister zdrowia Ugandy Henry Kyemba, prezydent Amin oceniał potrawkę z sędziego jako smaczną, choć nieco słoną. Czy nasz „król Europy" zgotuje sędziemu Święczkowskiemu podobny los? Dyktator Idi Amin, mieniący się „królem Szkocji", był też honorowym doktorem prawa ugandyjskiego Uniwersytetu Makerere. Wydział prawa na tej uczelni oceniony został w prestiżowym rankingu akademickim SCImago Institutions Ranking pod kątem liczby cytowań i publikacji w międzynarodowych wydawnictwach, naukowych osiągnięć wykładowców i ich udziału w konferencjach oraz światowych projektach badawczych. Prawo na Uniwersytecie Makerere jest w tym rankingu na 1080. miejscu, wyprzedzając wydziały prawa na Uniwersytecie Opolskim (1090), w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie (1093) i na Uniwersytecie Rzeszowskim (1119). Al-Azhar University w Egipcie (397) i University of Nigeria (478) wyprzedzają w tym zestawieniu Uniwersytet Śląski (530), UMCS (565), Uniwersytet Gdański (628), Uniwersytet Wrocławski (660), KUL (684), SWPS (899) i UKSW (1043). Profesorowie prawa z licznych afrykańskich uczelni mogliby z powodzeniem uczyć kultury prawnej swoich polskich kolegów, reprezentujących interesy rodzimej kasty prawniczej podczas plemiennych sporów nad Wisłą. Powinni jedynie uważać, by polscy znawcy prawa ich w zażartych dyskusjach nie zjedli. ©℗

eprasa.pl c1e5dafed4



GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Nadchodzi Bismarck

Pod koniec roku ukaże się pierwsze pełne polskie wydanie „Myśli i wspomnień" („Gedanken und Erinnerungen") Ottona von Bismarcka. Z pewnością będzie to jedno z ważniejszych wydarzeń wydawniczych w naszym kraju nie tylko w skali obecnego roku. Polski czytelnik otrzyma wreszcie wspomnienia człowieka, który stworzył w centrum Europy mocarstwo (Rzesza Niemiecka) nigdy w tej formie ustrojowej nieistniejące na Starym Kontynencie. Skłoniło to Benjamina Disraelego do stwierdzenia, że w ten sposób Prusy Bismarcka przeprowadziły w Europie geopolityczną rewolucję o konsekwencjach daleko poważniejszych od tych spowodowanych pod koniec XVIII w. przez rewolucję francuską.

jednak, że to przecież z inicjatywy Bismarcka w 1886 r. powołano do życia Komisję Kolonizacyjną, której zadaniem (systematycznie realizowanym do samego końca istnienia monarchii Hohenzollernów) było właśnie germanizowanie ziem nad Wartą i Wisłą poprzez wykup polskiej własności ziemskiej.

Bismarcka trzeba czytać także dlatego, że jest on bohaterem dla wschodzącej siły politycznej u naszych zachodnich sąsiadów. To nie mało utalentowany malarz z Wiednia, ale pruski junkier jest dla wielu działaczy Alternatywy dla Niemiec wzorcem właściwego pojmowania Realpolitik i Staatsräson, czyli szukania i utrzymywania jak najdłużej jak najlepszych relacji Niemiec z Rosją. W swoich „Myślach i wspomnieniach" Bismarck wyczerpująco wyjaśnia, dlaczego

Niektórzy mówią, że Bismarck przegrał. Polska przecież istnieje, Prus już dawno nie ma. A w polityce niemieckiej pierwsze skrzypce przez długie dekady grały siły polityczne, które żelazny kanclerz zwalczał

Wspomnienia żelaznego kanclerza powinny być dla nas lekturą obowiązkową także z tego powodu, że ich autor wywarł wpływ na naszą historię jako autor rzuconego pod naszym adresem hasła: „Ausrotten!" („Wykorzenić!"), realizowanego całkiem dosłownie poprzez radykalne zaostrzenie po 1871 r. polityki germanizacyjnej. Adolf Hitler niesprawiedliwie tak surowo oceniał w „Mein Kampf" cesarską Rzeszę Niemiecką za realizowanie błędnej germanizacji. Przywódca NSDAP wskazywał, że Bismarck i jego kontynuatorzy zamiast germanizować ziemię, germanizowali ludzi. „Wódz" narodu niemieckiego nie dostrzegł współpraca niemiecko-rosyjska powinna być fundamentem ładu geopolitycznego w Europie Środkowej, bo przecież, jak wyjaśniał żelazny kanclerz w innym miejscu: „Rosja jest jak pogoda. Może być dobra albo zła, ale zawsze jest".

Czytajmy Bismarcka również po to, aby zastanowić się, ile z jego dziedzictwa przetrwało do naszych czasów. Dość wspomnieć metodę modernizowania społeczeństwa za pomocą żelaznej ręki państwa; metodę podchwyconą przez współczesnych Bismarckowi niemieckich liberałów, którzy zdyscyplinowanie przegłosowywali po 1871 r. w pruskim i niemieckim parlamencie wszystkie ustawy związane z antykatolicką wojną o kulturę. Kulturkampf wprowadzał przecież tzw. rozdział Kościoła od państwa, czyli laicyzm w pikielhaubie. Jednak w optyce liberałów najważniejszy był laicyzm, czyli nowoczesność. A na ołtarzu nowoczesności warto, a nawet trzeba było poświęcić podstawowe prawa obywatelskie, zwłaszcza jeśli dotyczyły one tych, którzy tradycyjnie relegowani byli w liberalnej propagandzie do obszarów od czasów oświecenia identyfikowanych jako peryferie, a nawet pustynia kulturowa (katolickie regiony Rzeszy i zabór pruski).

Bismarckowski kulturkampf posłużył jako wzorzec dla autorów kolejnych kampanii laicyzacyjnych w III Republice Francuskiej po 1875 r., a na przełomie wieków XIX i XX wojna o kulturę realizowana przez żelaznego kanclerza traktowana była przez amerykańskich progresywistów jako dowód na to, że pruski premier wielkim politykiem był. Tak uważał m.in. rektor uniwersytetu w Princeton i demokratyczny polityk Woodrow Wilson, który w 1912 r. został wybrany na prezydenta USA.

Niektórzy mówią, że Bismarck przegrał. Polska przecież istnieje, a Prus już dawno nie ma. W polityce niemieckiej pierwsze skrzypce przez długie dekady grały na zmianę lub razem siły polityczne, które za swojego życia żelazny kanclerz zażarcie zwalczał: socjaldemokracja i chadecja (polityczny kontynuator Partii Centrum). Jednak największe dzieło Bismarcka – zjednoczone Niemcy – przetrwało i ciągle nad Sprewą jest wielka tęsknota za Rosją, dobrą na każdą pogodę. ©℗

eprasa.pl c1e5dafed4

SEGREGACJA



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Apartheid – system polityczny oparty na segregacji rasowej. W 1968 r. został przez Zgromadzenie Ogólne ONZ uznany za zbrodnię przeciwko ludzkości. Błąd!

Separacja to procedura zalecana przez Kościół katolicki, gdy małżonkowie doprowadzą do takiej sytuacji, gdy już nie da się dogadać, a konflikt narasta – wtedy DOBRYM rozwiązaniem jest separacja. Bywa, że jedna ze stron nie godzi się na separację. Wściekły mąż nachodzi żonę, robi awantury, co wtedy? Wówczas następuje przymusowa segregacja wyrokiem sądu.

Klincz – dwaj bokserzy na ringu zakleszczyli się. W takiej sytuacji zawodników należy rozdzielić. Niekiedy się bronią i zaczynają walczyć z sędzią, zdarza się, że sędzia dostanie w ryj, zanim uda się sytuację opanować.

A co robi świat, gdy w krajach takich jak Rwanda czy Sudan dwie strony mordują się masowo? Świat wysyła błękitne hełmy i stara się rozdzielić dwie szalejące bestie. Sudan podzielono na dwa kraje (jednym rządzą chrześcijanie, a drugim muzułmanie).

Są sytuacje, gdy lepiej żyć osobno.

***

W sieci sensacja i skandal: Mel Gibson (aktor) powiedział, że „całkowite usunięcie kultury muzułmańskiej z USA to nie jest rasizm, lecz kwestia przetrwania". Wypowiedź zyskała ogromne poparcie w sieci. Zwyczajni ludzie to czują – islam stanowi śmiertelne zagrożenie. Pcha się na nasz teren i trzeba go usunąć, a nie tolerować.

Obok ogromnego poparcia pojawiły się też protesty i wyzwiska pod adresem aktora. A potem okazało się, że Mel Gibson tego nie powiedział – algorytmy zajmujące się wykrywaniem fake newsów stwierdziły, że w Internecie nie ma śladu, by cytowane zdanie było wypowiedzią Mela Gibsona. Mimo to po fali wyzwisk nie pojawiła się fala przeprosin.

***

Mel Gibson tego nie powiedział, ale samo spostrzeżenie oceniam jako trafne. Przenieśmy je na nasz teren: usunięcie islamu z Polski to nie żaden rasizm – to kwestia życia lub śmierci, bo islam każe usuwać wszystkich „niewiernych". Taka jest doktryna islamu: nawracanie siłą lub śmierć. I mamy dowody: topienie niewiernych w klatkach wrzucanych do morza, palenie żywcem, obcinanie głów, strzelanie w potylicę przed kamerą, a potem muzułmanie publikują nagrania takich egzekucji w sieci. Nie, nie chodzi o Afganistan, kraj barbarzyńców i poganiaczy kóz, który leży tak daleko, że możemy się nim nie interesować. Chodzi o kraje położone na brzegach Morza Śródziemnego, takie jak Egipt.

***

Ktoś powie: „Ale usunąć islamu się nie da, bo jak?".

Jest cała masa rzeczy, które da się zrobić bez potrzeby uchwalania nowego prawa. Obowiązujące aktualnie prawo budowlane jest bardzo okrutne dla Polaków – anonimowy urzędas może zatrzymać budowę dowolnego domu lub ją bardzo utrudniać. Podobnie konserwator zabytków. Podobnie kilka kolejnych urzędów i agencji zajmujących się odbiorem budynku, dopuszczeniem do użytkowania, podłączeniami mediów itd.

Za pomocą takich narzędzi da się powstrzymać budowę dowolnego meczetu w Polsce. Da się też zamknąć, a nawet wyburzyć wszystkie meczety już istniejące. W polskim prawie istnieje wywłaszczenie za odszkodowaniem. Masz dom, a państwo chce w tym miejscu zbudować szosę – wywłaszczają i burzą. Moja Matka Chrzestna straciła w ten sposób domek jednorodzinny, bo mieli budować ulicę. Ulicy nie zbudowali, a minęły dziesiątki lat. Wyburzenie istniejących meczetów to kwestia woli, przepisy istnieją.

Znajomi w Warszawie pokazali mi meczet niedaleko Dworca Zachodniego. Wyburzenie to kwestia decyzji władz miasta. Tam jest węzeł komunikacyjny, który się często korkuje, można podjąć uchwałę o potrzebie poszerzenia ulic i meczet przestanie istnieć.

***

Można też odciąć muzułmanom dostawy żywności za pomocą instytucji takich jak sanepid. Sanepid jest bardzo wredny wobec Polaków, a jego możliwości i uprawnienia są szerokie. Muzułmanie potrzebują żywności halal. W skrócie: biorą kozę, podrzynają jej gardło bez znieczulenia, a potem trzymają za nogi, aby umierające serce wypompowało z kozy jak najwięcej krwi. Reszta ma wypłynąć grawitacyjnie jak z kaczki na czerninę. Można tego barbarzyństwa zakazać i muzułmanie zostaną bez rytualnego żarcia. Gdyby pytali dlaczego, możemy uczciwie odpowiedzieć, że nam się nie podobają ich barbarzyńskie obyczaje. Można ich też odesłać z pytaniami do partii Zielonych i niech oni im tłumaczą, co jest nie tak z podrzynaniem kozy. A gdyby chcieli importować żywność halal z innych krajów, wówczas mamy ministra rolnictwa, urząd celny i masę innych narzędzi do ochrony polskiego rynku.

***

W USA Donald Trump doprowadził do kolosalnej porażki republikanów w wyborach. W efekcie Ameryka będzie miała pierwszego Abdula w Senacie. Muzułmański senator Abdul El-Sayed złoży przysięgę na wierność konstytucji ple, ple… Konstytucji kraju, którym otwarcie gardzi, chce obalić i wprowadzić socjalizm. Oświadczył, że przysięgę złoży, kładąc rękę nie na Biblii, lecz na księdze Koranu. Bierze pod uwagę egzemplarz muzealny, który był kiedyś własnością trzeciego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Tomasza Jeffersona.

Ciekawostka historyczna: To brytyjskie wydanie zawiera przypisy tłumacza, który stwierdził, że Koran jest zbudowany na kłamstwach.

Ciekawostka kolejna: Tomasz Jefferson jako wysłannik USA stoczył wojnę z muzułmanami u wybrzeży Trypolisu na Morzu Śródziemnym. Muzułmańscy piraci rabowali statki niewiernych (czyli chrześcijan), pobierali haracz, mordowali załogi, bo tak każe Koran.

***

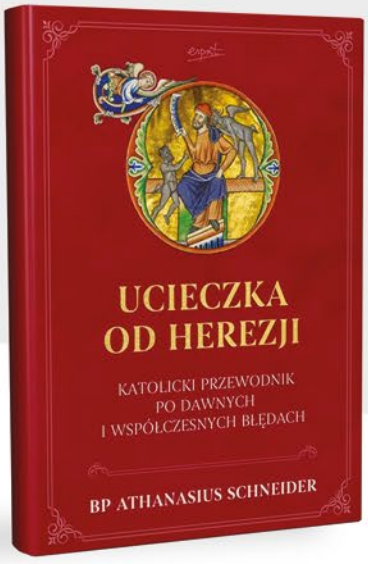
Z islamem nie da się dogadać na żaden kompromis ani pokojowe współistnienie, bo Koran wyklucza takie możliwości. Koran każe nawracać „niewiernych" siłą, a gdyby nie chcieli, to trzeba ich zabić. ©℗

eprasa.pl c1e5dafed4

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

BP ATHANASIUS SCHNEIDER: „UCIECZKA OD HEREZJI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~617~~ ZŁ

291,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 326 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki czemu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon.-pt. od 10:00 do16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl c1e5dafed4

Fundacja
Wspierania
Wolnej Debaty

Wspieraj
wolność słowa i mediów



Każdy głos ma znaczenie, ale potrzebujemy Państwa pomocy, by być słyszalni. Każda darowizna to dla nas nie tylko środek, lecz także wyraz zaufania i solidarności.

Wsparcie pozwala nam rozwijać nasze projekty, inwestować w nowe narzędzia, publikacje i media, a przede wszystkim docierać tam, gdzie słowa mogą naprawdę coś zmienić.

WESPRZYJ NAS

wolnadebata.pl

eprasa.pl c1e5dafed4